

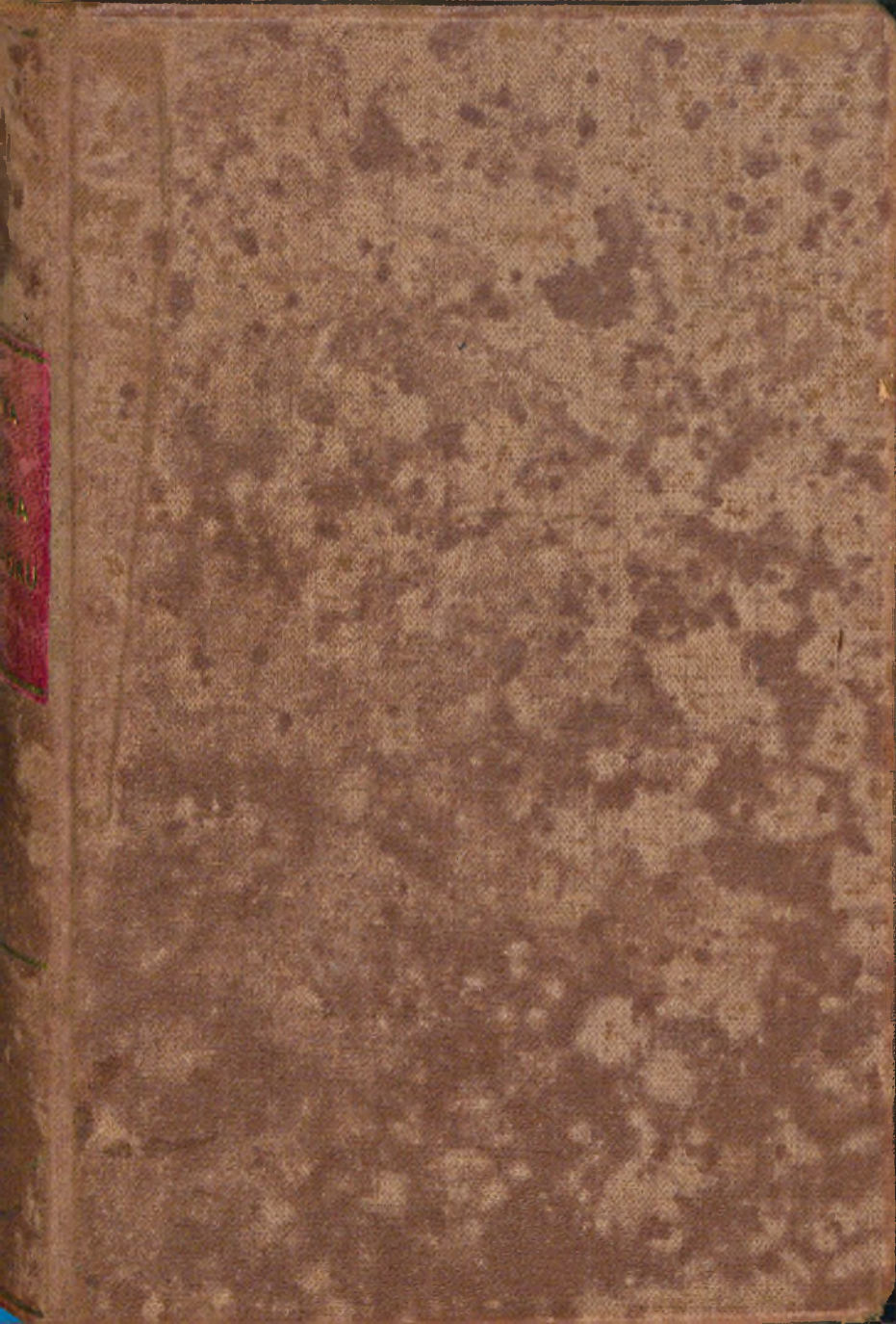
FR. RABITA

—

WARSZAWA

Z 1734 ROKU

S.D.



N^o _____



|| EX LIBRIS ||
STEFANA DZIEWULSKIEGO

I. 477, v.

[gammolski] Franciszek Rawita

FR. RAWITA.

WARSZAWA

OPOWIADANIE NA TLE DZIEJOWEM

z roku 1794.



Lwów 1895.
JAKUBOWSKI & ZADUROWICZ.

821.162.1



nr. 729



~~I. 474~~

"V"

Z DRUKARNI „PZIENNIKA POLSKIEGO“

pod zarządem Fr. Katnera.

~~nr. 273/46~~

BZOBPKP030-17

I.

Kościuszko, osłabiwszy siły moskiewskie w bitwie Racławickiej, wstrzymawszy ich pochód, pozyskał potrzebny mu czas do dalszej organizacji. Z temi siłami, jakimi rozporządzał, dalszej walki prowadzić z Moskwą nie mógł, bo byłoby to bezpożytecznem narażeniem wszystkich zdobyczy moralnych, jakie mu bitwa pod Racławicami przyniosła; potrzebował je wzmocnić i na całym obszarze ziem polskich zorganizować.

Denisow i Tormasow, po przegranej, przece-
niali siły Kościuszki i uderzyć powtórnie nie mieli odwagi z obawy narażenia całego korpusu na zupełne zniszczenie. Oczekiwali tedy na posiłki, pozwalając Kościuszce wzmacniać i organizować się.

Tymczasem cofnął się naczelnik do Bosutowa, tam okopał się obozem i główną kwaterę założył.

Moskale, w pędzie swoim złamani, z konieczności zbliżyć się musieli do Warszawy i siły swoje, w obec niepewnych losów, koncentrować. W ten sposób znaczna część Województwa Lubelskiego oczyściła się, ułatwiając poniekąd dalszą akcję Kościuszce, lecz utrudniając jednocześnie bliższe porozumienie się z ogniskiem, do którego zbiegały się wszystkie myśli i uczucia, narodu — z Warszawą.

Organizując armię i środki obrony, Naczelnik miał zamiar zbliżyć się powoli do Warszawy — która z konieczności rzeczy musiała stać się punktem dośrodkowym całej walki.

W tej myśli wyruszył z Bosutowa na Skalbmierz i dalej, odbierając po drodze pocieszające wieści o powstaniu w Dubnie, o ruszeniu się Grochowskiego, o marszu Wyszkwowskiego z Ukrainy.

Słuszne nadzieje budziły w nim energję, a szczery zapał wśród wojska, które po zwycięstwie pod Racławicami, otoczone aureolą sławy, stało się dla Moskali postrachem tak dalece, że w nowem spotkaniu nie chcieli się azardować, dopóki posiłki nie nadejdą.

Z jednej tylko strony nadchodziły niepokojące wiadomości: organizowanie oddziałów z włościan szło bardzo powoli, a głuche i niewesołe wieści obiegały pośród szlachty, która nie rozumiejąc ani celów, ani zadań Naczelnika,

przestraszona echem rewolucji francuskiej, chętnie nastawiała ucha na pogłoski, szerzone przez Moskwę i Prusaków, o jakobinizmie, gilotynie i skasowaniu pańszczyzny.

Tak stały rzeczy, gdy zaszedł nieprzewidziany wypadek, który zdecydował dalszy pochód malej, lecz zwycięskiej armji.

Przednia straż obozu dała znać, że zatrzymano podróżnego, który koniecznie pragnie widzieć się z Naczelnikiem.

Kościuszko kazał go przyprowadzić. Siedział właśnie pod namiotem i dyktował sekretarzowi jakiś rozkaz, gdy się zasłona odchyliła, a na progu ukazała się postać podróżnego. Twarz miał nieogoloną od kilku dni — a widać, że ją zwykle starannie golił, — okrągłą, z jowialnym, dobrodusznym uśmiechem na tłustych nieco ustach. Tylko oczy miał żywe, bystre, przenikliwe, rozumne. Zakurzony cały, opalony od wiatru i słońca, miał minę bernardyna przebranego.

Wszedł spokojnie, krokiem pewnym siebie, tabakierkę w obu rękach trzymając, a zanim Kościuszko miał czas głowę podnieść, nieznanomy odezwał się:

— Winszuję... winszuję... winszuję... świetnie... dalibóg świetnie...

Naczelnik porwał się na równe nogi i do przybyłego skoczył.

— Cóż to znowu za niespodzianka! — zawołał, ramiona wyciągając.

Przybyły z flegmą pewną w tabakierę stuknął, ku Naczelnikowi nieco posunawszy się.

— Widzisz... widzisz, Mości jenerale, żyjemy w czasach niespodzianek... Moskale i Prusacy sprawiają niespodzianki nam, ty Moskalom, a ja tobie...

Uściskali się jak starzy znajomi.

Kościuszko do sekretarza się zwrócił:

— Poproszę Waszmość pana na później — rzekł, ażeby się obecności jego pozbyć.

Gdy powstał sekretarz do wyjścia, Kościuszko serdecznym ruchem w pół ujął przybyłego i do składanego drewnianego krzesółka go prowadził.

— Widzę, żeś zdrożony... usiądź-że, mój drogi, usiądź...

Gwałtem go prawie posadził. Był to Kapostas, znany bankier warszawski.

Przybycie jego tak żywo zainteresowało Naczelnika, że z trudnością zadowolenie swoje pokryć zdołał.

— Myślałem, że cię dopiero w Warszawie oglądać będę.. — rzekł.

Kapostas tabakierkę w rękę kręcił.

— Mógłbyś mię kochanie wcale nie oglądać... — zauważył zwykłym swoim spokojnym tonem, głowy, schylonej nieco, nie podnosząc.

Kościuszkę zastanowiła ta uwaga.

— Cóż tam znowu nowego ?

— Nowego, kochanie, nic, ale stare rzeczy kością w gardle stoją...

Naczelnik wpadł mu w mowę.

— Czy Chorążanki nie spotkałeś? Posłałem ją właśnie do was do Warszawy z nowinami.

— Nie.

— Myślałem, żeś ją już widział, skoro wiesz o bitwie.

Kapostas zamysłony w tabakierkę stukał.

— Nie... O! — dodał po chwili — domyśleliśmy się, że się coś stało niezwykłego, bo nasz kochany generał ścisnął Warszawę takim kordonem, że bąk z zewnątrz nie przeleci...

Uwaga ta niemile dotknęła Kościuszkę, ale zachowaniu się Igelströma nie dziwił się — los jego, a może i bezpieczeństwo zależało od tego, ażeby wiadomość o bitwie Racławickiej najpóźniej przedostała się do Warszawy.

Po chwili Kapostas rzekł znowu:

— I ja musiałem uciekać...

Zatrzymał się na tym wyrazie, jak gdyby czuł, że myśl, niedostatecznie wypowiedziana, potrzebuje wyjaśnienia.

— Ostrzegli mnie przyjaciele, że Igelström krok w krok za mną szpiegów swoich posłał... Musiałem mu z oczu zejść trochę, no — i dowiedzieć się nareszcie, jak rzeczy stoją.

Mówiąc to, uśmiechał się zadowolony.

— A widzę, że świetnie stoją... świetnie... Zalałeś za skórę sadła Moskwićinom, że cię okrążają jak zapowietrzonego. Nic dziwnego przeto, że nasz kochany generał wścieka się w Warszawie.

Kościuszkę słuchał pilnie.

— Nic mi nie mówisz o najważniejszej rzeczy: — co się w Warszawie dzieje?

Kapostas, zamyślony, machinalnym ruchem w tabakierę stuknął.

— Ha, bo się dotychczas nic nie dzieje... mówi się tylko...

— Cóż przecie?

Kościuszkę miał dokładne relacje o tem, co się dzieje w Warszawie przez Zosię — znał więc nastrój ducha obywateli, jakoteż ich zamiary.

— Chorążanka opowiadała mi bardzo wiele... — wtrącił.

Dziewczyna, o której mowa, była pośredniczką między Naczelnikiem a spiskowcami w Warszawie.

Kapostas podniósł na niego żywe oczy i badawczo na twarzy zatrzymał.

— Od tego czasu, kochanie, rzeczy zniknęły się...

Tu się chwilę zatrzymał i znowu mówić zaczął.

— Uważasz... z jednej strony wściekłość Igelströma, a z drugiej głuche pogłoski o zwy-

cięstwie twojem mocno ludność poruszyły... więcej powiedziałbym — zdecydowały ją do kroku stanowczego.

— Jak to mam rozumieć?

— A bardzo prosto, kochanie moje... zaraz zrozumiesz. Igelström odgraża się, że na Wielkanoc z wszystkich mieszkańców Warszawy szynki zrobi... miasto zbombarduje... arsenał ograbi z broni.! Uważasz... Może on i ma takie zamiary, bo to dzika bestja, może straszy tylko, ażeby ludzie tem chętniej siedzieli cicho... Ale.. jemu się zdaje, że on w Moskwie gospodaruje... On się tedy odgraża, a ludność na kiel bierze...

Kapostas spojrział w oczy Kościuszce i rzekł z naciskiem:

— Uważasz? Ludność na kiel bierze, a Igelström wścieka się...

Tu gość w tabakierę parę razy stuknął.

— Trzeba z tego korzystać... ha? Jak myślisz?

Kościuszko zamyślony siedział.

— Wojsko mamy za sobą... lud możemy mieć w każdej chwili — ciągnął Kapostas — trzeba tedy z dobrej sposobności skorzystać... Wy tu bijecie Moskali, a my tam cichutko kurtę im skroiny — a póki nowe posiłki przyjdą, będziemy mogli stworzyć potężną armię i do boju wyprowadzić.

— Mądrze mówisz — zauważył Naczelnik, a myśl ta, tak mu się podobała, że się uśmiechnął mimowoli — trzeba tylko, jak powiadasz, pierwaj kurtę skroić.

Tu Kapostas żywo się ruszył i za rękę Naczelnika pochwycił.

— Skroi się... skroi się kochanie... — zawołał przyciszonym głosem. — Ja uciekłem wprawdzie od Igelströma, bo to niewielka rozkosz w lochu jego pałacu siedzieć, ale skoro będzie potrzeba, tym samym wózkiem, com przyjechał, wrócę do Warszawy i — ręką po piersi stukając, kończył — daję ci słowo, za trzy dni będziesz miał rewolucję, ale z tym tylko warunkiem, że i ty do nas przyjdiesz.

— Idę przecie...

— Ale powoli... Nie dość, że idziesz, trzeba, ażeby ludność miała tę pewność, że idziesz, że ją w razie potrzeby od zemsty moskiewskiej zastłonisz. Jestem pewny, że wypędzimy Moskali, ale trzeba, ażebyśmy za plecami czuli ciebie; trzeba przecież natychmiast rząd sformować, bo tego upudrowanego królika nikt za psi ogon nie ma... Niech ludzie wiedzą, że idziesz kochanie do Warszawy jako zwycięzca — i tego będzie dosyć. W tym celu należy nawiązać ze stolicą regularne i dobre stosunki.

— Powiem ci to, co już mówiłem Kołłatajowi i Potockiemu jeszcze przed Raclawicami:

jak tylko zorganizuję powstanie wszędzie, gdzie można, natychmiast do Warszawy ruszę — inaczey co bym tam robił?

Muszę być pewnym, że za plecami swemi będę miał wojsko.

Kapostas niecierpliwie w tabakierę stukał.

— Masz kochanie trochę racji - rzekł — być bardzo może, że z punktu wojskowego robisz dobrze, lecz tam, gdzie trzeba bić się, znajdziesz niejednego wyręczyciela, a tam, gdzie trzeba głowy i ducha, nikt cię nie wyręczy. Ty musisz kochanie stać tak wysoko, ażeby cię wszyscy widzieli i do ciebie się schodzili — takie miejsce zająć możesz tylko w Warszawie.

— Idę tam, przyjacielu, czy przyjdę tydzień wcześniej, lub później, nic na tem nie stracimy teraz, a zyskać możemy bardzo wiele.

Rozmowa przeciągnęła się długo i tem się zakończyła, że Kapostas do Warszawy wrócił, a Kościuszko posunął się dalej i pod Połańcem się okopał.

Denisow i Tormasow obserwowali go z daleka, nie mając odwagi po raz drugi stoczyć z nim bitwy, wyczekując posiłków, lub stanowczych rozkazów od Igelströma. Rozkazy jednak nie nadchodziły, a była potemu bardzo ważna racja, o której nie wiedzieli, ani obaj generałowie z pod Racławic, ani Naczelnik — chodziło o to, jaką rolę przyjmą w wojnie Prusy?

Między dworem berlińskim a petersburskiem trwały pertraktacje tajemne, bo naraz najjaśniejszy król pruski i nasza wierna aljantka przekonali się, że prowincje, wydarte Rzeczypospolitej, odebrane być mogą

Naczelnik nie wiedział o tem, dążąc do Warszawy. Zresztą nie liczył nieprzyjaciół i nie pytał, jacy są, lecz skoro można było — bił ich.

Wisła dzieliła Moskwę od Kościuszki. Wiedział on, że Grochowski, powołany przez wojsko na dowódcę i mianowany generałem, ściąga ku niemu z pomocą i dla tego zajął mocne stanowisko pod Połańcem, oczekując jego przybycia. Za Wisłą miał przed sobą armję moskiewską, która niezdecydowana i nieczująca się dość na siłach, nie śmiała go atakować, paliła tylko wsie polskie i ludność obdzierała z mienia.

Naczelnik zajął wyniosłe, piaszczyste wzgórce nad Wisłą, oparłszy się z jednej strony o granice Galicji, skąd zasilał obóz pożywieniem, a czoło przeciwstawiwszy Moskwie, leżącej obczem beczynnie, chociaż w sile przemożnej. Awangardą dowodził Madaliński, wysunąwszy się aż ku brzegom rzeki i zajmując posterunki obserwujące Moskali, a Naczelnik z głównym korpusem zajął całą łysą górę i szancami ją okopał.

Wojsko jego, złożone przeważnie z kosynierów, obozowało po chłopsku, pod gołym niebem,

bez namiotów, bez przykrycia, niezasłonięte drzewem żadnem, krzakiem żadnym, pod palącemi promieniami słońca. Tylko kosy Krakusów, w ziemię wetknięte, grały i mieniły się do słońca w różne barwy. Pośrodku tego wzgórza, otoczonego wałem i armatami, stały tylko trzy namioty — Naczelnika, sztabu i kancelarji.

W takiej pozycji obie strony wyczekiwały stanowezej chwili, — Moskałom i Polakom nie pozwoliła zmierzyć się ze sobą Wisła.

Tu nadeszła wiadomość, że Grochowski ze swego stanowiska się ruszył i na pomoc swoim dąży. Chodziło tedy o to, ażeby go uprzedzić, jak rzeczy stoją i wspólną akcję rozpocząć przeciwko Moskałom. Potrzeba było powiadomić Grochowskiego, ażeby udając, że dąży do obozu i rozpuszczając pogłoski o tem, starał się przejść przez Wisłę i tył zająć Moskałom, — wtenczas możnaby było ich wziąć we dwa ognie.

Taka stanęła decyzja na radzie wojennej. Należało tylko wynaleźć sprytnego chłopca i pchnąć go co rychlej do Grochowskiego.

Naczelnik, jak zwykle w takim razie, do Bartosza Głowackiego się zwrócił, z planu mu się zwierzywszy.

— Masz bracie jakiego roztropnego człowieka do takiej roboty?

— Mam, Naczelniku.

— Każ-że go zawołać...

W pół godziny może potem stanął przed drzwiami namiotu Kościuszki chłopisko i pokornie czapkę w rękę trzymając, czekał, aż go zawołają. Stał długą chwilę jak niemy, potem chrząkać począł, dając w ten sposób znać o sobie.

Odchyliły się płócienne drzwi namiotu i ukazała się w nich postać Bartosza. Nic nie mówiąc, skinął ku niemu palcem, do wnętrza zapraszając.

Chłop wszedł i tuż przy płótnie stanął.

— Jest, Naczelniku — odezwał się Bartosz do Kościuszki, siedzącego tyłem do drzwi namiotu.

Naczelnik wstał i jednym spojrzeniem stojącego chłopca ogarnął.

Chłop czapką do kolan się schylił.

— Toć przecie znajomy nasz, Bartoszu — zauważył Kościuszko.

— Jużci... ten się sprawi...

— Znasz drogę?

— Znam Wielmożny Naczelniku.

— Zuch jesteś...

Tu Kościuszko rękę na ramieniu chłopca położył i rozkaz swój wykladał jasno, spokojnie, zrozumiale.

Owym chłopem był dobrze Naczelnikowi znajomy Łobos, używany już przedtem do posług w obozie. Stał tedy, słuchał, czapkę mnąc

w rękę, a oczy mu ledwie z orbit nie wyskoczyły. Co chwila tylko powtarzał:

— Dobrze, dobrze Wielmożny Naczelniku...

Gdy się instrukcja skończyła, Kościuszko spytał:

— Jakże ty sobie poradzisz?

— Poradzę...

— Przecie?

Łobos w głowę poskrobał się.

— Wezmę ino przed siebie dwie owieczki... i... popędzę... one mię do jenerała zaprowadzą.

Naczelnik go znowu po ramieniu poklepał.

— Dobrze bracie, dobrze... Ruszaj z Bogiem, a duchem mi się spraw... Obaczysz się jeszcze z Madalińskim i opowiesz się mu, że idziesz...

— Jużci.

Łobos nie miał czasu do stracenia; jak stał, tak i poszedł.

II.

Rankiem, korzystając z chłodu i świeżości, wybrał się Kościuszko z całym sztabem do kościoła.

Spóźnił się trochę. Już było po kazaniu, gdy się w ubogim kościółku wiejskim rumor nagle zrobił: od drzwi wchodowych zabrzęczały nagle pałasze i kruchta kościelna zaczęła się wypełniać oficerami różnego stopnia. Od dwóch pokoleń nie widziano w kościele tylu wojskowych, nie brzęczały tak szable — więc się oczy wszystkich mimowoli w tył zwracały i zatrzymywały się na błyszczących kaskach i amarantowych wyłogach. Ale największe podziwienie wywołał jeden, idący na czele orszaku, koło którego garnęli się wszyscy z uszanowaniem i honorami. Był on ubrany w szarą siermięgę krakowską, taką samą, jak chłopci, kościół nappełniający.



Ledwie się ten orszak z chłopem na czele na progu ukazał, wnet się ludzie ścisnęli do kupy, a środkiem kościoła, między ławkami, zrobiło się wolne miejsce aż do ołtarza. Ludzie miejscowi nadziwić się nie mogli, że chłop szedł przodem, a za nim jenerałowie. Słyszeli coś o jenerale chłopskim, który z kosynierami Moskalom skórę wytrzepał, ale — czyżby to był on? Więc się wszystkich oczy, jak w tęczę w niego utkwiły, wyczekując rozwiązania tej dziwnej zagadki.

Kosynierowie, których było najwięcej w kościele, wiedzieli, kto to był ten chłop przodem idący; a starzy ludzie z okolicy, którzy pilnie słuchali cudownych baśni o swoim jenerale, domyślali się wszystkiego.

Przed wielkim ołtarzem było kilkadziesiąt szlachty, a w kolatorskiej ławce siedział IMé. pan Rogala Zajączkowski, szlachcic z Połańca, Bobrowej woli i Rogalinek małych. Siedział głęboko w ławie, ino mu błyszczała spocona łysina i jaśniał amarantowy kontusz.

Naczelnik z całym sztabem przed wielkim ołtarzem stanął i mszy świętej do końca słuchał.

Już ksiądz, przeczytawszy Ewangelję, miał się odwrócić od ołtarza i *ite missa est* powiedzieć, gdy jenerał Wodzicki, nachyliwszy się do Kościuszki, szepnął:

— Nasz znajomy z Krakowa...

Naczelnik nie nie odpowiedział, tylko w stronę IMé pana Rogali Zajączkowskiego okiem powiódł — poznał go oczywiście.

IMé pan Rogala z wielkiem zdziwieniem i ciekawością przypatrywał się temu orszakowi i oczyma od jednego do drugiego tak wodził, jakby kogo znajomego szukał. Nie umiał jednak pohamować swojej ciekawości, bo się do sąsiada pochylał i coś mu do ucha szeptał.

Ksiądz pleban tymczasem odwrócił się do zgromadzonych i zaśpiewał: — *Ite missa est...*

Przeżegnał wszystkich, a wnet od szarego końca, od drzwi, tłum ludzi na dziedziniec kościelny posunął się.

Poszedł ksiądz do zakrystji, a za nim szlachta hurmą, jako że było w zwyczaju, po mszy świętej na kieliszek gorzały do księdza proboszcza wstąpić. Dziś jednak wyglądało wszystko bardzo hucznie i odświętnie — widocznie był to większy zjazd szlachty.

Wycisnął się także IMé pan Rogala ze swojej ławki i wprost do Naczelnika wali. Stał przed nim, ręce rozwiódł i zegnać się począł, w twarz jego patrząc:

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Patrzę i oczom swoim nie wierzę, mój dobrodzieju... Czyś to ty, czyś nie ty?

Odwrócił się, rękę do góry podniósł, robiąc nią znak taki, jakby wszystkich ku sobie chciał przygarnąć i huknął na cały kościół:

— Mości panowie! Proszę do mnie!

Potem rękę do Kościuszki wyciągnął tak serdecznie, jakoby z nim sto lat żył w najlepszej przyjaźni i ścisnąć go począł.

Przywitawszy się hałaśliwie, odstąpił od niego o krok w tył i znowu przypatrywać się począł.

— Cóż to Waszmość tak honorujesz sukmanę chłopską? — zapytał.

— Zasłużyła sobie...

— Gdybyś Moskali nie trzepał, jak się patrzy, myślałbym, żeś farmazon francuski...

Tymczasem szlachta na głos IMć pana Rogala kupą ruszyła się od zakrystji i otoczyła Naczelnika, przypatrując się mu z niedowierzaniem i ciekawością.

Wtem IMć pan Rogala do garnącej się szlachty odezwał się:

— Mości panowie! Zaprosiłem Waszmość panów z całego sąsiedztwa do siebie, ażeby w domu moim powitać naszego zbawiciela od Moskwy. Miałem zamiar udać się do niego do obozu z prośbą, aby naszym powitaniem nie pogardził. Kiedy jednak sam do domu Bożego, jako prawy katolik, przybył, zapraszam go w mojem i waszem imieniu do siebie, z całym sztabem.

Warszawa.



Tu ręką skinął, na znak ukłonu, ku Kościuszce i jenerałom.

Szlachta huknęła z całej siły :

— Niech żyje Kościuszko!

— Niech żyje Polska!

Ludzie, widząc tę ceremonję, przestali wychodzić z kościoła i przypatrywali się całej scenie. Gdy szlachta krzyknęła: niech żyje Kościuszko! nawa kościelna rozległa się od frenetycznych okrzyków :

— Niech żyje Naczelnik! Niech żyje obrońca Polski!

IMć pan Rogala, znowu zwróciwszy się do szlachty i orszaku, rzekł :

— A więc do mnie Mości panowie — proszę!
Dictum — factum.

Pod ramię Naczelnika ujął, a opierającego się trochę i niezadowolonego, gwałtem prawie ku zakrystji pociągnął. Za nim ruszyli wszyscy.

Tymczasem ksiądz proboszcz, zdjawszy ze siebie ornat i słysząc, że w kościele odbywa się jakaś głośna certacja, niby jakieś obrady sejmikowe, z zakrystji wyszedł, a na samym progu prawie z IMć panem Rogalą się spotkał, który Naczelnikowi asystował.

Proboszcz znał Kościuszkę jeszcze z dawnych czasów, a właściwie nie bardzo dawnych, bo z czasu wojny z r. 1791, więc go serdecznie powitał.

— Oddałeś Jaśnie Wielmożny Naczelniku co bożego — Bogu, a teraz gościem naszym jesteś i ty i twoi waleczni pomocnicy. Proszę do mnie na wódeczkę... mam własną, nie żadną gdańską, ani małmazją zaprawną, lecz przepalankę... proszę...

IMć pan Rogala nie pozwolił nawet odpowiedzieć Kościuszce, wpadł w mowę proboszcza.

— O, przepraszam księdza proboszcza, już dzisiaj z waścina przepalanką kwita... wypijemy ją innym razem... na dzisiaj ja sprosiłem całe sąsiedztwo do siebie, w moim też domu godnego obrońcę szlacheckiej wolności podejmować będziemy. Mówiłem ci o tem księżę proboszczu, zgodziłeś się, no teraz — siedź cicho z przepalanką...

Ksiądz ramionami ściągnął i obiema rękoma ruch rezygnacji w powietrzu zrobił.

— Ha! Masz rację Waszmość... ustępuję.

IMć pan Rogala czuł się tu gospodarzem — chodził zamasyście, mówił śmiało i głośno, jakby dyspozyceje ekonomom wydawał; widać, że był na swoich śmieciach.

Tak się tedy wszystko ruszyło z zakrystji na dziedziniec kościelny, ażeby się dostać do swoich koni, pojazdów i kałamaszek. Ku wielkiemu zdziwieniu szlachty dziedziniec był jak nability ludźmi. Było tam sporo kosynierów, którzy się z obozu do kościoła wyprosili, ale najwięcej

włościan ze wsi okolicznych. Dowiedziawszy się od Krakusów co to za chłop chodzi w szarej sukmanie, a przy szabli, wyszedłszy z kościoła, zatrzymali się wszyscy na dziedzińcu, ażeby się lepiej przypatrzeć temu dziwnemu Naczelnikowi, który bije się za Polskę, werbuje do wojenki chłopów z kosami, a sam w sukmanie nie wstydzi się chodzić.

Starzy ludzie, niewiasty, młodzież, stojąc rozmawiali o tem.

— Ruszyły się nasze chłopcy, da Bóg będzie żniwo!

— Czas... co ino trzeba będzie patrzeć kossarzy...

— Znalazł się podstarość, co do roboty chłopów spędził... — ktoś pozartował.

Śmiech powstał w gromadzie.

— Przekupią go pany...

— Nie da się...

W tem ktoś w tłumie szepnął.

— Idą już... idą...

Wszyscy jak czaple wyciągnęli szyje, stając na palcach i ku zakrystji spoglądając.

Istotnie — wysunął się naprzód IMci pan Rogala z Kościuszką, tuż obok ksiądz proboszcz, a za nimi hurmem szlachta przy szablach i bez szabel. Kto był bez szabli, ten nadzieak w garści trzymał. Choć to niby i nie wolno było cho-

dzie z nadzieją do kościoła, ale folgową sobie szlachta ku wygodzie.

Ledwie się Kościuszko na dziedzińcu pokazał, gdy chłopci, podnosząc czapki do góry, krzyknąć co siły poczęli:

— Niech żyje Polska!

— Żyj naczelniku nasz.. nasz... nasz...

Zdawało się, że tłum chłopów umyślnie nacisk kładł na ten wyraz: nasz.

IMci pan Rogala zżymał się i wiercił, jakby go kto szczypał i tylko pomrukiwał z pogardą:

— Zwarjowały chamy...

Oprócz Kościuszki nikt tego nie słyszał, nawet chamy w tej chwili myśli swoje, uczucia i słuch w inną stronę zwracały, skąd im grały, niesłyszalne dla IMci pana Rogali, echa nadziei i wolności.

Przesuwali się tedy ku furcie powolnie, wśród bezustannych krzyków:

— Niech żyje nasz Naczelnik! Nasz... nasz... nasz..

Matki i ojcowie brali na ręce dzieci drobne i podnosili do góry.

— Patrzajta... a dobrze, byście sobie zapamiętały na całe życie... Doczekały się chłopcy swego jenerała...

Dzieciom ledwie oczy z orbit nie wyskakiwały...

Szept dzieci i kobiet: nasz... nasz... nasz..
mieształ się z krzykiem mężczyzn:

— Niech żyje Kościuszko! Niech żyje
Polska!

Naczelnik szedł ku furcie, a gołe głowy
chłopskie i czapki pochylały mu się do kolan
śródm krzyków!

— Niech żyje Kościuszko! Niech żyje
Polska!

Kościuszko szedł bez czapki — w rękę ją
trzymał i kłaniał się na wszystkie strony.
Z twarzy jego niemej i bladej, z oczu błę-
szczyjących znać było głębokie wzruszenie.

A tymczasem tłum ciągle krzyczał:

— Nasz... nasz... nasz...

Już przy samej furcie, Kościuszko odwrócił
się do zgromadzonych, podniósł wysoko czapkę
do góry, głowę wyprostował i z całej siły zawołał:

— Niech żyje Polska! Niech żyją chłopci
polscy, zwycięzcy z pod Racławic!

Rumor się zrobił wielki. Ci, co bliżej Naczelnika
stali, na kolana upadli i ręce ku niemu wy-
ciągając, wołali:

— Ratuj Polskę! Pójdziemy z tobą! Ty
nasz... nasz...

IMć pan Rogala mocno pociągnął Kościu-
szkę za ramię i w jednej chwili znaleźli się za
furtą. Szlachta hurmem ruszyła za nimi.

Rzucili się wszyscy do koni, do kolas — a za furta tłum ludzi wołał ciągle:

— Ratuj Polskę! Ratuj nas!

Śród tych okrzyków zebrana dla uczczenia Kościuszki szlachta okoliczna, pojechała do dworu IMć pana Rogali.

Gościnny gospodarz zabrał Naczelnika, Wodzickiego i Madalińskiego do swojej kolasy.

Kościuszek mocno nie rad był ani tym zaproszeniem, ani tej roli obrońcy wolności szlacheckiej, jaką mu IMć pan Rogala narzucał. Inaczej on tę wolność rozumiał, do innej dążył, niż IMć pan Rogala, układał sobie jednak w myśli, że z tego zgromadzenia szlachty skorzysta, ażeby im do serca i rozumu przemówić.

W drodze odezwał się IMć pan Rogala:

— Kosynierzy Waszmość Pana zbałamucą nam chłopów w całej Polsce.

Kościuszek spokojnie zapytał:

— Dlaczego?

— Chłop do roboty, szlachcic do korda — odciął krótko IMć pan Rogala.

Naczelnik nie chciał bez potrzeby drażnić ani dostojnego gospodarza, rozmiłowanego w swoim szlacheństwie, ani zrażać innych. Wiedział, że to do niczego nie prowadzi. On swoje robił. Odpowiedział wymijająco:

— Tam, gdzie chodzi o obronę Ojczyzny,

trzeba wszystkich wołać... Przekonałem się, że i chłopci mogą być bardzo przydatni.

Właśnie, gdy te słowa Naczelnik wymawiał, kolasa zatrzymała się przed dworem IMé pana Rogali Zajączkowskiego.

Dwór, jak wszystkie dwory na poniziu Wisły, był schowany formalnie w cieniu liści i drzew. Szerokie, potężne, wielkie, gałęziste topole nadwiślańskie otaczały go kilkakrotnym wieńcem dokoła, a pomiędzy nimi, niby młodzieńce wysmukli i strojni, strzelały w górę, jak świece rzymskie, topole włoskie. W tem zielonem gęstym otoczeniu rozsiadł się szeroko, rozłożyście modrzewiowy dom IMé pana Rogali, poczerniały od słońca i słoty.

Stał tu już od kilku pokoleń widocznie, z których każde coś przybudowało dla siebie, Wszędzie było przestronno, swobodnie, dom sam nie pędził w górę, lecz rozsiadał się szeroko i wygodnie na płaszczyźnie, między topolami; dobrze mu było w tem miejscu: z jednej strony pluśkały fale Wisły, z drugiej szumiały łany zbóż z trzeciej wiatr hulał, szarpiąc wierzchołki jodeł, a tu i ówdzie złościły się do słońca wzgórze piachów. Kąt jakby umyślnie stworzony na to, ażeby tu życie całe spędzić, nic nie wiedząc o tem, co się dzieje na świecie. Owe szумы topoli, Wisły i lasów kołysały codziennie ludzi do snu spokojnego i długiego.

Spał też IMć Pan Rogala smacznie — i dobrze mu z tem było. Przechodziły burze nad Europą i nad jego własną Ojczyzną, ale do dworu tylko echa tych burz dolatywały — i to nie zawsze wyraźnie, nie zawsze ze strony właścicielowej. Tak tedy kilka pokoleń Rogalów przespało sobie spokojnie, a IMć pan Jacenty, terazniejszy dziedzic i pan, jak sobie chrapnął za Augusta III, mało co nie wnet po koronacji, tak przespał szczęśliwie nietylko panowanie Sasa, przegryzając własną kiełbasą i bigosem, a zapijając własnem piwem wszystkie sprawy publiczne, lecz przespał także wszystkie klęski, spadłe na biedną Ojczyznę za panowania upudrowanego francuzika. Kołysany do swu szumem swoich fal, swoich sosen i jodeł, karmiony tłusto tem, co ziemia ojczysta rodziła, zapomniał o tej ziemi i o obowiązkach względem niej, wierząc święcie w słowa ks. proboszcza, że pan Bóg wszystko dla człowieka stworzył. Masz mój miły człowieku, czego dusza zapragnie, tylko używaj. Używał tedy IMć pan Rogala, nie pchając się do wysokich urzędów i Warszawy i byłby może zeszedł ze świata ze spokojnem sumieniem, gdyby go był los do Krakowa dla jakiegoś interesu nie sprowadził i gdyby nie był Kościuszki obóz w pobliżu jego siedziby rzucił.

Obudziło się w nim uczucie Polaka, zrozumiane po swojemu. IMć pan Rogala kraj kochał,—

to wątpliwości nie ulega, brakło mu tylko zupełnie poczucia obywatelskiego. Zdawało mu się, że dość zapłacić poradnie i posiadać ziemię, ażeby być obywatelem kraju. Półwiekowy sen i spokój zabił w nim i zagłuszył wszystko, co było szlachetniejszego. Serce i umysł trzeba także odświeżyć, ażeby iść równym krokiem z ludźmi i czasem. Z człowiekiem dzieje się to, co z polem żyznem, lecz zachwaszczonem z braku starania i dozoru: im bujniejsze pole, tem podlejsze i większe chwasty na niem rosnać będą. W duszy ludzkiej buja taki chwast nie lada — miłość samego siebie; kto siebie ukochał, w tego sercu nie ma już miejsca na miłość inną. Trawa nie rośnie pod szerokimi, pełzającymi przy ziemi liśćmi łopianu.

Takim człowiekiem, rozkochanym w sobie nieświadomie i w szlachectwie, na które nie zapracował, był IMci pan Rogala. Nie przeto dziwnego, że Moskali uważał za nieprzyjaciół osobistych swoich, a Kościuszkę za swego obrońcę.

Gdy się do dworu zbliżali, dały się słyszeć salwy z moździerzy i armatek.

— Piękne armaty... — zauważył Kościuszko.

— Od czasów szwedzkich jeszcze... — dodał IMci pan Rogala. — Używamy ich na powitanie dostojnych gości.

Madaliński na to:

— Wcale dobre... Przydałyby się i na powitanie Moskali.

Kolasa zatrzymała się przed gankiem, a marszałek dworu IMci pana Rogali zbliżył się do stopni i podał rękę po kolei gościom, potem gospodarzowi.

Później, jeden po drugim przyjeżdżali inni — spokojnie i bez ceremonji ; nie grzmiały już na ich powitanie moździerze i nie pokazywał się na ganku marszałek. Zjazd był bardzo liczny — może kilka set szlachty przybyło. Nietylko ci, którzy w kościele asystowali, lecz inni także widocznie z dalszej okolicy. Łatwo można było domyśleć się, że zjazd nie był przypadkowym, lecz zwołanym przez IMci pana Rogalę w celu uczczenia Kościuszki i że się do niego przygotowano należycie.

Napełniły się tedy liczne pokoje dworu co wytworniejszą szlachtą, a szary gmin szlachecki, zjeżdżający się kupami, często oklep i bez butów, przy szabli tylko, zalegał część ogrodu i dziedziniec, który jednym skrzydłem z ogrodem się łączył.

W ogrodzie, tuż przy domu, rozciągającym się na olbrzymiej płaszczyźnie, otoczonej stuletniami lipami i topolami nadwiślańskimi, które miłym chłodem pokrywały szerokie drogi ogrodowe i zielone kobierce gazonów, przygotowano przyjęcie dla gości. Stały tam na kozłach be-

czki z piwem i zwykłym węgierskim winem, beczutki z gorzałką i antałki z droższym węgrynem, a na szerokim stole, który się ciągnął zda się bez końca i w perspektywie alei lipowej ginał, bliżej dworu stały ceberki, lodem wypełnione, a w każdym z nich po kilka butelek wykwiutnego wina.

Od frontu stołu, może do połowy, bo końca, jak powiedziałem, nie było widać, stały regularne nakrycia z talerzy farforowych, przy których łyżki, widelce i noże były srebrne. Oprócz tego piętrzyły się stosy takich samych talerzy, obok nich łyżki i noże, a tu i ówdzie kubki srebrne kulawe i stojące — widocznie bardziej ku ozdobie, niż do użycia; natomiast przy każdym talerzu były niewielkie kieliszki, oprócz tego spore kielichy kryształowe. Pomiedzy stosami talerzy, wypełniających środek stołu, stały na srebrnych półmiskach rozmaite cukry, owoce kandyzowane, torty wysokie z napisami: Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszko! Wiwat gospodarz! — i inne. Wszystko lśniło się tu od srebra, imponując nietyle gustem, ile bogactwem i ilością.

Uderzała jednak dysproporcja, jaka panowała między przybraniem czoła stołu, że tak powiem, i drugiej jego połowy, ciągnącej się do szarego końca. Tam już nie było ani farfurek malowanych, ani nożów, ani widelców — tylko po-

między z rzadka stojące półmiski z cukrami, stały w wysoką piramidę talerze cynowe, długim rzędem aż do końca — głębokie i płytkie na przemian, otoczone grupami kielichów, większych i mniejszych, jakoteż zwykłych szklanic, z lichego zielonkawatego szkła krajowego. Złotych kubków, czar, a nawet małych kieliszków nie było wcale, ale natomiast gęsto wznosiły się piramidy żytniego chleba. Widać, że ci, którzy z tej strony mieli zasiadać, mało dbali o to, czem jeść będą i pić i z czego, byleby tylko było co jeść i pić.

Ktoby się był wzdłuż tego nieskończonego, zda się, stołu przeszedł, byłby łatwo zauważył, że u IMé pana Rogali jeszcze stary obyczaj walczył z nowym, jak u starego szlachcica, który konfederatkę już zrzucił, a wdział jakiś napółmodny kapelusz, ale na pozbycie się kontusza zabrakło mu jeszcze pieniędzy, a może i rozstać się z nim nie chciał, bo był wygodny i przestronny. Wygodnym był i ów starodawny zwyczaj zastawiania stołów, przy którym każdy sam sobie służył, albo jeden drugiemu — z grzeczności, nie potrzeba zaś było ani sztucznej zachęty, ani sztucznej ceremonji.

Gdy IMé pan Rogala z gośćmi w mundurach wszedł do wnętrza dworu, jakby na znak jaki niewidzialny, służba poczęła stół ów nieskończony napełniać potrawami. Nie były to wy-

tworne dania, jakie w owe czasy już kuchnia francuska spopularyzowała u nas. Na początek stołu, na czoło stawiano wazy, na szary koniec misy olbrzymie, tak, że je pachotkowie we dwójkę nieśli, ale w tych misach, jak i w wazach był zwyczajny barszcz polski ze szperką i kiełbasą; potem wnoszono bigos hultajski, z różnego mięsiwa, z kiełbasy i słoniny drobno pokrajanej, z kapustą kwaśną pomieszanych, wreszcie zwykłych żółto brzuchów pełne misy, czyli flaków, mocno sosem imbirowym podlanych.

Na tem się donoszenie potraw na razie skończyło. Nie stawiano wszystkiego na stole dla parady, przynoszono to tylko, co miało być spożytem na miejscu, natychmiast, mając na względzie nie ozdobę stołu, lecz smaczność i ciepło potraw.

Gdy się barszcz i bigos zadymił na stołach, IMć pan Rogala na ganek wyszedł, palec wielki lewej ręki za pas zamaszycie założył i do rojącej się na dziedzińcu szlachty odezwał się:

— Proszę uprzejmie Waszmościów na barszcz i na flaki!

Tu zdjął konfederatkę i ukłonił się wszystkim.

Kilkaset głosów huknęło z całej siły:

— Niech żyje IMć pan Rogala Zajączkowski! Niech żyje Kościuszko!

IMé pan Rogala cofnął się do pokojów, a szlachta, dobrze wygłodzona, kupą ruszyła do ogrodu, idąc jak na niedźwiedzia, na zapach bigosu i flaków.

Drugą stroną domu, dotykającą bezpośrednio ogrodu, wyszedł z pokojów gospodarz w asystencji Kościuszki i sztabu, jakoteż licznej gromady szlachty, wybitniejszej z okolicy.

Gdy się Kościuszko pokazał, tym razem bez sukmany, którą na mundurze amerykańskim nosił, tłum znowu poruszył się jak fala — ten i ów na palce stawał, aby Naczelnika zobaczyć, a co ciekawsi przeciskali się bliżej. Z kilkuset piersi wydobył się głos jeden:

— Niech żyje ojczyzna! — Niech żyje Kościuszko!

— Naczelnik głową na wszystkie strony się kłaniał.

Wśród tej wrzawy ktoś odczwał się basem:

— Mości panowie! Uciszcie się!

Nastąpiła cisza. A przy honorowym końcu stołu ukazał się ksiądz proboszcz i modlitwę przedobiednią odmawiać począł. Potem, kropidło wzięwszy do ręki, szedł wzdłuż stołu i dygniący się bigos i flaki święconą wodą kropił; stół obszedłszy do koła, na dawne miejsce wrócił. Potem znowu IMé pan Rogala na cały głos krzyknął:

— Teraz możemy spożywać dary boże...
 Proszę Waszmość panów...

Usiadł, a obok niego i sztabu Kościuszki usadowiło się kilkudziesięciu szlachty; dalej, od środka, każdy już się lokował jak mógł. Stały tylko ławki, ale z nich nie wszyscy korzystali. Kto się czuł mocno zmęczonym — przysiadł, kto był mocniejszy w nogach — stojąc spożywał dary boże.

Jakkolwiek cynowych łyżek i talerzy było dużo, niektórzy nie korzystali z tego o tyle, że łyżki mieli własne, za pasem zatknięte, tak samo, jak noże i widelce składane — nosili w kieszeni; ażeby tedy czasu nie tracić na dzielenie potrawy na talerze, ten lub ów przysuwał ku sobie całą misę bez ceremonji i wołał:

— Panowie bracia! — Kto do nas? —
 Proszę...

Zawsze się znalazła gromadka, która skupiwszy się przy jednej misie, dobywała z za pasa łyżek i zmiatała żółtobruchy lub bigos hultajski tak, że aż za uszami trzeszczało.

Gdy na honorowym końcu wszyscy usiedli na krzesłach, skrzypowani tem nieco, na szarym — szlachta kupiła się okolicami lub gromadami koło swego przewódcy, który i do łyżki i do gadania był pierwszym — i już komendy jego słuchała, na nikogo uwagi nie zwracała, zachowując się z taką swobodą, jakby jadła przy

własnym stole. Gwar, głośna i wesoła rozmowa, brzęk talerzy i łyżek — wszystko to mieszało się razem, tworząc ożywioną i podniecającą atmosferę.

Przyjemny chłodek ogrodu, cień rozłożystych lip i topoli odpoczynek, i spożycie czynił jeszcze bardziej miłym.

Zgłodniała trochę i spragniona szara szlachta już zezem spoglądała na puste kielichy i szklanice, radaby co rychlej zakropić złotobrzuchy i bigos, ale trzeba było czekać sygnału.

Dał ten sygnał IMć pan Rogala jako gospodarz. Pacholek nalał mu do małego kieliszka wina. Gdy to szlachta ujrzała, wnet się co niepokojniejsi ruszyli ze szklankami do antałków, a służba tymczasem, dla ułatwienia, toczyła wino do wielkich szklanych lub glinianych dzbanów i na stole stawiła. Napełniano po kolei dzbany winem, lub piwem, gdzie który mógł, tam stawiał, o nic się nie troszcząc, a szlachta sama sobie do kielichów lub szklanic nalewała, co komu do smaku przypadało. Brzęk szkła, rwetes, harmider panował jak na jarmarku. Nikt jednak nie pił.

III.

Wreszcie powstał z kieliszkiem w ręku IMć pan Rogala. Wszystkich oczy skierowały się ku niemu i nastąpiła cisza oczekiwania.

— Mościpanowie i bracia! — odezwał się, kieliszek w ręku trzymając.—Mieliśmy niegdyś złotą wolność w naszej miłej Polsce, aleśmy nie zawsze z niej korzystać umieli, nie zawsze ją uszanować potrafili. Nie pozwalaliśmy ani królom własnym, ani obcym panom jej ścieśniać, a dość było jednemu szlacheicowi krzyknąć: niepozwalam, ażeby rzecz szkodliwa dla nas się nie stała. Dzisiaj liberum veto nam odebrano, wolność szlachecką względem chłopów ściśnięto, a Moskwa obdziera nas i rabuje z majątku. Teraz dopiero wiemy, jak wolność smakuje. *Non agnoscitur bonum nisi omissum.* To dobre, czego nie ma. Doczekaliśmy się jednak i sprawiedliwości Bożej: oto posłał nam pan Bóg szlachetnego defensora w osobie naszego miłego gościa IMć

pana Tadeusza Kościuszki, którego zdrowie najprzód wypiję...

Tu podniósł kieliszek do ust i kilka kropel wina przełknął. Między szlachtą na drugiej połowie stołu huk powstał i szmer jak w ulu, kiedy weń mysz wskoczy, chociaż nikt nie słyszał, co gospodarz mówił. Domyślano się tylko, że według starodawnego zwyczaju, pije zdrowie najdostojniejszego gościa.

Potem IMć pan Rogala znowu perorował, ale króciej już, wyliczał wysokich swoich gości z tytułu i nazwiska, kogo wiedział, z porządku starszeństwa w zaszczytach i urzędach, ku każdemu głową kiwając i kieliszek do ust podnosząc. Wyliczywszy tak honoracjorów, zwrócił się do braci szlachty na szarym końcu, chociaż ledwie jakiego mógł dojrzeć.

— Wszystkich Waszmiłościów braci szlachty zdrowie! — krzyknął i kieliszek wychylił do dna, a wychyliwszy usiadł.

Porwała się wiara znowu do kieliszków i szklanek, popuszczając sobie folgę i pijąc między sobą, nie bardzo się troszcząc o to, co na drugim końcu mówią i robią. Pili, przegryzając, jak w domu i bawiąc się w najlepsze ze sobą.

Służba zaczęła wnosić pieczenie, a uprzętać talerze po żółto brzuchach i bigosie. Dźwigali tedy pachotkowie znowu misy tak kupiasto wysadzone, że ledwie nie ćwierć wołu lub pół

barana do każdej wlaźło i w pewnych odstępach na stole je lokowano. Za pieczysem szły gęsie w czarnym sosie, a szlachta znowu zabierała się do pałaszowania; kto zgrabniejszy w pewnem kółku dzielił mięsiwo pomiędzy innych, o sobie nie zapominając.

Tym, co tu zasiadali nie szło o przysmaki, lecz o to przedewszystkiem, aby było dużo, a kucharz znając gust gości i zamiary gospodarza, myślał tylko o tem, ażeby wszystko pieprzno i słono przyprawić, a w ten sposób zachęcić gości tem łatwiej do piwa i wina.

Tymczasem gdy każdy sobie jadł i pił w najlepsze, co mu smakowało, na dystyngowanym końcu znowu ktoś przemawiał, co chwila inne wznosząc zdrowie. Dopiero kiedy posłyszano: wiwat! — nie bardzo dbając, komu to krzyczano, podnosili się, kto mógł, a kto nie mógł to siedząc, ujawszy tylko mocno szklanicę, aby kto łokciem nie wytrącił, wrzeszczeli z całej siły :

— Niech żyje! -- Niech żyje!

Kościszce nie do smaku przypadło przemówienie IMć pana Rogali. Czekał jednak, aż się szlachta wykrzyczy, aż przestanie trochę wiwatować, ażeby się do niej także odezwać — z innej trochę beczki. Znał on ludzi i wiedział, że nie zawsze można wierzyć hasłom, wygłaszanym przez tego lub owego dygnitarza powiato-

wego, że hasła tych ludzie słuchają wprawdzie, powtarzają je pokrzykując, ale zawsze zdrowy rozum chłopski górę bierze, ile razy ktoś powie do rzeczy i potrafi po za prywatą pokazać sprawę publiczną.

Po owej więc przemowie IMć pana Rogali Zajączkowskiego wyczekiwał sposobnej chwili.

Wodzicki, korzystając, że gospodarz znowu z jakiejś racji perorować począł, nachylił się do Naczelnika i rzekł półgłosem :

— Piękną nam rolę przeznaczył — co ?

Kościuszko milcząc, głową skinął na znak, że się z nim godził. Brzęczały tymczasem szklanki, brzmiały głośne wiwaty, a szwedzkie armatki ciągle grzmiały i grzmiały.

W tem od końca do końca stołu powstało ogólne wołanie :

— Mości panowie ! — Uciszcie się ! Uciszcie się !

Nie wiedziano, co to znaczy i do czego te nawoływania dążą, zapanowała cisza.

Kościuszko powstał z kieliszkiem w rękę i czekał chwilkę, dopóki szmer ustanie, ażeby parę słów przemówić. Tymczasem szlachta, co bliżej siedząc Naczelnika, ujrzawszy go, nuż jedni drugim podawać do ucha :

— Kościuszko chce mówić... Kościuszko... Kościuszko...

W jednej chwili cisza była znowu zerwana. Powstał szmer najprzód, potem głosy różne niewyraźne, wykrzyki, szepty rosły coraz bardziej, aż wreszcie jednym hukiem buchnęły w powietrze, jak rzeka, gdy kto nagle jaz zniszczy:

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Naczelnik!

Powstali, kto siedział, na nogi, a kielichy podniósłszy do góry, winem napełnione, krzyczeli jednym nieprzerwanym krzykiem.

Kościuszko patrzył wzruszony na ten tłum, który zdawał się jedną myślą, jednym uczuciem oddychać, jednym pragnieniem. Nie widział drugiego końca stołu, który ginął kędyś w głębi lipowego szpaleru, tylko słyszał frenetyczne wołania: Niech żyje Ojczyzna! które od szarego końca wyrwały się jak z więzienia i echem swoim zapełniały całe ponizie. Po tem wołaniu rumor się zrobił, jakby cały tłum szlachty do ataku się ruszył, a wszyscy, jak żywi, posunęli się hurmem naprzód, gdzie stał Kościuszko, ku niemu i otoczywszy go, wołali:

— Żyj nam Naczelniku! Żyj zóawco Ojczyzny!

Uciszyło się wreszcie nieco i Kościuszko przemówił.

— Dziękuję najprzód obecnemu tu gospodarzowi, a potem wam, Waszmość panowie bracia i dobrodzieje za to, żeście mi zaszczyt przy-

znali obrońcy szlachty. Przedewszystkiem zaszczyt nie mnie jednemu się należy, lecz tym — tu ręką na sztab, siedzący przy nim, wskazał — którzy mnie w rozbudzeniu pokrzywdzonej Ojczyzny pomagali, a ze mną walczyli. Następnie słusność nakazuje mi przyznać, że pierwsze zwycięstwo nad nieprzyjacielem odnieśli chłopci krakowscy, z których jeden Bartosz Głowacki, zdobył sobie szlachectwo ex charta belli — tu ręką na Bartosza wskazał. — Zdobył sobie szlachectwo kosą i odwagą, a Sejm przyzna mu je na pergaminie, kiedy, Bóg da, wypędzimy wroga. Nie wstydził się hetman Żółkiewski dać swego nazwiska czterdziestu włościanom, którzy się w wojnie moskiewskiej odznaczyli, z odważnych chłopów powstałi Mazarakowie, Jaroszyńscy, Ułaszyńcy, a bodaj innej hańby na ich nazwiskach nigdy nie było! Miła to rzecz, Mości Panowie. bronić szlachty, lecz szlachta jest tylko częścią ojczyzny. Cała ojczyzna, to cała polska ziemia od Bałtyku do ujścia Dniepru i Dunaju, to wolność obywatelska rządu się samowładnie i samodzielnie na pożytek wszystkich ludzi, to wolność stanowienia rozumnych i dobrych praw dla siebie samych, wolność wykonywania sądownictwa według sumienia i obyczaju narodowego, da własnej swojej obrony i na swój własny pożytek, wolność uczenia dzieci swego pacierza, swojej mowy, swoich dziejów. Do takiej ojczy-

zny mają prawo wszyscy, którzy w niej mieszka-
ją, takiej powinni wszyscy bronić, bo ojczyzna
do wszystkich należy. Ten więc jest prawym
rycerzem, kto ojczyźnie do obrony od obcej na-
paści dopomaga, lub sam na polu bitwy do obro-
ny jej staje. Ja nie w stanie będę szlachty obro-
nić, jeśli ona nie będzie bronić ojczyzny i siebie
sama a mieszczenie i włościanie niech jej poma-
gają! Gdy się dom buduje, to ani murarz, ani
ten, co cegły nosi, ani ten, co zaprawę robi, nie
powiada: ja sam jeden zbuduję dom, tylko dla
siebie i będę tam mieszkał! Budują wszyscy,
a im budują zgodniej tem lepiej i rychlej. Nie
jeden wie dobrze, że dla siebie nie buduje, a
przecie nie powiada: Co mi tam! Nie chcę do-
kładać pracy tam, gdzie pożytku nie będę miał,
jeno mówi: będzie to dla dzieci moich i wnu-
ków; niech mieszkają radzi, a dobrą pamięcią
mnie wspomną. A cóż dopiero o sobie mamy my-
śleć, budując ojczyznę, w której Bóg wie, ile po-
koleń jeszcze po nas mieszkać będzie! Wszy-
stkim nam do roboty stawać trzeba! Wiem, że
Waszmość panowie i bracia szlachetno macie dla
ojczyzny serca, przyjdźcie mi do pomocy sami i
włościan waszych prowadźcie, — łatwiej nam bę-
dzie wspólnemi siłami się bronić...

Gdy przestał mówić, powstał hałas nie do
opisania. Dygnitarze okoliczni, possessionates, któ-
rzy na kilku wioskach siedzieli i chłopami wię-

kszej fortuny dorabiali się — milczeli. Nie w smak im było przemówienie Naczelnika. Zagryzali ino wąsy, milcząc. Ale szary tłum, który więcej cenił wolność i równość, niż mienie, do chłopu zawziętości nie miał, bo tak samo, jak on, na własnym zagonie pracował — tyle tylko, że pańszczyzny nikomu nie robił, a choć boso, lecz przy szabli chodził, wrzeszczał najgłośniej:

— Prowadź nas! Prowadź! Pójdziemy! Niech żyje Ojczyzna!

Aż drzewa drżały od tych ech.

Śród okrzyków przesuwać się począł przez tłum, rozpychając go łokciami na wszystkie strony szlachcic barczysty, silny, krępy, o głowie, na niskim karku osadzonej; szedł, a rączej przeciskał się tak, jakby się kłaniał, a za każdym pochyleniem się jego błyszczała wielka, szeroka, lśniaca się nieco od potu i węgryzna, łysina. Miał niewielką lecz gęstą brodę i także same rude wąsy, z pod których widać było dobroduszy uśmiech, który się po twarzy rozpląwał i na rumianych policzkach siadał. Był to już człek nie młody, pięćdziesiątkę pewnie dawno przekroczył, ale muskularny, silny i tak sprężysty, że gdy się do kogo dotknął, to się cofnąć musiał, jak — pod naciskiem żelaza.

Krzyki wiwatowe przerywały wołania szlachty.

— Mości panowie, rozstąpcie się, IMé pan Szyszło chce mówić!

Owym właśnie przeciskającym się milezkiem, ale silnie przez tłum szlachcicem był IMé pan Szyszło, z Litwy rodem, ale się tu osiedlił dawno dla chleba. Dobra dusza, prawy, choć zawzięty trochę Żmudzin, jadł chleb koroniarzów i wymyślał im ciągle od cyganów i kapociarzy. Utykał trochę na lewą nogę, kontusza nie nosił, lecz tylko jakiś szaraczkowy żupan, bardzo ubożuchny, a na nim podpasaną niewielką szabelkę, którą nazywał „Radziwiłłówką“ z tej racji, że, jak utrzymywał, przodek jego miał dostać ją od ks. Radziwiłła-Sierotki, a ten znowu przywiózł ją wprost z Damaszku.

Gdy się tedy dowiedziano, że Szyszło do pańskiego końca się zbliża, podnosiły się coraz głośniejsze wołania:

— Szyszło! — Na stół! Na stół! — Szyszło ma głos! — Szyszło chce mówić!

Inni krzyczeli:

— Na ławkę! — Na ławkę!

Naraz coś zakłębiło się między szlachtą, głowy się pochyliły ku ziemi nieco i w jednej chwili po nad głowami wszystkich uśmiechnięta twarz Szyszły ukazała się. Dźwigała go szlachta do góry na barkach swoich.

Siwemi bystremi oczkami obrzucał zgromadzoną koło niego szlachtę, mówiąc co chwila:

— Ostrożnie... panowie bracia, dziękuję...
jak mamę Kocham...

Donieśli go do ławy i postawili.

Szyszło odetchnął ciężko, otarł całą garścią
czoło i po zgromadzeniu siwemi oczyma powiódł
znowu.

— Panowie bracia! — rzekł cienkim trochę
głosem. — Ponieważ koroniarze zapalni są, jak
smolaki, a wiadomo jest *quod cito fit cito perit*,
radziłbym przeto, ażeby póki chęci nie brak, pod
chorągwią Naczelnika stanąć... Nic więcej do po-
wiedzenia nie mam.

Po tych słowach ręką znowu pot z łysiny
otarł, ukłonił się i zszedł z ławki tak szybko,
jakby nurka dał między szlachtę.

— Krótko, ale mądrze! — odezwała się
szlachta.

A Kościuszko, który właśnie niedaleko Szy-
szła stał, zbliżył się ku niemu i rękę uściskał.

— Masz Waszmość rację, trzeba kuć żelazo,
póki gorące.

Ruszyła się szlachta na miejsca, grupując
się po dawnemu kupkami, a po chwili podniósł
się IMć pan Rogala.

— Proszę Waszmość panów i braci raczyć
się, czem kto zechce!

Tu na marszałka głową skinął.

— Aby nic nie brakło!

Gdy się obiad skończył, IMć pan Rogala do

Kościuszki, sztabu i posesjonatów okolicznych się zwrócił:

— Kto łaska, proszę za mną do izby na odpoczynek: na kieliszek węgryzna — na stempel.

Gromada szlachty ruszyła do pokojów, a szaraczki krzyczeli w ogrodzie na całe gardło:

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Naczelnik!

Szlachta szaraczkowa przysiadła się do stołu i zaczęli ciągnąć powoli węgryzna, przygryzając smacznymi owocami i marcepanami.

Szyszło siedział, otoczony bracią szlachtą, podpity trochę, ale dobrze świadomy tego, co się dzieje i o wojnie rozprawiał. Wszyscy tu znali Szyszła, wiedzieli, że to był człowiek prawy, szczery, ale lubił czasem dobrze tego lub owego uszczypnąć, a na szable gracz był także nielada, bo już nie jednego koroniarza bez nosa, lub bez uszu po świecie na wędrowkę puścił.

Na uboczu nieco od niego siedział szlachecka, dobrze w okolicy znany IMć pan Juliński. Sztuczka nie wielka, szczupły, kręcący się ciągle, jakby świdra miał w sobie. Gospodarzył on na kilkunastu chłopach, na dwuwłókowym folwarczku i częściej żył z tego chleba, co go sobie u różnych panów wyczapkował, niż z tego, który chłopami wyorał. Całował pięty byle komu, a nadymał się, jak żaba, której się zechciało wołem zostać. Między panami przy drzwiach

stał, a między szarakami wysuwał się ciągle naprzód, chociaż często-gęsto od tego, lub owego po nosie dostał. Okrutnie chciało mu się wyrubować na jaki urzędnik intratny, występował tedy przy lada sposobności publicznie, ale serca szarej szlachty pozyskać sobie nie mógł.

IMé pan Szyszło nie lubił go, bo był łgarz i hipokryta; udawał dobrego katolika, a byłby djabłu duszę za pieniądze sprzedał; udawał wielkiego patryję, a był tchórzem podszyty, a jakkolwiek nosił się po szlachecku i przy szabli, każdy wiedział, że ojciec jego, czy dziad pono w jarmulce i długim chałacie chodził, a w Lublinie na ulicy Trybunalskiej miał gołarnię, gdzie szlacheć czupryny i karki podgalał.

Siedział tedy IMé pan Juliński na uboczu, a coś go piekło, że inni mówili, że szlachta koło Szyszły się kręci, a do niego ani pies ogonem nie kiwnął.

Podniósł się tedy na palcach do góry, głowę jak kogut do piana wyciągnął i fałszywym cieniem głosem pisnął:

— Panowie bracia! Proszę o głos.

A Szyszło właśnie siedział schylony nad szklanicą miodu. Podniósł na niego swoją uśmiechniętą, jak słońce twarz, szarem oczkiem złośliwie nań rzucił i rzekł powolnie:

— Oho! będzie, mój dobrodziejaszku, plótl banialuki...

IMé pan Juliński posłyszał to, udał jednak, że nie słyszy, chociaż mu ta uwaga Szyszły mocno wątrobę poruszyła.

— Mówić! Gadaj Waś! — posypały się głosy.

— Wiecie, Mości panowie — zaczął IMé pan Juliński bełkotliwym głosem, a mówił tak, jakby mu się kluski w gębie obracały — zemrawy Polak i dobry patryjota, kraj swój miłujący...

IMé pan Szyszło z uśmiechem na niego spojrział.

— Łzyj zdrów... — rzekł półgłosem.

Ten i ów śmiechem parsknął, a IMci pan Juliński, tańcząc na miejscu jak indyk, bełkotał, szepleniąc i plując na wszystkie strony.

— Ojczyźnie służyłem, do jeneralności wraz z Joachimem Potockim należałem...

— Pies cię tam widział! — ktoś z tłumu zaprotestował basem.

IMci Juliński podrażniony, szeplenił i pluł jeszcze gorzej.

— Tak jest, powiedziałem: należałem do jeneralności i nie cofam tego, nie cofam...

— Do rzeczy! Do rzeczy!

Szerepetka zrobił dumno-głupią minę, po zgromadzonych okiem powiódł i dalej mówił:

— Ubolewał Jaśnie Wielmożny pan Rogala Zajączkowski nad upadkiem wolności szlacheckiej, a ja przyznać muszę, że nawet pośród braci szlachty poszanowania dla niej nie ma, skoro mi głosu nie dają, chociaż mówił tu długo i szeroko IMci pan Kościuszko o różnych rzeczach i sprawach, niezgodnych z wolnością szlachecką...

Tu IMci pan Juliński urwał i chytrze po obecnych okiem wodził.

— Mówić! Mówić! — zaczęto krzyzczeć.

— Ja zwykle mówię krótko, to moja zasada, Mości panowie; nauczyłem się tego w czasie należenia do jeneralności, bo u nas załatwiano się wszystko: raz — dwa! Nie było czasu na długie gadania...

Szyszło podniósł na niego szare oczki i uśmiechniętą twarz.

— Waszmość więcej naplujesz, niż naga-dasz — rzekł spokojnie.

IMci pan Juliński puścił tę uwagę mimo uszu.

— Że Ojczyzny trzeba bronić — to nie ulega wątpliwości żadnej; ja sam, jako dobry patrijota, pójdę pierwszy i dam dobry przykład, ale żebyśmy do tej roboty mieli wołać chłopów — na to nie ma zgody! Tak jest, powiedziałem to i nie cofam!

— Ale i nie pluj Waszmość! — wtrącił IMci pan Szyszło spokojnie z uśmiechem, nie schodzącym nigdy z twarzy jego.

Mowca perorował dalej zapalając się własnymi słowami i podskakując.

— Do tego potrzeba laudum całego kraju, a takiego laudum nie będzie i na to z mojej strony zgody nie ma. Mości panowie! — krzyczał, szepleniąc, IMci pan Juliński, — ja jestem dobry patrijota — tu parę razy kułakiem w piersi się uderzył, — w jeneralności na usługach byłem... ale jeżeli się mamy bić się z Moskałami, to bez błogosławieństwa papieża wojny zaczynać nie należy. Jeżeli papież błogosławieństwa nam udzieli, zwyciężymy niechybnie i bez pomocy chłopów...

— Tryndy-ryndy kuku! — zawołał Szyszło. *Est res et nulla res est.* Bzdurzysz mi Waszmość ni to ni owo o papieżu. Jużci nie jestem ja żaden farbowany katolik, jak Waszmość, panie Juliński, kocham pana Boga i Ojczyznę, jak i wszyscy tu obecni, a jednak każdy przyzna, że dobrze byłoby, ażeby papież dał nam do błogosławieństwa sto tysięcy żołnierza i jakie dzieśięć milionów ze świętopietrza nam udzielił, — wtedy możebyśmy się i bez chłopów obyli...

IMc pan Juliński obraził się. Wyzwierzyl się tedy do Szyszły, skacząc na miejscu, jak kogut.

— Co mi Waszmość do mego sumienia zaglądasz? — krzyczał.

Szyszło wziął także na kiel, bo mocno tego szerepetki nie lubił i nieraz sobie w duchu obiecywał, że mu da dobrą nauzkę — a rębacz był nielada!

— A, bo muszę Waszeci lisi ogon stamtąd wyrzucić!

— Nic Waści ani do mego szlactwa, ani do sumienia!

— Jużci nie — odcinał się Szyszło — ale takim, jak Waść, łatwo *imparitatem* zadać.

Szyszło siedział spokojnie przy szklanicy, a IMé pan Juliński skakał z gniewu i pluł.

— Co? *Imparitatem*? Będiesz Waść za to karany *poena talionis* — jakim szlachte!

— Otoś się Waść zaklął!

IMé pan Juliński pienił się ze złości. Spór przybierał coraz ostrzejszy charakter; szlachta skupiała się koło Szyszły i potakiwała mu.

— Waść, panie Szyszło, widzę do farmazonów przystałeś, kiedy się z religji naśmiewasz!

— O, co to, to łżesz Waszność. Śmieję się nie z religji, lecz z głupoty Waścinej. Ledwie tatuś Waszecin jarmułkę zrzucił, a Waść chcesz już innych religji uczyć. Kiedy Jagiełło kozuchy rozdawał na Litwie, pierwszymi katolikami byli tam i Szyszłowie, ale nie było Julińskich. Przodków Waszeci piez nigdy na żadnej karcie nie

zapisał, a Waszmość dmiesz się, jak krowa, objadłszy się łopianu!

IMć pan Juliński zaperzony wołał:

— Zgubicie Ojczyznę! nie szanujecie religji świętej... Ja jestem dobrym patriotą... byłem w jeneralności... tak, powiedziałem to i nie cofam...

— Tereferę kuku! — przerwał mu żartobliwie IMć pan Szyszło. Dobrymi Polakami i katolikami są Szyszłowie i nie potrzebują pieczęci Waszmościnej do tego, ale też się i na takich ptaszkach, jak Waszmość, znają! Jedziesz Waść na ogonie papieskim, a w stronę carowej oczkiem strzelasz! Wiedz-że o tem, że Polska z takimi katolikami, którzy innych gwałtem do nieba nie ciągnęli, była wielką i potężną, a z takimi, jak Waszmość, djabli ją wezmą i będą w pazurach swoich tak długo trzymać, dopóki będzie waszego królowania, bo wy Polskę kochacie brzuchem, gębą i słowami, ciągniecie wszystkich na postronku do nieba gołych, każąc im ubogie dostatki zostawić dla tych, którzy mocny postronek ukęcili.

— Rąbie go Szyszło! Rąbie! — zawołano.

Żmudzin coraz więcej zapalał się, aż nareszcie ostatnie słowa powiedziawszy, skoczył wprost do IMć pana Julińskiego, za rękojęś szabli porwawszy się.

Jedni wołali zachęcająco do Szyszły:

— Obciąć mu uszy Mociumpanie.

Znalazł się jednak jakiś adherent i u IMci pana Julińskiego, który nietyle może w obronie jego, bo mało co z tego, co mówiono, rozumiał, ile w chęci zobaczenia pojedynku, pod bok szerepetkę szturknął i nad uchem mu krzyknął:

— Nie daj się, capie!

Tymczasem obaj przeciwnicy z za-stołu wyskoczyli i w momencie plac się zrobił obszerny do walki. Jedną stroną przez tłum przedierał się IMci pan Szyszło, z uśmiechem stereotypowym na twarzy, a utykając, jak nurek, to chował głowę, to wychylał po nad tłumem. Drugą stroną zaperzony przebijał się IMci pan Juliński, nie kontent, że tak daleko zaszło, ale już nie było sposobu cofnąć się. Ten i ów wysunął się niby godzić, poczęto ręce rozstawiać, ażeby do spotkania nie dopuścić, ale w gruncie rzeczy nikt na serjo o tem nie myślał i radzi byli, że im się gratysowe widowisko upieczce.

IMci pan Juliński bełkotał niewyraźnie i prędko:

— Wzywam Waszmości panów i braci na świadków, żem stał w obronie religji. . bo ja jestem patriotą szczerym, w jeneralności byłem... tak jest, powiedziałem to i nie cofam.

Szyszło tymczasem, wyciągnawszy Radziwiłłówkę, borykał się z bracią szlachtą, która go powstrzymywała od natarcia. Ale powstrzy-

mać już nie można było; zapaliwszy się, rwał się naprzód.

— Nic temu szciece nie zrobię złego, jak mi Bóg miły... Obaczycie.

Wyrwał się naprzód i ledwie moment minął, złożył się z IMci panem Julińskim, który czarną swoją szablę, jaką zwykle nosili w Warszawie nocni grassanci i karciarze, nietęgo się zaślaniał. Nie długo też było potyczki. Nie minęło i połowę Zdrowaś, gdy IMci pan Szyszło wytrącił szablę z ręki przeciwnika, tak mocno, że z brzękiem o parę kroków odleciała, a odwróciwszy cięcie płazem, smagnął IMci pana Julińskiego po pieczeni, że aż podskoczył.

Śmiech ogólny jednym głosem wybuchnął, a IMci pan Szyszło rzekł spokojnie:

— Teraz odpocznij Waś trochę i wysmaruj się łojem.

IMci pan Juliński krzyczał, obracając kłuski w gębie.

— To zdrada! Zdrada! Do szabli Mości panie Syszło... Ja jestem także żołnierz i patrijota... W konfederacji barskiej trzy dni byłem...

Uszczypnął się za język, ale było już późno. Szlachta śmiechem homerycznym przywitała nowcę.

— Dogadał się!

— Przecie!

Zaperzony Juliński wykrzykiwał dalej:

— Tak jest, żołnierz i patriota miłujący religję i ojczyznę... W jeneralności byłem... tak jest, powiedziałem to i nie cofam...

W tem huczek w tłumie powstał.

— Dosyć! Dosyć! Do innego czasu!

Gdy szlachta w ogrodzie piła i kłóciła się, IMé pan Rogala Zajączkowski traktował gości na pokojach. Wszyscy mieli dobrze w czubku, nie wyłączając gospodarza. Już wypili kolejką zdrowie obecnych — tylko Kościuszko i sztab jego, jako żołnierze na służbie, wolni byli od przymusu picia, — zdrowie króla, wszystkich stanów, walecznych żołnierzy, a nawet poległych, gdy IMé pan Rogala, kieliszek nalawszy, huknął:

— *Prosperitas publica!*

Wychylnono *prosperitas*. Wreszcie zabrał głos Naczelnik:

— Pora nam wracać, Mości panowie, do obozu.

Tu się do IMé pana Rogali zwrócił i dalej ciągnął:

— Dziękujemy gościnnemu gospodarzowi, że nas tak *honeste* przyjąć raczył, panom i braciom — tu głową skinął ku innym — za łaskawe względy, a wszystkim za to, że szczerem sercem przyjęli obrońców Ojczyzny. Zanim się tedy stąd rozjedziemy, wypijmy jeszcze jedno zdrowie.

Kielich podniósł do góry i głosem donośniej-
szym zawołał:

— Na powodzenie nasze, a na pohybel
wrogom!

Zabrzęczały szklanki, a kilkadziesiąt głosów
odezwało się razem:

— Na powodzenie! Na pohybel!

Po toaście IMé pan Rogala do Kościuszki
się zwrócił:

— Wszystko to prawda, ale z chłopami da-
leko Waszmość nie zajedziesz!

Zabolało coś Naczelnika pod sercem, gdy
to postyszał, bo tuż przy nim Bartosz Głowacki
siedział i przytyk ten obił się o jego uszy; więc
odrzekł, o ile mógł, najspokojniej:

— Dziarski z nich żołnierz; w obozie spo-
kojny i nie wymagający, w boju zuchwały i od-
ważny.

IMé pan Rogala przerwał mu żywo, podnie-
cony już dobrze winem:

— Waszmość chcesz zabrać chłopów do
wojenki, a kto będzie siać i orać? Wy, jak far-
mazoni francuscy, którzy, słyszę, swego króla
powiesili, pragnęlibyście, ażeby szlachta z głodu
wyginęła?

Kościuszko, wzruszony głęboko, rzekł spo-
kojnie, lecz z naciskiem:

— Ojczyzna ginie... — jakby pragnąc zwró-
cić uwagę na całą ważność tych słów, ale IMé

pan Rogala zaperzony, nie zwracał na ten akcent uwagi.

— Wojuj Waśé, — ciągnął — nie przeciwko temu nie mam; broń Ojczyzny, to bardzo pięknie, ale kto to kiedy słyszał, aby chłopów zbierać i buntować? Waszmość następujesz na złote ogniwa wolności naszej, bo ubożysz szlachtę, zabierając poddanych i usuwając z pod jurysdykcji dominialnej. To też słusznie szlachta poczęła radzić na sejmikach, ażeby wynaleźć jakiś sposób i nie pozwolić rujnować siebie.

Naczelnik westchnął nieznacznie.

— Ojczyzna potrzebuje rąk do obrony... — rzekł cicho, panując nad sobą.

IMé pan Rogala zrobił rozpaczliwą minę.

— A my potrzebujemy rąk do kosowicy i żniwa, które za pasem! — zawołał ze smutkiem.

Kościuszko spostrzegł, że rozmowa weszła na przedmiot bardzo drażliwy, nienadający się do poważnego traktowania w towarzystwie podpiętych ludzi i już myślał o tem, ażeby się wycofać z rozmowy i ze dworu, gdy się za drzwiami hałas i rwetes dał słyszeć. Do izby wpadł zadyuszany marszałek IMé pana Rogali.

— W ogrodzie awantura Jaśnie Wielmożny Panie! — zawołał przestraszony.

Zerwał się na pół przytomny dziedzic z siedzenia.

— Kto? Gdzie? — huknął.

— IMé pan Szyszło porwał się do szabli na IMé pana Julińskiego.

— Skłuje mi biedaka ten niedźwiedz litewski!

Rzekłszy to, nie oglądając się na nikogo, wprost przez wchodowe drzwi do ogrodu poleciał. Za nim ruszyła się hurmem szlachta, a za szlachtą Kościuszko ze sztabem.

Gdy przyszedli — już było po wszystkim. IMé pan Szyszło stał tylko pośród szarej braci szlachty uśmiechnięty, mrugał siwemi oczkami i Radziwiłłówkę do pochwy wsuwał, która jak na toż z trudnością wchodziła. Szaraczki podpici śmieli się i baraszkowali na rachunek IMé pana Julińskiego.

— Co się tu stało? — pytał przestraszony IMé pan Rogala, nie widząc tej awantury, o której mu marszałek powiadał.

Wzrok jego spotkał się właśnie ze wzrokiem IMé pana Szyszły.

— Nic mu się nie stało... zdrowiuteńki Mociumpanie... tylko będzie musiał ze trzy dni jeść pieczeń pańską, stojąc.

Tymczasem Wodzicki i Madaliński, wdawszy się ze szlachtą w rozmowę, dowiedzieli się przyczyny nieporozumienia i śmieli się z IMé pana Julińskiego, aż za boki się brali.

Kościuszko, mając już dosyć towarzystwa IMé pana Rogali, a korzystając z zamieszania, ażeby się wymknąć co rychlej, odezwał się głośno do swoich umyślnie, aby go IMé pan Rogala słyszał.

— Mości panowie! Podziękujmy gospodarzowi za gościnność i jedźmy. Trzeba wracać.

Stante pede począł się żegnać z gospodarzem.

Tymczasem szara szlachta ni ztąd, ni zowąd zaczęła krzyżeć:

— Niech żyje Naczelnik! Niech żyje Ojczyzna!

Kościuszko do nich się zwrócił z podziękowaniem za dowody przychylności dla Ojczyzny, a życzliwość do niego!

— Bardzo sobie życzliwość Waszmościów cenię wysoko. Waszemi rękoma zbudowała się Ojczyzna, waszemi dźwignie się do chwały — temi, dla których ziemia ojczysta jest nie ban-
m, lecz matką. Czyja łaska, proszę teraz ze
m... Ojczyzna was potrzebuje...

Ryk powstał taki, jakby stu niedźwiedzi w ostępie otoczono.

— Idziemy! Idziemy!

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszko!

Gdy tak wiara krzyczała, IMci pan Szyszło

wysunął się na czoło, uśmiechnął się, mrugnął i huknął z całej siły.

— Czyja wola — za mną! Do obozu!

Wydzieliło się ze dwiestu z tej kupy i rzucili się z IMci panem Szyszłą na czele do szkap, które przy płotach i parkanach uwiązane, słomę sobie przegryzały.

Szedł i Kościuszko przez pokoje w asystencji IMci pana Rogali i całego sztabu do koni; gościnny gospodarz zmusił jeszcze do wypicia strzemiennego, a na ostatnie pożegnanie odezwały się móżdziejze i armatki.

— Pięknie grają... — zauważył znowu Madaliński.

IMci pan Rogala w boki się podparł.

— Kiedy się Waszmość panom przydadzą na co, weź-że je sobie, Naczelniku... Niech Moskalom grają...

IV.

Bardzo rozweseliło Kościuszkę zachowanie się IMci pana Szyszły.

— Oto ciekawy okaz niedźwiedzi litewskiego! — rzekł do jadącego przy nim jenerała Wodzickiego.

— A rębacz tęgi! — zauważył Madaliński.—
Zwykle prawdziwy Litwin trochę żubra przypomina swoją ociężałą postacią, ale jak się trafi co dobrego, to jest na co patrzeć!

— Dostał po matni IMci pan Juliński!
Zakpił Szyszło z Mazura!

Tu się Kościuszek do Wodzickiego zwrócił.

— Wiesz, jenerale, z tego, co nam mówił ten ciekawy szlachcic IMci pan Rogala, wnoszę, że IMci pan Juliński był umyślnie nasadzony, ażeby szlachtę bałamucił?

— Wątpię. Za głupio się spisał.

Naczelnik zamysłał się. A tak w milezeniu lasem jechali.

— Nie rozumiemy się — rzekł po chwili. Oni jeszcze Ojczyznę w sobie widzą, ze sobą identyfikują; nie o tem wiedzieć nie chcą, że Polska inną być musi, niż była. Jednym będzie się zdawało, że ja obrońcą szlachty, a drugim — że ja jej niszczyciel, a potem, ci i owi podadzą sobie dłonie.. O żniwo im chodzi, o ręce chłopskie do roboty, o rolę panów względem niewolników swoich — nie o Ojczyznę! Ja życie moje bym oddał za to, ażeby można w piersi chłopskiej miłość do kraju rozbudzić i zagrześć ich do walki, a oni będą powtarzać starą piosenkę: chłop stworzony do roli... Ja ostatnią kroplę krwi wydobywam z siebie, ażeby wystarczyć pracą za ministrów, będących na żołdzie obcego państwa i siedzących beczynnie, za króla, który nic innego nie robi, tylko czyta francuskie książki i każe Bacciarellemu portretować siebie, ja muszę tworzyć wojsko, skarb, rząd cały, a oni jedząc i pijąc, o tem będą mówić, że na źrenicę ich wolności nogą następuję...

Podniósł głowę do góry i w pośępność jodłowych lasów spojrzął. Oczy mu błyszczały groźnie, widocznie, że to, co mówił — czuł głęboko.

— Pragnąłbym mieć tyle siły, aby resztki takiej wolności, która Ojczyznę całą gubi, nogami stratać i ze snu ich rozbudzić... Później wróg

im tę żrenicę wyjmie i pośmiewisko z niej uczyni, ich zgubi i Ojczyznę, ale — zapóźno będzie o ratunku myśleć!

— Tu jeszcze nadzieja! — rzekł Wodzicki na szary tłum szlachty ręką wskazując — oni pójdą z nami.

— Tak! Gdybyśmy mogli całą Polskę wzdłuż i wszerz zwędrować i zetknąć się z nimi osobiście. Ta drobna szlachta ma niezawodnie dużo prostego, zdrowego rozumu, lecz ona także chodzi na pasku pięknych słówek i pogoni.

W licznej asystencji braci szlachty, jadącej wraz z Naczelnikiem do obozu, podążał Kościuszko. Śród szaraczków panował najlepszy humor, gdyż jeszcze wino i miód nie wykurzyło się im z głowy. IMé pan Szyszło siedział na gniadym, dobrze związanym mierzynku, uśmiechnięty, jak zwykle, z rogatywką na uchu i żartował wesoło, a szlachta ze śmiechu aż się w boki podpierała. Widocznem było, że w tym tłumie on głową i duszą, jednak na czoło się nie wysuwał — otoczony innymi, wspólną kupą podążał, nie przewodniczył nikomu.

Wreszcie, jak gdyby coś sobie przypomniał, na strzemionach się podniósł i dokoła rozglądać się począł.

— A kogo to Waszmość szukasz? — ktoś, spytał.

— Obliczam się.

— Dużo będzie tego!

— Do setki dosięgnie... może coś przekroczy... — mówił, zastanawiając się i oczyma wodząc Pomknęło się dużo...

— Na początek dosyć.

— A tego patryjoty z jeneralności nie widać?

IMć pan Szyszło uśmiechnął się i rogatywkę poprawił, ani słowa nie rzekłszy. Odpowiedział za niego ktoś inny.

— Został psu-brat! Będzie, siedząc przy pańskiej pieczeni, o patryjotyzmie i jeneralności rozprawiać. Nasienie pieskie!

Zbliżali się już do obozu, który widać było jak na dłoni, rozłożony na piaszczystym wzgórzu pod lasem. Właśnie na obszerną łączkę wjeżdżał cały orszak — sztab Kościuszki i szlachta.

W tem pomiędzy szlachtą szmer powstał i szeptem biegł od jednego do drugiego:

— Naczelnik do nas jedzie!

Istotnie, Kościuszko zbliżał się do kupy, zdaleka oczyma po niej wodząc, jakby kogoś szukał.

— Jedź Waść naprzód — odezwano się do Szyszły.

— Jedź Waść!

Krótką chwilę trwała certacja; wreszcie IMć pan Szyszło wysunął się na czoło, a zbliżając się do Naczelnika, zdjął rogatywkę, do góry podniósł i krzyknął:

— Niech żyje Polska!

Sto głosów za nim huknęło, jak z jednej piersi:

— Niech żyje Polska! Niech żyje Kościuszko!

Naczelnik zatrzymał się przed nimi.

— Sprawiliście mi Waszmość panowie wielką radość. Dziękuję za Wasze poświęcenie się w imieniu Ojczyzny, a daj Boże, ażeby niezadługo Ojczyzna sama podziękowała wam za miłość dla niej. Dodajecie mi otuchy, że w rozpoczętej walce nie zostaną bez żołnierzy, że na tych, którzy ziemię swoją kochają, będę mógł oprzeć się bezpiecznie.

Szlachta znowu z całej piersi huknęła:

— Niech żyje Polska!

Kościuszko wyczekał, aż się wszystko uspokoiło, wprost do IMci pana Szyszły się zwrócił, lecz głosem tak donośnym, ażeby wszyscy słyszeli:

— Widzę, że Waszmość panie Szyszło miłość i zaufanie braci szlachty posiadasz — bądźże Waszmość jej przewodnikiem...

Później do szlachty mowę skierował.

— Waszmość panowie będziecie tworzyć kadry do pierwszego konnego pułku szlachty... Obmyślimy dla was chorągiew... armatki, które IMci pan Rogala Zajączkowski ofiarował, będą wasze.

Tu się znowu do Szyszły bezpośrednio zwrócił:

— A Waszmość, panie Szyszło, obejmiesz dowództwo.

IMci pan Szyszło ściągnął piorunem rogatywkę z głowy i podnosząc ją równie gwałtownym ruchem do góry, krzyknął z całej siły:

— Niech żyje Naczelnik! Niech żyje Polska!

Za nim tłum szlachty powtórzył frenetycznie:

— Niech żyje Naczelnik! Niech żyje Polska!

Gdy się wołania uciszyły nieco, Kościuszko rzekł głośno:

— A teraz Mości panowie — do obozu!

Nawrócił konia i przodem ruszył, a za nim tłum szlachty podążając, krzyczał, że aż powietrze drżało od echa:

— Niech żyje Naczelnik! Niech żyje Polska!

Tak dojechali do obozu.

Kościuszko, poleciwszy Madalińskiemu wyznaczyć miejsce i zainstalować świeżo przybyłą do obozu szlachtę, sam do namiotu się udał, niespokojny, że tak długo żadnej wiadomości nie ma ani z Warszawy, ani od generała Grochowskiego.

Spostrzegł, że w tej stronie, gdzie kosynierowie byli rozlokowani, panowało jekieś ożywienie, jakiś ruch większy, niż zwykle. Poszedł tedy w tę stronę.

Chłopi, zgromadziwszy się w kupki, o czemś żywo i energicznie rozmawiali. Tu i ówdzie dołatywały do niego urywane wyrazy:

— Znowu na pańszczyznę...

— Nie pójdziewa...

— Wracać trzeba...

Naczelnik szukał okiem Bartosza. Znalazł go. Poznał go po wzroście, gdyż o pół głowy innych wysokością przerosił. Koło niego skupiła się gromada chłopów. Jedni, trzymając w ustach fajki, stali niemo, jak posągi i tylko od czasu do czasu poruszały się im usta i wąską strugą błękitny dymek się wysuwał; drudzy patrzyli nieruchomo przed siebie, jakby tam pragnęli jakąś radę znaleźć na smutki, które się im w głębi duszy kłębią; inni, w głowę z tyłu się skrobiąc, do Bartosza kierowali spojrzenia, jakby się go pytali:

— Cóż ty na to wszystko?

Wszyscy razem tworzyli koło, które zdaleka wydawało się próżnem wewnątrz. Próżnem jednak nie było.

W środku jego siedziało na ziemi, na piasku kilka kobiet. Siedziały, nogi podgiąwszy pod siebie. Jedne miały przy piersi niemowlęta, które karmiły i kołysaniem lekkim starały się z płaczem utulić; przy drugich stały bosonogie chłopięta sześcio, siedmioletnie, z pokaleczonemi od drogi i błotem powalanemi nogami. Od słońca

i niepogody popękała na łydkach i goleniach skóra, jątrzyła się od kąsania komarów, bąków i niecierpliwego drapania. Trzymały w ręku chleb, którego nie jadły i płakały głośno ze znużenia i niepokoju.

Kobiety siedziały nieruchomic. Jaka taka, oparłszy łokieć o kolano, pochyliła na dłoni głowę i skupionym wzrokiem w twarz płaczącego dziecka, przytulonego do piersi, patrzyła. Dziecko utulić się nie mogło, nieznajdując widocznie w zaschłej i zbiedzonej piersi pożywienia. Inne płakały milcząc, w ziemię utkwivszy oczy łez pełne. Na opalonych ich, wychudłych twarzach znać było zmęczenie, głód, ból moralny — większy od zmęczenia i głodu. Cała ich postawa wyrażała rezygnację, bezbronność.

Widać, że przyszły niedawno, że już opowiedziały wszystko, co opowiedzieć miały, więc spokojnie siedziały, oczekując końca.

Milczenie ogólne przerwały słowa, które nagle jedna z kobiet wyrzekła:

— Niech nas dobiją do reszty...

Słowa te powiedziane były spokojnie, bez patosu, bez podniesienia głosu, bez żalu, bez gniewu, z rezygnacją człowieka, świadomego, że lada dzień zginąć musi; rad byłby przeto co rychłej zginąć, ażeby sobie i innym cierpień zmniejszyć.

Wszyscy, otaczający siedzące w kole kobiety, uczuli ból w sercu na te słowa. Żaden jednak wykrzyknik, żadna skarga nie wyrwała się z niczyjej piersi. Dramat odbywał się w głębi duszy ludzkiej.

Do stojących w kółku chłopów zbliżył się Kościuszkó. Poznali go. A jednak nikt nie krzyknął, jak dawniej: Niech żyje Polska! — tylko w milczeniu wszyscy czapki z głowy zdejmować poczęli.

Z ogólnego nastroju, z posępnego wyrazu twarzy chłopskich, z tego niemego powitania, którego dawniej nie było, domyślał się łatwo, że zaszło coś nadzwyczajnego.

— Co to jest? — zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział, tylko chłopci rozstąpili się w milczeniu przed Naczelnikiem i odkryli przed nim środek koła, w którym siedziały kobiety.

Scisnęło mu się serce na ten widok, jaki miał przed sobą. Szedł między dwoma szeregami chłopów, stojących przed nim pokornie, milcząco, bez czapek, jak przed dziadkiem, z wyrazem pokory na twarzy, pełnej smutku, która czuje swoją krzywdę, lecz wypowiedzieć jej nie śmie. Za nim podążał w milczeniu Bartosz Głowacki.

— Co to za kobiety? — spytał Naczelnik, do Bartosza zwróciwszy się.

Bartosz głosem cichym ze wzruszenia odrzekł :
 — Naczelniku. . żony nasze... Stacha Świ-
 sterskiego... Brandysowa...

Chłopi zaczęli szeptać do kobiet :

— Wstańta... wstańta... Naczelnik...

Kościuszko znak zrobił ręką, aby siedziały. Nie usłuchały jednak. Z wysiłkiem poczęły dźwigać się z ziemi, zmęczone, ogorzałe od wiatru i słońca twarze, zapłakane oczy podnosząc do niego.

Chłopi dokoła milczeli milczeniem, w którym czuć ukryte łzy i rozpacz.

— Czego chcecie ? — spytał Kościuszko.

Kobiety, bliżej niego stojące, znowu pochyliły się głowami w piasek, do nóg jego, inne, dalej będące, ukłękły, podniosłszy ręce do góry, i jak z prośbą do obrazu, wyciągnęły ku niemu. Ze wszystkich piersi jedno słowa wyszły :

— Panie... Naczelniku... Zmiłuj się... ratuj nas... cóżeśmy winne ?

U chłopów brwi tylko ściągnęły się bliżej, głębiej zacisnęły się usta, ale żaden słowa nie przemówił. Po tym wykrzyku rozpaczcy cisza zapanowała głucha, przerywana tylko płaczem dzieci, kwileniem niemowląt, nikt jednak tego płaczu nie przerywał, tylko matki w milczeniu kołysały dzieci.

Kościuszko, zapanowawszy nad wzruszeniem, zapytał znowu po chwili :

— Co to jest?

Brandysowa jęła opowiadać.

— Mówili, że do roboty nie pójdziewa... a tu dzień w dzień na łan i na łan pański... Powiadają nam: chłopcy poszli — wy stawajcie na ich miejsce... I pędzą nas... pędzą... Własne pole odłogiem leży, dzieci nie będzie czem karmić przez zimę... Zmiłujcie się, Naczelniku... puśćcie chłopów naszych do domu.. puśćcie, bo my zginiemy i dzieci nasze...

Płacz powstał i lament dzieci i matek..

Kościeszko stał chwilę zamyślony. I on ból cierpiał — za innych, większy i cięższy, niż te matki płaczące, bo ból hamować musiał, łzy wzięć i spokój pokazywać, którego w duszy nie miał. On cierpiał stokroć więcej, bo patrzył dalej, widział dalej i musiał z własnego serca czerpać pociechę dla innych.

— Uspokójcie się... — rzekł. — Wszystko to się naprawi... Otrzymacie rozkaz do dziedziców, ażeby was na pańszczyznę nie ciągnęli... powiecie im, że mężowie wasi i bracia odbywają pańszczyznę dla Ojczyzny... cięższą i pożyteczniejszą od pańskiej...

Znowa się ku niemu wyciągnęły ręce kobiet.

— O, panie nasz! Zmiłuj się... zmiłuj się... same sobie nie poradzimy.

Ażeby kres położyć skargom, odezwał się wreszcie Brandys.

— Cicho baby — i tyla! Kiedy Naczelnik powiada, że się wszystko zrobi, to zrobi.

Kościuszko do stojącego obok niego Bartosza się zwrócił.

— Mości panie Głowacki! — zawołał umyślnie głośno, ażeby trochę w chłopach upadającego ducha podnieść — wydasz rozkaz, ażeby tu gościom waszym nie zabrakło... Wszystko wydawać z magazynów wojskowych... niech odpoczną, a ja tymczasem przygotuję uniwersał do panów...

Rozjaśniły się twarze kosynierów po tej przemowie Naczelnika, duch wstąpił w zwątpiałe dusze; więc znowu czapki do góry podnieśli i huknęli z całej piersi:

— Niech żyje Naczelnik! Niech żyje Ojczyzna!

I Kościuszcze żywiej, radośniej zabiło serce na te okrzyki, bo wiedział, z jakich piersi one się wydobywają.

— Bądźcie dobrej myśli! — rzekł Bartoszowi. — Panowie tu i ówdzie mogą być dla was niesprawiedliwi, ale Ojczyzna — nigdy! I oni kochają tę Ojczyznę — wiercie mi, i oni jej służą. Pamiętajcie, że wszyscy jednako służyć nie mogą, a ten jeszcze nie jest złym synem Ojczyzny, kto inaczej, niż my, służy.

Myśl o uniwersale, o którym przed chwilą wspomniał, od dawna już nurtowała mu w gło-

wie. Będąc świadkiem sceny, którą dopiero opisaliśmy, tych skarg i narzekań IMci pana Rogali, których zmuszony był słuchać, przekonał się, że trzeba działać stanowczo i energicznie, ażeby z jednej strony wszelkim głuchym, a niezyczliwym mu pogłoskom łeb urwać, szlachcie zaś złożyć świadectwo, że się na jej zgubę nie dybie; z drugiej, ażeby przekonać chłopów, że o przyszłości ich myśli na serjo i na nich oprzeć się pragnie.

Wróciwszy tedy do namiotu, wydobył wnet tekę swoją, zaczął notatki różne przeglądać i pojedyncze ustępy tego uniwersału szkicować. Był to tylko powrót do dawnej myśli, dawnej pracy, do której zabrał się z całą właściwą mu rozważą i energją. Miał czas. Czekał na wiadomości z Warszawy i od Grochowskiego, które miały zdecydować dalsze jego kroki.

W oczekiwaniu tem wygotował uniwersał, mocą którego włościanie otrzymywali wolność zupełną, a grunta, posiadane przez nich, od tej chwili przechodziły na własność chłopów. Ziemię posiadaną i wolność od robocizny mieli w części spłacić sami, w części spłaty miał dokonać skarb narodowy. W ten sposób czynił zadość sprawiedliwości i duchowi czasu.

Pracował Kościuszko, ale pracowała także i szlachta; to, co IMci pan Rogala mówił, jego półsłówka i jego niezadowolenia były tylko

echem tej roboty, jaka się w kraju robiła, o której głuche i niepewne wieści dochodziły do Kościuszki. Moskale usilnie pracowali nad tem, ażeby Naczelnika narodu zohydzić przed szlachtą, wystawić go jako demagoga, pragnącego wytępić panów, jako zwolennika jakobinizmu, dążącego do władzy, do wyzucia szlachty z ziemi, do wypędzenia ich z kraju.

Była to intryga zręczna i podła, dążąca do wywołania rozdzielenia w narodzie, do zbudzenia niesnasek domowych, a przez to moralnego osłabienia zarówno walczących, jak i przewódców.

Wieść o Raclawickiej bitwie tylko prawych i bezinteresownych obywateli natchnęła otuchą, tylko przez nich przyjętą została radośnie. Ci wszyscy, którzy przed trzema laty stanęli po stronie ustawy 3. Maja i z bronią w ręku jej bronili, cieszyli się, że sam odgłos projektowanych reform budził do życia włościan i mieszczan, napełniając ich serce obywatelskim duchem poświęcenia; ci zaś, którzy nadstawiali ucha na podszepty moskiewskie, lub kierowali się tylko zyskiem polityki osobistej, w chłopach, walczących w obronie Ojczyzny, widzieli osobistych wrogów, ruinę swoją, walący się cały gmach starej Rzeczy, w której długo panowała wolność — swawoli.

Zakrzętnęli się przeto żywo, ażeby zwycięski pochód Naczelnika, co dnia większą otaczanego miłością ludu i mieszczan, a nawet szlachty, powstrzymać, ażeby mu broń, która go czyniła silnym, z ręki wytrącić. Przewidywał to Naczelnik, przeczuwał, a jednak wątpił, ażeby zaślepienie szlachty i jej samolubstwo mogło aż tak daleko zajść, że stanie na jednej linji z intrygą moskiewską i w jednym, pożądanym przez nią kierunku, iść będzie.

Czyżby większość szlachty miała patrzeć na sprawę publiczną tak, jak patrzył IMć pan Rogala Zajązkowski? Trudno było stanowczo wierzyć, trudno było oprzeć się złudzeniom.

A jednak te kobiety, przychodzące do obozu ze skargą i żalem, dawały mu wiele do myślenia.

Przeświadczony jednak o tem, że wszystko, co robi, zdąży tylko do ocalenia Ojczyzny, do stworzenia nowych sił, potrzebnych do obrony wobec straszego, chciwego i zajadłego wroga, uniwersał, przygotowany i obmyślony oddawna, rozesłał.

Zawistne losy jednak nie pozwoliły mu się urzeczywistnić. W chwili, gdy go Naczelnik z dobrą wiarą i otuchą rozesłał, opozycja, mająca źródło swoje w absolutnym braku zmysłu politycznego u szlachty, już wydała swój owoc.

Gdy Kościuszko oczekiwał na pierwsze wiadomości o tem, jakie ów uniwersał wrazenie

sprawi, stawiała się przed nim deputacja szlachty województwa Lubelskiego i Sandomirskiego.

Sztucznie poważny i surowy nastrój deputatów, pozwolił mu już na wstępie domyślać się niewesołych nowin.

Orszak deputatów wybrał się trochę ostentacyjnie i butnie w odwiedziny do Naczelnika. Zdawało się im, że sama powaga naczelnego wodza wymagać będzie wielkiego otoczenia, przepychu, parady, tymczasem znaleźli zupełnie co innego. Obóz cały rozlokowany pod gołym niebem — ani śladu tych bogactw i skarbów, jakie tradycja przechowywała żywo o obozach pod Pilawcami, Korsuniem. Nie było tych pancernych i husarskich chorągwi, lśniących od złota i srebra, tych strojnych w karmazyny towarzyszy, za którymi szły wozy ładowne, prowadzone luzaki... Szaro, ubogo, cicho wszędzie. W piasek wetknięte sterczą kosy chłopskie, do słońca migając różnemi blaski, małe harmatki na wzgórzach, takie same, jakich każdy z braci szlachty po kilka lub kilkanaście posiadał do wiatów, karabiny w kozły, oparte bagnetami o siebie, a kolbami w ziemię piaszczystą, a przy nich na płaszczach leżą żołnierze — oto wszystko...

Na jednym wzgórku tylko stoi kilka namiotów, takich, jak niegdyś dla ciurów rozpinano — nic więcej, nic... W tych namiotach Naczelnik ma swoją siedzibę, tam sztab i kancelarja...

Wierzyć się im nie chce, że to wszystko prawda!

Więc tu, w tej nędzy, wśród tych chłopów mieszka ów wódz wielki, który chwałą swego imienia napełnił świat cały? On, który w krótkim czasie stał się w Polsce największą potęgą i siłą, przed którym uciekała Moskwa, który w kilku dniach poza plecami rządu i króla stworzył nowy rząd, szanowany i słuchany, który zorganizował wojsko, skarb, administrację; który walczył osobiście na czele chłopów, zwyciężał dwakroć silniejszego nieprzyjaciela, sam prowadził politykę, sam własną ręką kreślił reformy społeczne, o doniosłości tak wielkiej, że wśród współczesnych znalazło się zaledwie kilku ludzi, zdolnych do zrozumienia ich i do ocenienia. On jeden dźwigał na sobie honor państwa i narodu. Nie szukał wielkości zewnętrznej; wielkość była w jego pięknej duszy, w jego czystym charakterze prawdziwego człowieka.

Deputowani weszli do namiotu Naczelnika buńczucznie, hardo. Nie było stołków i ławek, ażeby posadzić tak dostojnych gości. Zmieształ się trochę Kościuszko, przeproszał i musiał przyjąć, stojąc. O nazwiska nie pytał. Obrzucał ich tylko bystrem spojrzeniem, przekonał się odrazu, że mu te nazwiska nic nie powiedzą.

— Czego sobie Waszmość panowie życzy-
cie? — zapytał uprzejmie.

Jeden z przybyłych przodem nieco wy-
sunął się, a wysuwając się, sięgnął ręką do bo-
cznej kieszeni kontusza i papier jakiś wydobyl.
Trzymając go tedy w rękę, do Kościuszki się
zbliżył i z oratorską nieco swadą — jakby był
obroncą trybunalskim, zaczął:

— Jaśnie Wielmożny Panie Naczelniku. Od
chwili rozpoczęcia powstania, szlachta pograni-
cznych z Krakowskiem Województw czuła się
w obowiązku przyjscia z pomocą walczącym
w sprawie wolności i niepodległości Ojczyzny;
gdy jednak dochodziły do niej coraz bardziej
niepokojące wiadomości i pogłoski o czynno-
ściach, któreby mogły zachwiać jej powagą i zna-
czeniem, poczęła się naradzać, w jaki sposób mo-
żnaby było zapobiedz temu. Powstałe z tych
narađ lauda i życzenia, polecono nam złożyć
w Twoje ręce, Jaśnie Wielmożny Naczelniku.

Tu się Kościuszcze uchylił i papier, trzymany
w rękę, podał.

Kościuszko ujął go, rozwinął i z wielką uwagą
czytać począł.

Czytał spokojnie. Widać było tylko, że na-
niektóremi ustępami dłużej myśl swoją zatrzymy-
wał. Nic innego w tym memorjale nie znalazł,
tylko te same dowody, więcej może umotywo-
wane, jakie już z ust IMć pana Rogali Zajął

czkowskiego sływał. Radzono mu, ażeby, jeżeli życzy sobie mieć poparcie szlachty, chłopów rozpuścić do domu i dalszych zaciągów zaprzestał, gdyż ona chłopom pójść nie pozwoli. Rezultatem więc nie spełnionych rozkazów będzie bałamu-cenie się chłopów i, zamiast wojny z Moskwą, — wojna domowa.

Memorjał był podpisany przez wybitniejszych obywateli obydwóch Województw.

Kościuszko odrazu znalazł się między młotem a kowadłem. Tu siedziała mu Moskwa na karku, obserwując ruch każdy, a w głębi kraju, ci, którzy powinni byli wspierać go, odbierali mu broń z ręki.

Wydane uniwersały spotkały się z uporem i krótkowidztwem szlachty.

Sprawa była zbyt wielkiej wagi. Potrzebował się naradzić.

— I cóż ty na to jenerale? — zwrócił się Naczelnik na osobności do Wodzickiego.

— Swoje robić! — odrzekł energicznie Wodzicki.—Czy to twoja wina, Naczelniku, że oni ślepi? Trzeba z nimi robić to, co się robi z dzieckiem, które pod kopyta końskie idzie — gwałtem się je ztamtąd usuwa, a jeżeli słuchać nie chce — karze za nieposłuszeństwo. Na razie ono się gniewa, zdaje mu się, że starsi i doświadczeńsi krzywdę mu wyrządzają, potem do-

piero dojrzałość i rozwaga pozwolą mu się przekonać, że działano z jego pożytkiem.

— Ślicznie mówisz... — zauważył Kościuszko i westchnął, a westchnienie owe było świadectwem, że się ze słowami jenerała nie zupełnie godził.

Wodzicki ciągnął dalej:

— Lekarze w wielkich chorobach gwałtownych środków używają... Chory, albo cienny człowiek nie zawsze sobie z tego sprawę zdaje.

Rozumowanie to miało wszelką słuszość za sobą, — rada Wodzickiego była stanowczą, gwałtowną, ale do celu prowadziła... Trafiła ona do rozumu wodza, ale nie trafiła do jego temperamentu. Kościuszko umiał być stanowczym na polu bitwy, posiadał dużo energii spokojnej i wytrwałej, lecz nie posiadał energii gwałtownej, która człowiekowi, stojącemu na czele narodu, nieraz, chociażby się wydała niesprawiedliwością, dać może powagę, siłę i zwycięstwo. Takiej energii, przy wszystkich wielkich zaletach rozumu i serca, brakło Naczelnikowi. Gdyby ją był wówczas okazał — dziś prawnukowie tych, którzy stawali w obronie urojonej żrenicy wolności, błogosławiliby może tę chwilę gwałtu, tworzącą potęgę państwa i narodu; a wrogowie nasi, dokonawszy tego w siedemdziesiąt lat prawie później, na warunkach, cięższych dla włościan i szlachty,

nie byliby dziś uchodzili za dobroczyńców włościan... Stało się! Historia nie powtarza się...

Kościuszko na uwagi Wodzickiego nie godził się.

— Pozbawią nas prowiantów, pieniędzy — zauważył.

— Mając wojsko, sam sobie wszystko weźmiesz! Będą cię słuchać.

— Osłabią moją powagę moralną. Będę wodzem bez posłuszeństwa i bez armji. Oprócz Moskwy i Prus, będę miał walkę z własnymi wrogami.

Lekceważenie dezyderatów szlachty, a przestrzeganie natomiast wykonania rozesłanego uniwersału z bronią w rękę, byłoby niezawodnie gwałtem, wzmocniłoby przeciwko głównemu wodzowi zarzuty popierania komunistycznych zasad, o co już dawno obwiniano Kołłataja i uczestników Konstytucji 3. Maja. Moskwa zarzuty te podtrzymywała gorąco, szerzyła je namiętnie, bo doniosłość ich praktyczną ocenić umiała, każdy przeto krok gwałtu byłby poczytany Naczelnikowi za zbrodnię narodową i mógłby odsunąć od niego wszystkie żywioły słabe, lub wahające się. Kościuszko zaś pragnął walczyć z całym narodem wspólnie, nie przeciwko niemu, chociażby z przeciwnej strony jedna tylko szlachta stanęła. Dusza jego, wielka i czysta, zdolna była do poświęcenia i bohaterstwa, lecz nie do gwałtów, na-

wet wtedy, gdyby gwałty przynieść miały zbawienie narodowi.

Kościuszko tedy nie dał deputatom szlachty odpowiedzi stanowczej.

— Naradzę się... — rzekł. — Obmyślę środki działania takie, ażeby krzywdy nikomu nie było, lecz żeby naród odniósł największy pożytek. Proszę zapewnić wszystkich o mojej dobrej woli dla szlachty i Ojczyzny...

Taką dał odpowiedź Naczelnik.

Nie była ona stanowczą, lecz była niejako dyrektywą postępowania na przyszłość. Wobec głosów oburzenia, wywoływanych w Europie przez rewolucję francuską, wobec intryg Moskwy i Prus, które usiłowały obronę praw narodowych, zainicjowaną przez Kościuszkę, przedstawić jako dążenia do zmiany stosunków społecznych i politycznych, należało trzymać się bardziej umiarkowanego sposobu postępowania, ażeby dawać jak najmniej pozorów do zarzutów jakobinizmu, którymi hojnie strona przeciwna szafowała.

Umiarkowanie w stosunkach wewnętrznych tembardziej wydawało się Naczelnikowi koniecznem, że pozycja jego, jako wodza zbrojnego ruchu, pomimo wszystko, nie wydawała się ani ustaloną, ani pewną. Na przeciwnym brzegu Wisły miał przed sobą armję nieprzyjacielską, zajmującą stanowisko obserwacyjne; dość słabą, ażeby go atakować, lecz dość silną, ażeby kroki

jego w szachu trzymać i ogromny szmat kraju teroryzować. Armja ta nie byłaby dla niego postrachem, gdyby wiedział, jak rzeczy stoją w innych dzielnicach Polski. Na tym punkcie brakło mu zupełnie wiadomości, gdyż Moskale komunikację przecięli i w ten sposób zlokalizowali działalność wojskową Kościuszki na niewielkim kawałku ziemi. Tu obsaczyli go i mogli zgnieść lada chwila, chociaż miał pod bokiem Grochowskiego.

Wobec takiej niepewnej pozycji nie mógł się decydować na kroki stanowcze, a tembardziej gwałtowne — musiał temporyzować, łagodzić wszystko.

Kapostas wyjechał wprawdzie od niego z tem, że Warszawa broń podniesie przeciwko Moskwie, ale czy obietnicy dotrzymał? Nie miał o tem najmniejszego pojęcia.

Wobec takiej niepewności położenia, sam nie wiedział, co począć. Ze wzgórza, na którem stały namioty sztabu, widać było ledwie nie co dnia dalekie dymy, które kładły się po nizinie wiślanej, wieszwały się po szczytach lasów, świadcząc o dzikiej zemście Moskwy. Już był zdecydowany sam przez Wisłę się przepawić i na Moskwę uderzyć, ażeby sobie dalszą drogę do Warszawy otworzyć. Teraz ruszyć się nie mógł, bo mu nad karkiem siedziało dziesięć tysięcy Moskali.

W takiej sytuacji czuł się pogwałconym moralnie, zmartwionym, chociaż nigdy i nikomu nie dał po sobie tego poznać, ażeby innym ducha nie odbierać. Widział, że każdy krok jego, skierowany ku pożytkowi narodu, źle był wytłumaczony, że z tego, co miało zbawić naród, wrogowie ukuli broń ostrą.

Gdy tak wątpliwości i smutek miotają duszę Naczelnika, nastąpiła chwila zwrotna, za którą ukazało się długo przez cały naród oczekiwane — słońce nadziei.

Łobos, wysłany do jenerała Grochowskiego na zwiady, po długich tarapatach dotarł nareszcie do niego i z pomyślnymi wiadomościami wracał. Wracał, jak zwykle, ścieżkami i manowcami, ażeby się nie natknąć na jaki oddział moskiewski, który czasem przez Wisłę przeprowadzał się na tę stronę na przespługi i wędrował lasami bezpiecznie.

Wracał tedy Łobos pomyślnie i z pomyślnymi wiadomościami. Już może nie więcej, jak pół milki, było do obozu Naczelnika. Szedł wesoło, pogwizdując, a działo się to pod wieczór, kiedy szary zmrok zapadać począł.

Rano ulewny deszcz wypadł, tak, że wszędzie jeszcze po drogach stały kałuże błota, wielkie, szerokie, że nieraz polem trzeba je było obchodzić. W powietrzu było świeżo, przyjemnie.

Szedł chłop i przyśpiewywał, aby mu się różniej
nogi ruszały:

Danaż moja, dana, dana,

Ziemio nasza malowana...

Śpiewając, nad kraj olbrzymiej bajury za-
szedł.

— O, psia kość! — zawołał i począł się
rozglądać, jakby ją obejść.

W tem słyszy wyraźnie: roch, roch, roch...

Splunął chłop.

— Tfu! — powiada. — Byle tylko jaka ka-
łuża, a wnet się świnia znajdzie, położy się
tam — i już jej dobrze!

Świnia, posłyszawszy, że się jakaś ludzka
istota zbliża, zaczęła rochkać coraz żałośniej —
jakby coś opowiadała, skarżyła się...

Wpatrzył się Łobos w sam środek onej ka-
łuży — i oniemiał. Stał zdziwiony i głośno
żegnać się począł:

— W imię ojca i syna i ducha świętego...

A to co za komedja!

Świnia tymczasem żałośnie rochkała.

Począł znowu Łobos przypatrywać się —
i oczom własnym nie wierzy: głos świński,
a nogi — ludzkie... Tak jest, nogi... wyraźnie...
sterczą do góry... Tak wszystko wygląda jakby
jakaś potwora, łeb unurzywszy w błocie, odzy-
wała się świńskim głosem, a w górze nogami
przebierała.

— Jużci to jakaś nieczysta siła! — zawyrokował Łobos. I chłop, co się ani śmierci, ani Moskali nie bał, uczuł, że mu mrowie przechodzi po za plecy, a czapisko do góry się podnosi.

Tymczasem ona potwora w błocie ruszać się poczyna.

Już się cofnął Łobos i chciał uciekać, bo to z djabełm sprawa nie lada, gdy sobie przypomniał, że Naczelnik czeka.

— Obejdę to lichy — i tyła...—myśli sobie.

Z jednej tedy strony obawa, a z drugiej ciekawość go dręczyła, więc rad byłby się przekonać, co to za harce djabeł z nim wyprawia. Wpatrywać się tedy począł, wsłuchiwać...

— Świnia... i już — zawyrokował. — Przecież wiem, co świnia... Ale... djabeł różne postacie na siebie przybiera...

Gdy tak sobie Łobos medytuje, potwór powstaje nagle. W szarym zmroku wydało się, że wstaje coś olbrzymiego i wyraźnie ku niemu ręce wyciąga...

— W imię ojca i syna... — krzyknie Łobos — i w nogi!

Wprost do lasu pędzi...

Przekonawszy się jednak, że nikt za nim nie goni, zatrzymał się i znowu w tę stronę, gdzie djabeł figle z nim wyprawiał, odwrócił się.

— Jużci to djabeł — nikt ilny... — zawyrokował chłop. Słyszał, że ten i ów djabła wi-

dział, zdjęła go tedy chętką, choć raz w życiu djabła na własne oczy oglądać.

Tembardziej sam siebie do tego zachęcał, że djabeł zachowywał się spokojnie — rochlikał sobie, jak zwykła gospodarska świnia — i tyła.

— A może to taka świnia cudaczna... — pomyślał sobie. — No, jeżeli to świnia, to także widzieć warto...

Zatrzymał się, patrzył, wzrok natężał. Nie wytrzymał jednak i plunął.

— Tfu! — zawołał znowu niecierpliwie, — jakże ona chodzi! Nogami naprzód... Oto! Jużci to djabeł sam w swojej personie...

Im dłużej się przypatrywał, tem większe zdziwienie go opanowało.

— Głos świni... ciało jakieś dziwaczne, wyższe, niż u świni... Zdaża — a jednak nogi w powietrzu wiszą i dyndają... a może to uszy?...

Przypatrywał się znowu uważnie.

— Nie... nogi... ludzkie nogi... Na jednej nawet patynek żydowski widać... Dalibóg djabeł! — No, czego człowiek w życiu swoim nie zobaczy.

Djabeł wyłaził z wody i jakby umyślnie szedł do niego.

Łobos nabrał na odwagę. Przeżegnał się, w garść plunął, ujął nią dębowa, z młodego dębczaka łaskę i powiada:

— No, to chodź! Zmierzymy się, kiedyś taki mądry.

Okrutnie się w nim ochota zapaliła djabła zobaczyć na własne oczy.

A djabeł jak na toż wprost na niego kroczył. Im bardziej jednak wynurzał się z głębi kałuży, tem widoczniej i wyraźniej występowały dziwaczne jego formy. Miał cztery nogi jak rzetelna świnia, łeb świński, a nad głową dyndały nogi ludzkie...

Patrzył, patrzył Łobos, nareszcie krzyknął.

— Daj go katu! — Cóż to za cudo! Świnia, a do niej przywiązany człowiek, jak Boga mego kołam, człowiek... żyd, bo mu się kamiżola z bokami po błocie wlecze...

Był to ogromny kiernoz, do grzbietu którego żyda przykrępowano, ale jak! Leżał, jak długi, na grzbiecie brzuchem, brodę miał przywiązaną do ogona, ręce pod brzuch założone i przez krzyż sznurem do świni przymocowane, tak że się żydzisko ruszyć nie mogło. Do nóg podwiązano tyki, ażeby sterczały niby uszy nad głową świńską. Widać było, że żyda przywiązano żywcem do świni, która biegając z nim jak nawiedzona, wlaźła wreszcie w kałużę błota, gdzie się żyd zalał wreszcie.

Począł Łobos obmacywać żyda.

— Oho, zimny już.

Zajrzał mu pod brodę — i odskoczył zdziwiony. W ręce klasnął.

— Dyć to Lejbuś kochany! — zawołał.

Istotnie był to Lejbuś, stary znajomy Łobosa z pod Czernichowa. Służył on szpiegiem w obozie moskiewskim. Oddziały, na tę stronę Wisły przeprawiając się dla szpiegowania i niepokojenia obozu polskiego, posługiwały się nim w różnych celach. Widocznie jednak usługa niepomyślnie Moskałom wypadła, bo go się wreszcie pozbyli — po swojemu.

Poznawszy go, Łobos rzekł sentencjonalnie:

— Masz, czegoś szukał!

Stał nad tą świnią i miarkował, co robić.

— Jużci, muszę cię, panie Lejbuś, zaprezentować w obozie, aby chłopcy wiedzieli, co za godna osoba!

Wyciął tedy długi pręt z leszczyny i świnię do obozu popędził. Już noc była, gdy w obozie stanął i Bartoszowi się pokazał.

Bartosz go po ramieniu poklepał.

— A teraz pójdźmy bracie do Naczelnika, bo on tu ciebie wygląda dawno.

Do chłopów się zwrócił.

— Świnię zakłuć... przyda nam się... a żyda zawleczenie tam do Wisły... Zawsze choć rakom będzie z niego pożytek.

Naczelnik ogromnie się z przybycia Łobosa

uradował. Spojrzał na niego, — a chłop miał twarz rozpromienioną całą.

— Dobrze masz nowiny? — spytał.

— Dobrze, Naczelniku... Jenerał Grochowski idzie ku Wiśle... przejdzie ją pod Rachowem i z боку na Moskwę uderzy...

Potem począł opowiadać szczegóły — ile ma wojska, jakiego, którądy idzie, gdzie może być teraz, — a Naczelnik słuchał i dusza mu rosła.

— Zmiażdżę Moskali — i do Warszawy! — myślał, opowiadań Łobosa słuchając.

Łobos skończył i stał nieporuszony, w twarz Naczelnika patrząc uśmiechniętymi oczyma. Widocznem było, że jeszcze coś miał do powiedzenia. Kościuszko domyślał się, że jeszcze jakąś wiadomość ukrywa.

— Cóż więcej? — zapytał.

— Naczelniku! — rzekł drżącym ze wzruszenia głosem. — Warszawa już Moskali wypędziła! Czeka na was, wielmożny Naczelniku.

Czapką pokłonił mu się do kolan.

Wiadomość ta była mu nagrodą za wszystkie przykrości i zmartwienia, jakich temi czasy doznał. Uczuł radość w duszy, na wyrażenie której nie miał słów. Czuł się znowu potężnym, znowu pełnym nadziei.

— Odbierają mi chłopów, więc w mieszcza-

nach znajdę potrzebną mi siłę — przesunęło mu się przez myśl.

Uradowany, rzekł do Łobosa

— Dziękuję ci bracie... przyniosłeś mi siłę i pokrzepienie na duchu...

Chłop stał przed nim tak uszczęśliwiony, jakby mu kto nieba przychylił.

Naczelnik do Bartosza się zwrócił.

— Dajże mu, Mości panie Głowacki, kielich dobrej gorzały z mego puzderka podróznego...

Głowacki przyniósł flaszkę i kieliszek.

Naczelnik własną ręką nalał i podał Łobosowi.

— Wypij, bracie i ruszaj odpocząć...

Łobos kieliszek ujął, głową skinął i wypił.

— Za wasze zdrowie, Naczelniku.

— Bóg zapłać...

Tej nocy Naczelnik spał spokojnie.

V.

Wiadomości o ruszeniu się Madalińskiego, o kilku potyczkach z Prusakami zelektryzowały Warszawę. Widziano w tem zapowiedź i początek walki o wyzwolenie się z pod przemocy moskiewskiej i pruskiej, takie były powszechne domysły, ci zaś, którzy całą robotę tajemnie prowadzili, wiedzieli najlepiej, co się zapowiada.

Igelström tylko sądził, że to krok, skierowany przeciwko Prusakom. Sądził tak na serjo. Nie przeszkadzało mu to bynajmniej przeciwko Madalińskiemu wystąpić, gdyż uważał go za buntownika — wobec swego sprzymierzeńca. Z całej duszy życzył sobie, ażeby Prusacy na polskiej sprawie kark sobie skęcili, byleby tylko to, co zabrali, mogło się dostać — Moskwie w całości. Stawszy się niespodziewanie posiadaczami ogromnej przestrzeni cudzego państwa, Moskale i Prusacy, stanęli przeciwko sobie w pozycji dwóch psów, ogryzających jedną kość, które nagle sta-

ja, warczeć na siebie zaczynają, błyskają kłami, z obawy, ażeby jeden drugiemu kości nie odebrał — a potem znowu zgodnie gryźć poczynają...

Tak. Ciężkie losy zwyciężonych.

Igelströma tyle interesowali Prusacy, co dzieśnięta woda po kisielu; bronił ich jednak, jak się broni zdobywcy przed napaścią innego — jak się broni cudzego domu przed pożarem, często z obawy tylko, ażeby naszego nie zniszczył.

Otoczył tedy Warszawę kilkoma obręczami posterunków, ażeby wszelką komunikację przerwać i ani na chwilę nie spuszczał z myśli swego planu — opanowania miasta, zabrania arsenału, rozbrojenia wojska. Wszystkiego naraz dokonać pragnął, tak, że stając nawet w obronie Prusaków działał w tej myśli, że drogę przygotowaw i prostuje dla siebie. Zwycięstwa był pewien.

Gdy tedy wieść go doszła o ruszeniu się Madalińskiego, wnet do króla pospieszył. Ile razy potrzebował tylko, ciągnął tego koronowanego manekina i kazał mu skakać według swojej woli.

Na drugi dzień po stanowczym kroku Madalińskiego, Igelström przez kurjera miał już do kładną o tem relację. Król nie wiedział jeszcze.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł poseł — nadeszły wiadomości przewidywane...

Wstęp ten zaciekał króla i zaniepokoił.

Poprawiając machinalnie rurkowane żaboty, jak niewiasta, dbająca tylko o to, ażeby się wydać jaknajpiękniejszą, król zapytał spokojnie:

— Jakie?

— Jakobini, przez Francję napierani, już rozpoczęli kroki zaczepne w państwie Waszej Królewskiej Mości...

Wiadomość ta przeraziła go. Odjął nagle rękę od żabotów—rękę białą, piękną, jak z marmuru wykutą i w powietrzu zatrzymał, jakby umyślnie pragnął uwagę pośła na nią zwrócić. Przybrał pozę zdziwienia — chłodną, obojętną, jak aktor, robiący studja nad nową rolą.

— Czy to tylko prawda?

— Kurjer przywiózł mi przed chwilą depeszę, że Madaliński wyruszył z bronią w rękę z Pułtuska, napadł na Prusaków, kasę zrabował...

Król słuchał uważnie.

— Czy to tylko nie ma charakteru przypadkowej zaczepki? — zapytał.

— Nie, Najjaśniejszy panie, to początek wojny... Mam wiadomość przez poselstwo nasze zagraniczne, że impuls do akcji stanowczo z Paryża pochodzi... że zamiarem rewolucjonistów francuskich jest, znieść wszystkie rządy, a królów...

Tu zatrzymał się, spojrzał na króla. Stanisław August chłód uczuł od tego spojrzenia

Igelström miał na myśli rozprawę — po swojemu; o gilotynie myślał, o stryczku, nie powiedział jednak tego.

— Tronów pozbawić... — dokończył.

Król pytająco na niego patrzył. Igelström mówił dalej:

— Należy przypuszczać, że to tylko początek...

Stanisław August przerwał mu mowę.

— Mówiłeś Wasza Ekscelencja, że czasowe rozbrojenie i zredukowanie wojska naszego zapobieży temu.

— Zapóźno wzięliśmy się do tego...

Król jak echo powtórzył.

— Zapóźno...

Czuć było w jego głosie rezygnację. Stanisław August oddawna wiedział o tem, że siedzi tylko na tronie, ale nie króluje.

— I cóż będziemy robić? — zapytał wreszcie.

— Najjaśniejszy Panie. Jestem pewny, że król pruski rychło da sobie z Madalińskim radę, ponieważ ku niemu wyłącznie skierowane są kroki zaczepne; my zaś — identyfikował w ten sposób sprawę króla ze swoją — musimy mieć na uwadze, ażeby pożar nie ogarnął wojska.

— Tak... tak... ażeby nie ogarnął wojska.

— Bo to przecie bunt przeciwko prawowitej władzy.

— Bunt... bunt...

— Buntowników wojskowych trzeba sądem wojskowym karać natychmiast.

— Zupełną masz słuszość Ekscellencja.

Zachęta królewska dodała większej stanowczości Igelströmowi.

— Ukarać należy nietylko Madalińskiego, lecz wszystkich oficerów i żołnierzy, którzy śmieli bez pozwolenia hetmana i Rady Nieustającej broń podnieść.

Król wpatrywał się z natężeniem w twarz generała, jakby pragnął wyczytać najtajniejsze jego myśli, aby się do nich zastosować.

— Trzebaby Radę Nieustającą zwołać..

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie. Będę miał zaszczyt złożyć Radzie Nieustającej notę w imieniu Jej Imperatorskiej Mości, nad którą się Rada zastanowie zechce.

Igelström nic więcej nie żądał. Całą Radę Nieustającą on miał w kieszeni — wiedział przeto, że będzie robić to, co on im każe. Z królem mówił dla tego tylko, ażeby nacisk na niego wywrzeć, a dopiero potem robić z nim, co się podobą.

Stanisław August bardzo był z takiego łagodnego przebiegu sprawy zadowolony, tembardziej, że nie odczuwając tych krzywd, jakie się narodowi działy, z lekkim sercem podpisywał wszelkie ustępstwa terytorjalne i wierzył w szcze-

rość zapewnień, — na serjo myślał, że krok Madalińskiego jest tylko aktem nieposłuszeństwa władzy wojskowej, aktem samowoli, na skarcenie zasługującym. Po zatem nic nie wiedział, niczego się nie domyślał.

Zgodził się więc spokojnie na złożenie sądu dyscyplinarnego.

Rozmowa od spraw politycznych przeszła na dół obojętne.

— Widziałeś Ekscellencja ostatni mój portret roboty Bacciarellego?

— Nie.

— Prześliczna robota... — rzekł z żywym zainteresowaniem się.

Nachylił się nad stołem i dzwonić począł energicznie.

Wszedł lokaj.

— Przynieś, proszę cię, ten portret, stojący na sztalugach...

Wytłómaczył dokładnie, gdzie stał ów portret.

Za chwilę miał go już przy sobie.

— Tu go postaw... tu... do światła...

Sam kierował, sam ustawiał — odchodził, wracał, poprawiał, pragnąc widocznie, ażeby się robota wydała jak najlepszą.

Jenerał przypatrywał się temu wszystkiemu z miną drwiącą nieco. Na ustach jego wisiał uśmiech, który zdawał się mówić wyraźnie:

— Duraczestwo...

Udawał jednak żywo zainteresowanego, ile razy spojrzenie króla ku niemu się zwróciło. Igelström znał się na sztuce tak, jak wilk na perfumach, unikał wszystkiego, co miało bodaj pozór sztuki.

Stanisław August, ustawiwszy wreszcie portret jak można najlepiej do światła, do Igelströma się zwrócił.

-- Patrz jenerale... Co za robota... co za robota! Jaka ścisłość rysunku, jaka trafiona karnacja... a szczegóły? Uważasz jenerale? Jak żywe wszystko...

Tu się do obrazu zbliżył i począł delikatnie palcem pokazywać.

— Te mankiety... koronki... co za dokładność... patrz te dzierzgania... a sukna? Barwa się mieni... nieprawdaż?

— Bardzo piękna robota... czuł się w obowiązku coś bąknąć jenerał, — tylko to krzeselko — tu się zbliżył i palcem taboret pokazał, na którym jakieś drobnostki leżały — nierówne ma nogi...

Stanisław August odstał od obrazu, dłoń w trąbkę zwinął i przypatrywać się począł.

— Ależ nie, jenerale, rysunek najdoskonalszy...

— Nogi nierówne! — rzekł jenerał z uporem pewnego siebie kaprała.

Do obrazu się zbliżył, zmierzył przednią i tylną nogę. Tylne były rzeczywiście krótsze.

Igelström spojrział tryumfująco na króla i nie nie rzekł. Stanisław August zrozumiał, o co mu chodzi.

— Perspektywa, jenerale...

Jenerał znał tylko jedną perspektywę — tę, przez którą na polu bitwy patrzył.

— Perspektywa co innego, a nogi — krótkie, Najjaśniejszy Panie.

Stanisław August przestał chwalić. Byłoby to wszystko jedno, co z kogutem rozprawiać o pięknym śpiewie słowika.

Igelström czuł, że coś mu się tu nie udało, że popełnił błąd jakiś, chociaż nie umiał zdefiniować na czem ów błąd polegać może. Czuł się tedy w obowiązku komplementem rzecz poprawić.

— Wasza Królewska Mość znasz się na sztuce, jak nikt w Europie...

Król uśmiechnął się.

— Tu, w Polsce nie umiejają ludzie tego ocenić należycie... Co za szczęście byłoby dla Rossji, gdybyś Wasza Królewska Mość u nas był królem.

Na tem się posłuchanie skończyło.

Niedługo jednak trwało zadowolenie Igelströma i spokój Jego Królewskiej Mości. W Krakowie wybuchło powstanie, które wyraźnie prze-

konało jenerała, że kroki zaczepne ze strony Polaków skierowane są zarówno przeciwko Prusom, jak i Moskwie.

Igelström tracił głowę. Wycofał Łykoszyna z Krakowa, ażeby szedł na spotkanie Madalińskiego i co rychlej go rozbił, a tu za plecami pułkownika wybuchło powstanie, na czele Kościuszki, który na wstępie zapowiedział, że rozpoczyna wojnę bez króla, który, uważając rząd istniejący w Warszawie pod protektoratem Rosji za niepolski i nie istniejący, odrazu zorganizował nowy rząd, nakazał mu posłuszeństwo, nadał się i w ten sposób władzę królewską pozostawił w spokoju, nie tkniętą, nie naruszoną, lekceważoną.

Posel najjaśniejszej carowej, nie miał tyle siły zbrojnej, ażeby przeciwważyć stanowczość, z jaką Kościuszko rozpoczął akcję, nie miał żadnej powagi w społeczeństwie polskim, ażeby przeciwko tej akcji wystąpić natychmiast wobec szczególnie jawnie podłego zachowania się Rosji, na którem się większość narodu poznała.

Postanowił tedy użyć do tego pośrednictwa króla i Rady Nicustającej — gdzie większość należała do zdecydowanych zwolenników Moskwy.

Z drogi intrygi pałacowej przeszedł na drogę intrygi politycznej.

Dowiedziawszy się przeto, co się dzieje w Krakowie, porozumiał się natychmiast z pomocnikami swoimi — Ankwiczem, Zabiellą, Ożarowskim i wystosował notę do Rady Nieustającej na imię króla.

Tego samego dnia Ankwicz zakomunikował notę Stanisławowi Augustowi i niepytając króla, posiedzenie Rady zwołał. Znaleźli się tam oprócz Ankwicza ci wszyscy, których poznaliśmy na tajemnej naradzie u posła carowej.

Ankwicz wprost do króla się zwrócił.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — zawistne losy nie pozwalają Rzeczypospolitej przyjść do pożądanego spokoju, a obywatelom do używania błogich czasów, z pokoju płynących...

Marszałek usiłował mowie swojej nadać jak najwięcej wzruszającej powagi.

— Usilne starania Waszej Królewskiej Mości dla przywrócenia szczęśliwości Rzeczypospolitej i poddanym, bezinteresowna, szczerą i bezgraniczną przyjaźń Jej Imperatorskiej Mości Najjaśniejszej Carowej Katarzyny, jaką naród nasz zaszczyca, składając ciągle dowody tej przyjaźni, ani Jej usiłowania do utrzymania spokoju w Rzeczypospolitej, nie odnoszą pożądanego skutku. A jednak cnotą prawych obywateli powinno być, dbać zawsze o pożytek kraju i wolności jego bronić, chociażby za cenę krwi własnej...

Gdy to mówił marszałek, król trzymając wysoko głowę, jakby jej piękność pragnął wszystkim obecnym pokazać, słuchał z chłodnem namaszczeniem i powagą, Ożarowski schylił swoją zwiędłą twarz tak nisko, że tylko łysinę widać było, a oczy księdza biskupa Kossakowskiego biegały od jednego do drugiego, na każdej twarzy spoczywały chwilkę badawczo, aż wreszcie spojrzenia jego zawisły nieruchomo w powietrzu.

Ankwicz ciągnął dalej, westchnawszy.

— Wszelkie jednak usiłowania nie odnoszą pożądanego skutku... Duch warcholstwa, swawoli i nieposłuszeństwa, zakorzeniony w narodzie, ciągle wicherzy.

W tem do króla twarz i mowę zwrócił.

— Wiesz, Najjaśniejszy Panie, o tem, że karygodne i zuchwałe zachowanie się Madalińskiego powszechnie oburzenie w narodzie wywołało, gdyż targnięcie się jego samowolne na wypróbowanego przyjaciela Waszej Królewskiej Mości i narodu polskiego, IMci króla pruskiego uwikłało nas w nieprzyjemną wymianę not i zmusiło do zwołania sądu wojskowego na nieposłusznych. Teraz nadchodzą inne wiadomości, świadczące, że jakobinizm nie przestaje zapuszczać coraz głębiej korzenie w naszym społeczeństwie i że dąży wyraźnie do podkopania, a nawet zupełnego zniszczenia istniejącego porządku pań-

stwowego i Twego tronu, Najjaśniejszy Panie, który jest chlubą całej Europy, a zaszczytem naszym...

Wygłosiwszy to zdanie, marszałek zatrzymał się chwilę, jakby pragnął oddechu zaczerpnąć i okiem powiódł po słuchaczach, uważając, jakie mowa jego wrażenie sprawia. Nic się w twarzach i zachowaniu się słuchaczy nie zmieniło, tylko król, zdawało się, staranniej, niż przedtem, począł koronki swoich mankietów oglądać.

Marszałek odetchnął i znowu mówił, wyciągnawszy z teki papier jakiś, który przed sobą na stole rozłożył i pedantycznie rozprostował.

— Jaśnie Wielmożny poseł Najjaśniejszej Imperatorowej Wszech Rosji, IMć pan baron Igelström. nadesłał urzędową notę o nowej rewolucji, jaka w Krakowie wynikła.

Uwaga ta tylko króla zdziwiła, — inni już o wszystkim wiedzieli.

Stanisław August pytające spojrzenie w stronę marszałka zwrócił.

— Pozwolisz Najjaśniejszy Panie — odezwał się Ankwicz, — że notę przeczytam.

Król głową skinął.

Marszałek czytanie zaczął.

Wszystkie myśli, a nawet wszystkie wyrazy, w tej nocy użyte, znane już były od dawna. Ucho polskie przyzwyczało się do nich, IMć pan

baron mówił o tem, że z Krakowa wyszedł akt, nawołujący społeczeństwo do rewolucji, że jest to tylko jedna z tych odezw, które od czasu francuskiej rewolucji w tysiącach egzemplarzy obiegają naród, nawołując do mordów i rabunków, do zniszczenia porządku społecznego, że szczytem wreszcie zuchwalstwa i dumy, jest podpisywanie takich ulotnych odezw, pełnych wstrętnych sofizmatów, nazwiskami przewódców. Te kupy zuchwałych rewolucjonistów przemawiają tonem władców państwa, stanowią prawa, gwałcą święte prawo własności, terroryzują mieszkańców nawet tak wielkich miast, jak Kraków. Na tyle zuchwalstwa Najjaśniejsza Cesarzowa Wszech Rosji, której tak chodzi o spokój Rzeczy — tak, o spokój cmentarza! — pozwolić nie może; ona wyszła własną armją na zniszczenie burzycieli porządku, ale tego niedość! Rzecz może ze swej strony dać przykład sprawiedliwości, ażeby innych od tego uchronić.

Poseł carowej jest przeświadczony, że król zamianuje odnośne sądy, karzące w jego imieniu buntowników, piętnujące ich bezczelnością, na jaką zasługują, a wszystkie władze państwowe będą tylko pomagać do wykrycia złooczyńców. IMci pan baron przypominał wszystkie dobrodziejstwa, jakie Katarzyna uczyniła już dla utrzymania pokoju w Rzeczypospolitej, naród polski przeto wdzięczność swoją winien okazać

surowem, ale sprawiedliwym ukaraniem złoczyńców.

Tak przemawiał za pośrednictwem króla i Rady nieustającej Igelström do narodu polskiego — śmiało, zuchwale, nie jak do reprezentantów niezawisłego państwa lecz jak do gubernatorów prowincji carskiej.

Nota była wysłuchana w najgłębszem skupieniu i spokoju. Nikt już w tem całym zgromadzeniu nie uczuł zniewagi, wyrządzonej narodowi.

Po długiej chwili milezenia, głos zabrał marszałek.

— Poseł Najjaśniejszej Imperatorowej Wszech-Rosji czeka na odpowiedź...

Marszałek miał już odpowiedź gotową, ale się do tego nie przyznał.

Śród ciszy tak wielkiej, że słyhać, zda się, było każde serca bicie, król się odezwał:

— Cóż o tem myśli ksiądz biskup?

Kossakowski poczerwieniał nagle i głowę pochylił, pragnąc w ten sposób ukryć swoje pomieszenie. Zapanowawszy jednak nad sobą, podniósł głowę śmieiej i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie. Kiedy podobano się Bogu doświadczyć nas znowu zakłóceniem spokoju domowego przez buntowników i zuchwałców, pragnących zniszczyć ołtarze święte i tron, a szlachtę pozbawić niezaprzeczonej i długo uży-

wanej wolności, dzięki niech będą Bogu, że nam dała pomocną rękę Jej Cesarskiej Mości Carowej Wszecch Rosji, która jedna tylko spokój i bezpieczeństwo przywrócić nam może... Należy więc przedewszystkiem podziękować Najjaśniejszej Carowej za jej opiekę i dobroć... za jej chęć przywrócenia porządku, bo my wobec niebezpieczeństwa bezsilni jesteśmy...

Przestał mówić. Stanisław August słuchał uważnie i czuł, że nie tylko jego godność, jako króla, lecz miłość własna człowieka doznaje upokorzenia, poniżenia, bólu... Sumienie szeptało mu, że ci buntownicy, na których Igelström domaga się sądu i kary, stają w obronie samodzielności i niepodległości narodu — czyż to za zbrodnię już uważane? Czyż nie jest to przedewszystkiem pierwszym obowiązkiem króla? A więc oni mego honoru bronią... — przez myśl mu przeszło.

— Tego nie dość — odezwał się Ożarowski. — Wdzięczność jest udziałem serc szlachetnych, a Polacy zawsze z szlachetności słynęli. Tu chodzi także o zachowanie i nietykalność podstawowych podwalin państwa, trzeba tedy nie tylko sąd ustanowić na ukaranie winnych, ale także na potępienie wstrętnych piśmideł, szerzonych po kraju, a mącających spokój obywateli.

— Zupełnie się z tem zgadzam, — zaczął wielki kanclerz koronny Sułkowski — radziłbym jednak nie zapominać, że zarówno łaska Najjaśniejszej Carowej Katarzyny, jak i obrona przyobiecana nam spływa za pośrednictwem stałe nam okazywanej zyczliwości Jaśnie Wielmożnego posła pełnomocnego, Igelströma...

Król podniósł głowę. Twarz jego marmurowa, nieruchoma, blada, ożywiła się nagle. jakby pod wpływem prądu elektrycznego, który przez nią przeleciał. Oczy błysnęły ogniem. Powiódł okiem pogardy pełnem po twarzach członków Rady nieustającej...

— Pragniecie Waszmość panowie dołączyć jeszcze podziękowanie posłowi?

Z brzmienia głosu nie można było odgadnąć, czy na to podziękowanie przyzwala, czy je gani?

— Że żywy współudział, jako poseł, bierze w przywróceniu porządku, wdzięczność należy mu się... — wtrącił cichym głosem Zabiętko.

— Ha! — rzekł z rezygnacją Stanisław August — niech wielki kanclerz koronny w tej myśli zredaguje odpowiedź na notę...

I wielki kanclerz notę zredagował.

Nikogo w tem całym zgromadzeniu nie było, od króla począwszy, ktoby stanął w obronie honoru narodowego. Igelström wszelką myśl o potrzebie samoobrony nazywał marzycielstwem,

wszelką próbę wytłumaczenia tej myśli, chociażby wobec własnego sumienia, zaliczano do sotizmatów — a rząd polski, z królem na czele, znosił te obelgi spokojnie, jak gdyby do kajdan i niewoli już przywykł, jak gdyby miłości własnej zaparł się, jak gdyby Ojczyzna nasza, rozciągająca się od Bałtyku po Czarne morze, była nie prawdą dziejową, lecz legendą z czasów bajecznych, którą gromada marzycieli pragnęła w rzeczywistość zamienić...

Pycha niezgłębiona jednej kobiety, którą intryga osadziła na tronie obcego państwa, stworzyła całą politykę Rosji, zakreśliła jej granice od zachodu, stworzyła potęgę państwową, a używszy za narzędzie intrygi religję, której sama obcą była narodowością i duchem, zdołała za pośrednictwem tego czynnika rozbić tak wielkie terytorjalnie państwo, jakiego równego nie miała współczesna Europa. Tem państwem była Rzpta Polska. Od stu lat przeszło żyjąca w beczynności i spokoju, w egoizmie klasy, stojącej na czele rządu, utopiła dawne tradycje państwowych ideałów, a nowych niezdolała wyrobić, wobec przeto intryg Rosji znalazła się bezsilną i bezbronną. Magnaci i szlachta, kierownicy nawy państwowej, pełni dumy osobistej, pozbawieni byli dumy narodowej, wobec więc gwałtów carowej zdobywali się tylko na wstrętą pokorę lub apatję. Niezdolni byli sile przeciwstawić si-

łę, bo od tych pokoleń, karmiąc się niemocą duchową, lękali się każdego kroku stanowczego, a kiedy się garstka ludzi znalazła, chętna bronić całości państwa, praw i honoru narodu, Moskwa obronę nazywała buntem, obrońców — buntownikami, a za krzywdy popełnione narodowi kazała dziękować carowej i jej posiepakom.

Gdy przeto Rada Nieustająca rzuciła kilka myśli przewodnich, które stanowić miały treść odpowiedzi na notę, król wstyd jakiś uczuł w sobie i upokorzenie. Nie dość, że Igelström przemawiał do niego, jak do sekretarza swego, któremu rzuca pierwszą myśl do noty — zniewagę tę trzeba było znieść w spokoju; ale z jednego upokorzenia powstawało drugie. Wstyd mu było odpowiedzi.

Miękki, wrażliwy jak kobieta, Stanisław August był człowiekiem, pozbawionym zupełnie rozumnej woli, więcej nawet — on na upór świądomy zdobyć się nie mógł. Obdarzony piękną duszą i rozumem — duszę i rozum oddał na igraszkę wrogom ojczyzny. Był to człowiek, nie mający w sobie nieugiętej dumy, ani osobistej, ani narodowej; żadne wielkie światło nie oświecało jego drogi. On niezdolny nie ani ukochać, ani nienawidzić, chylił się na wszystkie strony jak wysoki i piękny, ale pusty kłos żytni na łanie: kłosa ziarna pełne w jedną pochyliły się stronę, a on wiecznie drżał i chwiał się je-

dnakowo od wichru jak i od ladajakiego powiewu...

Kiedy członkowie Rady Nieustającej prześcigali się jeden przed drugim w wypowiedzeniu swoich służalczych uczuć, króla dreszcze wstydu przebiegły przez chwilę. Czuł w tej pokorze dźwięk moskiewskiego złota... Już narada skończoną była, już wiadomo było, co wielki Kanclerz koronny odpowie Igelströmowi. Zdawałoby się, że wszystko skończone. Chęć ich paliła porwać się co rychlej i wyjść z tej sali, ażeby sobie w oczy nie patrzeć, a Stanisław August znaku żadnego do wyjścia nie dawał. Siedział pochylony, zamyślony, czując na sobie cały ciężar spojrzeń obecnych. Smutek go gnębił, ból nim miotał; Sumienie mówiło wyraźnie:

— To nie buntownicy — obrońcy; to nie sofizmaty — prawdy święte...

Ale król nie miał przy sobie nikogo, komuby mógł bodaj duszę odkryć.

Westchnął głęboko.

— Sam jestem... — wyszeptał.

Hańbę popełniał i miał świadomość tego, a nie było komu powiedzieć mu:

— Królu! Bądź sprawiedliwy przynajmniej...

Szept, jaki mu się z ust wydobył, posłyszeli wszyscy i zrozumieli, co to znaczy.

Wielki kanclerz koronny skierował wzrok

do króla, jakby go pytał: czy wolno sesję zamknąć?

Stanisław August podniósł głowę i z tem spojrzeniem spotkał się. Odgadł jego znaczenie i na znak przyzwolenia skinął...

Stało się zadość Igelströmowi.

VI.

Pełnomocny poseł carowej Katarzyny II., najjaśniejszej aliantki i wypróbowanej przyjaciółki Rzptej, pewny był powodzenia i rychłego zwycięstwa. Już mu się we śnie marzył tytuł „hrabiego“, order, krzyż, łaska carycy, obszerne włości na buntownikach zdobyte... Alboż nie miał do tego prawa? Radę Nieustającą, która cały rząd Rzptej reprezentowała, uczynił bezwładnem i pokornem narzędziem swej woli, z króla zrobił igraszkę carowej, ambitnych powołał na czoło narodu, nieuczciwych na żołdzie moskiewskim trzymał, odważnych wywiózł w głąb carstwa, a lękliwi siedzieli cicho — wzdychając i skarżąc się...

Sąd, z własnych rodaków złożony, miał ochrzcić mianem buntowników i warcholów obrońców państwa i czci narodowej, a tej garstki żołnierzy, która na rynku krakowskim wraz z Naczelnikiem swoim przysięgę złożyła umrzeć za

ojczyznę, lub zwyciężyć, czyż on się mógł lękać? Wysłał przeciwko jednemu Łykoszyna, przeciwko drugiemu pchnął generałów Denysowa i Tormasowa, lada chwila więc spodziewał się pomyślnej wiadomości. Już naszkicował nawet sam własną ręką raport do carowej, donoszący o zwycięstwie i sukcesach...

Upojony marzeniami o powodzeniu i sławie, Jaśnie Wielmożny poseł Najjaśniejszej Carowej kończył właśnie pierwsze śniadanie, a lokaj na srebrnej tacy trzymał przed nim pudełko cygar hawańskich — gdyż generał zawsze jedno po śniadaniu wypalał — gdy wszedł dyżurny adjutant i zaanonsował przybycie kurjera od Denysowa.

Twarz się generałowi rozjaśniła. Nie mógł powstrzymać swojej radości.

— Nareszcie... — rzekł sam do siebie.

Adjutant znowu zapytał:

— Czy mam go odesłać do kancelarji Waszej Excelencji?

— Tu niech przyjdzie! — rzekł ze stanowczością zadowolonego człowieka.

Palił cygaro i czekał. Nie długo czekał. Wszedł kurjer. Był to kapitan, przesłany przez Denysowa z raportem do generała.

Ledwie półtwarzy do niego Igelström zwrócił.

— Zgnietli? — zapytał szorstko.

— Tak jest Excelencjo! — brzmiała głucha, ponura odpowiedź.

Pan baron rozparł się szeroko na krześle i kłęby dymu puszczał.

— Przewidywałem to... A więc zwycięstwo?

— Zwycięstwo, Excelencjo!

Nie podobał się Igelströmowi dźwięk głosu kurjera, który wyrażał za mało radości. Przypisywał to jednak zmęczeniu po długiej podróży.

— Czy Kościuszko i Madaliński uwięzieni?

— Nie, Excelencjo.

Jenerał, tknięty złem przeczuciem, porwał się na równe nogi. Kurjer odgadł, że zaszło nieporozumienie, ale wyprowadzić z błędu jenerała nie śmiał.

— Jak to? — zawołał Igelström, przyskoczywszy jednym susem do oficera.

— Nasi cofnęli się w porządku, a Kościuszko i Madaliński zdołali umknąć cało z pola bitwy...

Słowa te osłupiające wrażenie sprawiły na jenerała. W jednej chwili spostrzegł, że marzenia jego rozpięzchły się, jak dym cygara. Butny do niedawna satrapa, uczuł w sobie trwogę niewolnika, pomieszana z wściekłością bezsilnego człowieka. Oczy nabiegły mu krwią gniewu i migły złocistemi blaskami, jak u tygrysa.

Ścisnął pięście machinalnie i ryknął jak szalony do kurjera :

— Won! Zdasz mi raport w kancelarji!

Kurjer wyszedł.

W ten sposób Igelström otrzymał wiadomość o bitwie Raclawickiej.

Stracił zupełnie głowę. Nienawiść do wszystkiego, co polskie, opanowała go taka szalona, że gdyby miał siłę i możność, odpowiadające swej złości, byłby jednym uderzeniem miecza ściał wszystkich — bez względu na winy lub zasługi, nawet względem niego. Polacy od tej chwili, gdy ośmielili się rozwiać jego marzenia o sławie jeneralskiej, byli już jego osobistymi nieprzyjaciołmi. Zwycięzać ich — było za mało dla niego, on rad byłby ich wytępić, zniszczyć. Nie umiał nawet pohamować się w złości, nie umiał jej ukryć. Miał wiele podobieństwa do dzika, który raniony, nietylko kłębem swoim zmiata z drogi winnych i niewinnych, ale rwie ziemię, podrzuca gałęzie do góry, łamie młode drzewka — aby tylko złości swojej dać ujście.

Takim był Igelström.

On — wychowany w niewoli, — nie rozumiał, co to znaczy bronić wolności; znał tylko dwa stany duszy: rozkaz i posłuszeństwo. Wszystko, co przeciwko rozkazowi wykraczało, co nie nleżało jego woli, było buntem, czynem, godnym najwyższej kary. Rząd jego uznawał tylko bierną

pokorę, tę wynagradzał, posłuszeństwo zdobył orderami, obsypywał złotem — taką samą politykę on względem innych prowadził. Kto się jej nie poddawał, tego uważał za osobistego nieprzyjaciela, którego gotów był wszelkimi środkami się pozbyć.

Dawniej nienawidził Polaków, jako ludzi, niechających się poddać bezwzględnie woli carowej, teraz nienawidził ich za powodzenie i zwycięstwo, więc w duszy jego dzikiej roiły się plany zemsty — na bezbronnych. Złość tak nim miotała, że nie mógł uwagi skupić na ogólnej sytuacji, nie mógł powziąć żadnego rozważnego planu działania.

— Ja wam tego nie przebaczę... nie przebaczę... — sam do siebie mówił. — To chytry, zdradziecki naród... Zniszczyć go trzeba... zniszczyć do szczętu...

Jenerał w obronie praw widział zdradę, w miłości ojczyzny i szukaniu środków do wyrwania jej z rąk złoczyńców — przebiegłość i chytrą, w zwycięstwie — zbrodnię.

— Do króla pójdę... Radę nieustającą zwołam...

Wszystkich obwiniął, wszystkich gotów był szarpać pazurami. Po co miał iść do króla? Czego żądać od Rady nieustającej? — Nie wiedział. Nie myśl nim kierowała, złość i gniew popychały.

Kazał się ubrać, założyć konie do powozu galowego, otoczył się swiłą wspaniałą, jakby umyślnie przepychem zewnętrznym pragnął złość swoją i nicość pokryć. Towarzyszyli mu jenerałowie, adjutanci, przed kolosą biegli laufrowie, oddział gwardji postępował.

— Do pałacu królewskiego! — zakomenderował.

I świetny orszak do pałacu ruszył.

Stanisław August nie wiedział o zwycięstwie pod Raclawicami, tak samo, jak nie wiedział o tych wszystkich usiłowaniach, jakie czynił naród w celu pozbycia się przyjaźni i opieki moskiewskiej. Uprowadzono go jednak o niezwyklej paradzie, z jaką poseł carowej przybywał i niezwyklej złości jego.

Król zdecydował się nieprzyjąć Igelströma, składając się niedyspozycją.

Odpowiedź ta, zdawało się, jeszcze bardziej podniecała jenerała.

— Proszę powiedzieć królowi, że interes zwłoki nie cierpi... ważny. Gdyby nawet Jego Królewska Mość był w łóżku — nic to nie znaczy.

Stanisław August przewidywał burzę.

— Chory jestem, Excellencjo — rzekł do wchodzącego Igelströma, krzesło mu ręką pokazując.

Jenerał nie zwrócił nawet uwagi na słowa Jego Królewskiej Mości.

— Najjaśniejszy Panie! Z przykrością przypomnieć muszę Waszej Królewskiej Mości, że na żądanie w nocy nastąpiła wprawdzie odpowiedź pisemna, lecz na tej odpowiedzi wszystko się zatrzymało.

Stanisław August, widząc nerwowy stan piosła, starał się go uspokoić.

— Sąd wyznaczony... Okólnik do wojska rozesłany... — zauważył.

— To w niczem nie zmieniło sytuacji... Winni nie są ukarani, śmiałość buntowników posuwa się do zuchwałości; miałem wiadomość, że niedawno jakiś Kościuszko, ten sam, który na manifestach i odezwach podpisuje się, napadł na oddział jenerałów Denysowa i Tormasowa pod Raclawicami...

— Spodziewam się, że już drugi raz nie napadnie.. — wtrącił król.

Igelström te słowa wziął za obelgę. Zdawało się, że dźwięczy w nich szyderstwo, chociaż król nic nie wiedział o zwycięstwie Polaków.

— Wasza Królewska Mość zartujesz sobie z woli i życzeń Jej Imperatorskiej Mości... — rzekł dumnie.

Ton, z jakim mówił Igelström, uraził króla.

— Ekscelencjo, bądź spokojniejszy... — rzekł napozór łagodnie, lecz z akcentem rozkazu Stanisław August.

Uwaga ta uraziła generała. Zpasował cały.

— Najjaśniejszy Panie. Przemawiam w imieniu Jej Imperatorskiej Mości...

— To nieprzeszkadza być spokojnym. Ja nie jestem wassałem Carowej.

— Ja też nie jestem posłem carowej, lecz pełnomocnym posłem Jej Imperatorskiej Mości Cesarzowej Wszech - Rosji Katarzyny II.

Król zmarszczył brwi,

— Czy ma Ekscelencja jakie życzenia do przedłożenia? — zapytał sucho.

— Sprawiedliwości i sądu żądam na buntowników — rzekł generał wyniośle. Jeżeli się zadość memu żądaniu nie stanie, śmiem zakomunikować Waszej Królewskiej Mości, że Jej Imperatorska Mość umie nie tylko sadzać na tronie monarchów, lecz i pozbawiać ich tronu. Ja zaś mam władzę każdego nieposłusznego jej woli nie tylko wywieść z granic państwa, lecz nawet w kordygardzie osadzić... Wasza Królewska Mość jesteś w ręku moim...

Słowa te zuchwałe i brutalne oburzyły króla. W pierwszej chwili porwał się z fotelu i gwałtownie podniósł rękę, ażeby za dzwonek uchwycić.

Jenerał wstrzymał go.

— Najjaśniejszy Pan nie zechce pewnie, ażeby treść tej rozmowy przeszła do przedpo-

kojów, a stamtąd do dzienników zagranicznych...
To nie zmieni sytuacji w niczem...

Stanisław August bezsilny opuścił się na fotel. Słowa te odbierały mu ostatki energii, woli, odwagi. Ból uczuł głęboki, bezgraniczny, pełen upokorzenia, niewypowiedzianie smutnego. Ogarnęła go rozpacz, nie ta, która daje siły, ale ta, która resztki gruchoce, która unicestwia człowieka, czyni go bezwładnym, apatycznym, słabym. Gdyby był młodym, byłby może nóż utopił w tych piersiach moskiewskich, które się ku niemu wydymały dumnie, udekorowane krzyżami i medalami — za popełnione zbrodnie — a teraz? Cóż on mógł zrobić? Gdyby był kobietą, płakałby z gniewu.. Czuł tylko, że mu łzy nie na wewnątrz tryskają, lecz spadają w głębie, pieką mu w gardle. duszą go, serce mu szarpią jak szponami...

— Czegoż chcecie odemnie? — ledwie wymówić zdołał.

— Posłuszeństwa i pokory... sądu i kary na buntowników...

Stanisław August oczy na niego podniósł.

— Jenerale! To naród broń podnosi.. ja nie mogę z nim walczyć...

Igelström wyprostował się dumnie.

— Wasza królewska Mość nie chcesz... przestałeś wierzyć w przyjaźń Najjaśniejszej Imperatorowej Wszech-Rosji.

Na ustach króla prześliznął się bolesny uśmiech, w którym skupiło się całe życie.

— Przyjaźń... wyszeptał.

Igelström stał nieporuszony.

— Ja wszystko dla tej przyjaźni poświęciłem... szczęście mego narodu i własne szczęście. Wierzyłem dawniej, dziś bezsilny jestem... nie mogę ani ufać, ani walczyć z wami. Zrobiliście mnie królem bez rządu, bez wojska, bez siły, bez władzy, — zdolny więc jestem podpisać tylko żądanie wasze..

Przestał mówić, a oparłszy się na dłoni, siedział nieruchomy. Zdawało się, że łyżki połykał, które mu z trudnością przeciskały się przez gardło. Potem rękę podniósł i ku Igelströmowi skinął.

— Zostaw mię Wasza Eksceclencjo w spokoju... Co zechcesz, zrobię..

Igelström wyszedł.

Król siedział blady, wzruszony głęboko. Nie dzwonił na nikogo. Sam siedział w walce niewidzialnej z własnem sumieniem.

— Oddałem na pastwę temu tygrysowi pośród narodów i państw własny naród i siebie samego... Sprzedałem tron, ziemię, naród za jedwabne słówka oszustom politycznym, pozwoliłem im wzmocnić się, wyrósć, utuczyć się krwią i ciałem mego narodu — na hańbę ludzkości

i moją! Ach, kiedyż będzie koniec moim męczarniom...

Zakrył twarz obiema rękoma i szlochać zaczął...

Nigdy może w życiu nie czuł takiego poniżenia i osamotnienia, jak teraz. Obcy człowiek, poseł obcego państwa rozporządzał się pod jego bokiem nie jak król, lecz jak złoczyńca, jak zbój, jak złodziej, który poniewierał honor i cześć wielkiego narodu, a on, król, stał osamotniony i bezbronny...

Własny naród odsunął się od niego, a u podnóża tronu znaleźli się tylko nikkzemni lub pochlebcy. Miał nad czem zapłakać.

Gdy dzwonek z królewskiego pokoju zbyt długo nie wołał nikogo, wszedł wreszcie kamerdyner i zastał króla zemdlonego, opartego bezwładnie o poręcz fotela. Zawołano lekarza, ocucono go, położono do łóżka, lecz nikt prawdziwej przyczyny zemdlenia nie wiedział. Domyślano się tylko, że rozmowa z Igelströmem musiała na niego podziałać niezwykle.

Posel pełnomocny Najjaśniejszej Imperatorowej nie był bynajmniej z przebiegu tej rozmowy zadowolonym. Nie przyniosła mu ona żadnych pozytywnych zdobyczy — chyba, że uczyniła króla jeszcze bardziej uległym woli jenerała. Uspokoiwszy się nieco, wyrzucał nawet sobie zbytnią szorstkość względem Stanisława Augusta,

boć przecie miał ciągle dowody pokory jego i posłuszeństwa, choćby w tym manifeście, czy proklamacji, którą do narodu wydał, wkrótce po odpowiedzi na notę.

Sytuacja stawała się coraz groźniejszą. Igelström musiał ściągać wojska, ażeby Kościuszcze zagrozić drogę do Warszawy, przeciąć komunikację z nią i porozumienie. Z Petersburga, na pierwszą wiadomość o krokach Kościuszki w Krakowie, wyszedł rozkaz, działać własnymi siłami i o pomoc do Prusaków nie zgłaszać się. Carowa wiedziała o tem, że za pomoc będzie musiała płacić królowi pruskiemu ustępstwami w przyszłości na korzyść jego, chociażby tylko polską ziemią; a ona pragnęła wszystko zagarnąć dla siebie. Tymczasem przegrana pod Racławicami przekonała ją, że własne siły były za szczupłe, ażeby tamę buntowi położyć.

Warszawa lada chwila mogłaby się także do buntu porwać — a wtedy? Cała karjera wojskowa generała, na którą tyle lat wytrwale pracował, pękała jak bańka mydlana.

Wezwać tedy na naradę postanowił tych samych, którzy popierali jego projekt redukcji wojska.

Gdy się tak jego Ekscellencja bił z myślami, w jaki sposób stłumić ruch rozpoczęty i niedopuszczyć, jak można najdłużej, do Warszawy wieści o bitwie Racławickiej, wiadomość o niej wio-

zła już Zosia, wysłana osobiście przez Kościuszkę.

Wiemy, że się z Kapostasem w drodze rozminęła, a miała właśnie do niego i do innych polecenie. Ona jedna tylko, biorąc pośrednio udział w wypadkach, jakie zaszły, stojąc najbliżej z jednej strony Moskwy, z której pazurów szczęśliwy wypadek ją wybawił, z drugiej Kościuszki mogła udzielić najlepszych informacji.

Depesz i papierów nie wiozła żadnych, ażeby w razie niebezpieczeństwa nie narazić ani siebie, ani innych. Naczelnik domyślał się, że na wieść o pobiciu Denisowa, Igelström otoczy Warszawę kordonem szpiegów i patroli, ażeby wszelką komunikację przerwać; stąd też wiedząc o niebezpieczeństwie, grożącym Zosi, dał jej tylko ustne polecenie.

Tak więc szczęśliwie dojechała do Puław, zdoławszy parę razy wymknąć się lustrującym okolicę oddziałom moskiewskim. W Puławach najęła furmankę wprost do Warszawy, a przed rogatkami marymonckimi stanęła.

Obok strażników celnych spostrzegła czapki moskiewskich żołdaków. Igelström kazał patrolom dzień i noc czuwać w tym jakoby celu, ażeby żołnierze moskiewscy nieprzedostawali się za rogatki samowolnie, gdyż ciągle szły do niego skargi od mieszkańców okolicznych, że im kury, gęsi i prosięta niemiłosiernie kradną. Pod tym

więc pretekstem od chwili ruszenia się Madalińskiego kursowały poza obrębem miasta zdwojone patrole, zatrzymujące każdego podróżnego do rewizji.

W ten sposób zatrzymano Zosię.

— Skąd Waćpanna jedziesz? — zapytał podoficer od patrolu.

— Z Częstochowy.

— Do kogo?

— Do matki...

— Pocóżes Waćpanna do Częstochowy jeździła?

— Jak to — po co? Przecież tam jest cudowny obraz Matki Boskiej... zrobiłam ślub..

— A ty skąd? — zwrócił się podoficer do woźnicy.

— Skąd? Juźci z Puław. Pod Końską wola w chałupie siedzę.

— Więc i ty byłeś w Częstochowie?

— Nie.

— A gdziez cię panienska najęła?

— W Puławach.

Podoficerowi wydało się, że coś w tych zeznaniach tkwi niejasnego, albo może ukrywanego umyślnie. Nie chciał jednak dłużej zatrzymywać podróżnych na ulicy, ażeby uwagi ludzkiej nie zwracać i tłumu ciekawych, zwykle chętnie zbiegających się przy lada sposobności, nie skupiać.

Nie mówiąc tedy nic o swoich podejrzeniach, zwrócił się do Zosi grzecznie:

— Waćpanna będziesz musiała pojechać na ratusz...

— Ja nie mam wcale interesu i potrzeby na ratusz — odezwała się rezolutnie.

— To chwilkę tylko potrwa... i Waćpanna zostaniesz natychmiast puszczoną. Zachodzi potrzeba wybadania woźnicy — nic więcej.

Widząc, że się ludzi coraz więcej zgromadza, podoficer bardzo zręcznie odwrócił uwagę od Zosi do woźnicy, chociaż od razu zmiarkował, że woźnica Bogu ducha winien, Zosia natomiast wydawała mu się podejrzaną. Zresztą, nie o ratuszu myślał, mówił tylko o tem ze względu na Zosię i skupiających się ludzi.

Część patrolu zostawił, a z drugą częścią otoczyć kazał wózek, na którym siedziała Zosia.

Zosia spostrzegła od razu, że nie o ratusz i nie o woźnicę tu chodzi. Wiedziała, że Igelström miał dużo różnych kryjówek, gdzie chował wszystkich podejrzanym, domyślała się więc łatwo, że ją także pięknie schować każe. Jechała tedy w otoczeniu Moskali, a obok niej biegli paupry, szły niewiasty i zaglądały do wózka, pytając:

— A skąd Waćpanna?

— Z Częstochowy wracam... z Warszawy jestem...

Żołnierze poczęli odpychać ludzi i zabraniać rozmowy, ale nic to nie pomagało. Tłum coraz się zwiększał. Wypytywano ją gdzie mieszka, czy ma rodziców.

Zosia, jak wiemy, nie wiozła ze sobą żadnych papierów urzędowych, była więc pewną, że nic przy niej nie znajdą; ale wiozła wiadomość ważną i pocieszającą o zwycięstwie pod Raclawicami. Wiedziała o tem, że jeżeli ją Igelström zatrzymać każe — wiadomość ta nieprędko może do Warszawy dojdzie, a trzeba, ażeby jak najrychlej doszła i stolicy dodała ducha, siły moralnej, do obrony od wspólnego wroga zachęciła.

Czyby tej nowiny nie rzucić tłumowi? — przyszło jej na myśl.

Niech ją pochwyć, niech rozniesie wszędzie...

Cóż jej się złego stać może? Nic ze sobą nie wiozła, dowodów nie ma żadnych, że z obozu Kościuszki jedzie i wiezie jego rozkazy. Wszak to rozkazy ustne, a ona z pewnością słówka nie powie. Spytać ją mogą, skąd wie o bitwie Raclawickiej? Ha, skąd! Echa pomiędzy ludźmi wieść rozniosły... Słyszała — nie wie, od kogo... Wszyscy o tem mówią...

Tak, jadąc, rozumowała, a wobec niepewności swego losu, zdecydowała się wiadomość tę w tłum rzucić. Dojdzie ona przecie do tych,

do kogo dojść miała, a oni domyślą się łatwo, co się z postem stało i od kogo on jechał...

Tak więc w otoczeniu konnego orszaku Moskali, posuwała się powoli do środka miasta, przerzucając się z tym lub owym jakim frazesem.

— A wiecie wy, co w Częstochowie słyszą?

— Cóż przecie?

— Mówią, że Kościuszko zbił Moskwę pod Raławicami...

— Hej, zbił? O, la Boga!

Tłum nacisnął na patrol, pragnąc się zbliżyć do Zosi.

— Czy to prawda?

— Święta prawda! Powiadają, że ruszył już na Warszawę... idzie..

Sytuacja stawała się groźną.

Słowa: zwycięstwo! zwycięstwo! Kościuszko zbił Moskali pod Raławicami! z ust do ust powtarzali sobie wszyscy. Tłum się zwiększał i zachodziła obawa, że na patrol naciśnie i Zosię wyzwoli.

Podoficer kazał wydobyć pałasze i końmi tłum odpierać. Tymczasem zmierzch już zapadł zupełnie, a na szczęście podoficera trafił się nowy patrol i w ten sposób siły się zdwoiły.

Gdy się już do ratusza zbliżali, podoficer zakomenderował:

— Do głównej kwatery!

Minęli ratusz i cały orszak, skręciwszy w boczną uliczkę, wjechał na plac Krasińskich. Prowadzono tedy Zosię do pałacu Igelströma, w licznej asystencji dzieci, kobiet, rzemieślników, robotników, wracających z roboty, i ciekawych przechodniów, którzy, otoczywszy ze wszech stron orszak, konwojujący Zosię, krzyczeli na cały głos :

— Zwycięstwo! Zwycięstwo! Moskale pobici! Niech żyje Kościuszko!

Śród takich okrzyków, wózek wiozący Zosię, na dziedziniec pałacu Igelströmowskiego wjechał.

Podoficer osobiście zdał sprawę z tego, co zaszło, Igelströmowi.

Tłum ludu, zebrany przed pałacem pełnomocnego posła, długo w noc wykrzykiwał i dopiero trzeba było zawołać dwa szwadrony pułku Mirowskich, ażeby spokój przywrócić. Przywrócono go w ten sposób, że lud rozbiegł się po wszystkich ulicach Warszawy, wołając :

— Zwycięstwo! Zwycięstwo!

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszko!

Po całym mieście tworzyć się poczęły zbiegowiska, a powietrze napełniło się echem oburzenia i gniewu.

Echa te wdzierały się do salonów Igelströma i we wściekłość go wprawiały.

Wysłuchawszy tedy raportu podoficera, rzekł z zaciętym gniewem :

— Pod ziemię ją schować! Jutro wszystko mi powie Laszka przeklęta!

Żołnierze piesi otoczyli Zosię, a podoficer zakomenderował krótko:

— Za mną!

Zosia, idąc za nimi, myślała sobie:

— Przecież zrobiłam dobrze, że o Racławicach powiedziałam... Niech wiedzą.

VII.

Igelström, niezadowolony z powolnego działania sądu, wysadzonego dla potępienia Madalińskiego i Kościuszki, z odezw króla do narodu, które nie odnosiły żadnego skutku, powrócił do planu, dawniej nieco uknutego, postanowił działać na własną rękę i hydrze powstania odrazu łeb uciąć. Wszelkie paktowanie, temporyzowanie, obchodzenie, nietylko nie wydawało mu się nie prowadzącem do celu, lecz szkodliwem nawet — bo czas uciekał. Ze swego punktu widzenia miał on rację, lecz wykonanie każdego planu wymaga obliczenia się z warunkami miejscowemi, a generał liczyć się nie umiał. Przyzwyczajony do bierności szlachty, a raczej panów, sądził, że taką biernością odznacza się cały naród, — więc zatem będzie mógł robić, co mu się podoba, nie napotykaając żadnego oporu.

Zuchwały i pewny siebie żołdak, Igelström niezadowolony był z całej akcji rządu. Proklamację króla, wydaną w celu uspokojenia narodu, przepelnioną słowami miłości ojczyzny, uważał za blagę, boć przecie sam wiedział najlepiej, że król o miłości ojczyzny mówiąc, podpisywał akty o jej éwiartowaniu i dobrze wiedział — po niewczasie — że całego ruchu przeciwko Moskwie nie można uważać jako skierowanego do zamącenia słabych głów ludzi niezadowolonych. W proklamacji przeto upatrywał nawet nieszczeróść, bo wszędzie tam była mowa o krakowskiem powstaniu, o zerwaniu spokoju publicznego, o całości państwa, o ofiarach gwałtu, — lecz nigdzie nie wspomniano z oburzeniem i pogardą nawet imienia Kościuszki — sprawcy tych mniemanych zbrodni. Tak, bo imię to było taką czią powszechną otoczone, że z całego rozbicia państwa i narodu ledwo nie jedno wyszło czystem i nieskalanem. Najwięksi nieprzyjaciele narodu, sładzy płątni przez Moskwę, oni nawet, tylko tajemnie błotem na niego ciskali.

Wobec tego wszystkiego Igelström miał zamiar jednym uderzeniem wszystko skończyć.

Potrzebował tylko w tym celu porozumieć się z najbliższymi swymi doradcami. Ciekawy był wiedzieć, co oni myślą, czy się na plan zgodzą?

Dwóch tylko na naradę do pałacu posła przybyło — hetman Ożarowski i ks. biskup Kossakowski.

Oburzyło to Igelströma do najwyższego stopnia, że ci, którym on żołąd wyplacał, jak urzędnikom, od zaprosin jego wymówili się lekko. Upatrywał w tem lekceważenie siebie — przedewszystkiem. I tego było dosyć, ażeby im niezadowolnienie swoje dać poznać. Odkładał to jednak do pory stosowniejszej, teraz niezadowolnienie to, o ile mógł, zakrył,

Przybyłych wysokich dostojników Rzptej przywitał generał z miną poważną, skupioną.

— Widzę — rzekł — że wszelkie usiłowania Najjaśniejszej Imperatorowej Wszech-Rossji w celu przywrócenia spokoju Rzptej, nietylko nie odnoszą należytego skutku, lecz przeciwnie, przez ludzi złej woli i warchołów są opacznie tłumaczone z ujma dla honoru Rossji.

Rzucił okiem na obu, jakby umyślnie pragnął przekonać się, jakie słowa te wrażenie zrobiły; hetman i biskup siedzieli spokojnie, w zamyśleniu.

— To najgorzej — odezwał się hetman — że wojsko stanęło po stronie buntowników.

Było to powiedziane w tonie obojętnym — dla tego tylko, ażeby przecie uwagę jakąś zrobić.

— Wasza Ekscelencja — zauważył Igelström, do Ożarowskiego zwróciwszy się — masz jeszcze do dyspozycji wojska w Warszawie i okolicy rozlokowane. Zresztą, na pomoc Najjaśniejszej Imperatorowej można liczyć z całą pewnością. Chodziłoby przedewszystkiem o to, ażeby stolicę od zamieszek i buntów, a cały naród od hańby uchronić..

Ksiądz biskup Kossakowski bezdźwięcznym głosem rzekł:

— Tak.. od hańby...

— Nie jest bynajmniej tajemnicą wszystko to, co się dzieje we Francji i w Paryżu, jak się zachowuje pospólstwo względem króla i jego ministrów, ale i to także nie jest tajemnicą, że IMci pan Kościuszko i podobni jemu warchoły dążą do wywołania gwałtownej rewolucji w Warszawie... A wtenczas życie króla, stanowisko Waszmość panów, honor narodu — wszystko to w proch runie i błoto...

— Co ~~do~~ mnie — odezwał się, podniósłszy nieco schyloną głowę Ożarowski, — jak długo będę mógł zachować władzę nad wojskiem, wiernem jeszcze królowi i Rzeczypospolitej, tak długo będę się starał zapobiedz hańbie. Wasza Ekscelencja i Najjaśniejsza Imperatorowa Wszech Rosji może liczyć na moją pomoc

Jakkolwiek nie mówił, w jaki sposób pomoc okazać zamierza, słowa hetmana bardzo

przyjemne wrażenie sprawiły na jenerale, tem bardziej, że brzmiała w nich jakaś nuta stanowczości, której Polacy w stosunku z nim nie okazywali nigdy prawie. Czuł się przeto w obowiązku komplementem na te słowa odpowiedzieć.

— Najjaśniejsza Imperatorowa potrafi ocenić przyjaźń i życzliwość — wtrącił.

Ożarowski zamiast odpowiedzi głowę pochylił, zdawało się, jeszcze niżej niż zwykle i milczał.

Wyreńczył go ksiądz biskup.

— Wasza Ekscelencja powiadasz, że stolicę uchronić należy od hańby buntu, słusznie bardzo, na to się godzimy i tego zdania jest Najjaśniejszy Pan nasz, najmiłościwiej panujący Stanisław August, tego zdania jest cała Rada nieustająca, lecz w tym wypadku nie wystarcza posiadać takie lub owe zdanie, trzeba działać...

Igelström niespokojnie poruszył się na krześle, widocznie, że myśl ta w samo sedno jego myśli trafiła. Zmilczał jednak, pragnąc pozwolić wygadać się księdzu biskupowi Kossakowskiemu.

— Trzeba działać — powtórzył biskup z naciskiem.—Chciałbym przeto wiedzieć, jaki w tym względzie plan posiada Jaśnie Wielmożny pan poseł?

Igelström nie chciał swego planu wypowiedzieć jasno i otwarcie, on pragnął, ażeby

ostatnie słowo tego planu, tej myśli wypłynęło niejako z treści rozmowy, żeby nie pochodziło od niego. Udał przeto, że stanowczej myśli w tym przedmiocie nie ma żadnej.

— Najjaśniejsza Imperatorowa — zaczął uroczyście — pragnie tylko spokoju i szczęśliwości dla Rzeczypospolitej; ja jestem wykonawcą jej najwyższej woli, a panowie, stojący u steru rządu, wiedzą najlepiej, jakie drogi do spokoju i szczęścia naród prowadzić mogą. Dodać tylko ze swej strony muszę, że spokój państwa, zabezpieczenie mu prawidłowego rozwoju i niewzruszonej wolności nie zdobywa się bez ofiar i poświęceń.

— Nad pomyślnością Rzptej musimy wszyscy radzić! Wasza Ekscelencja jesteś nam do pomocy niejako z ramienia Namitościwszej dla nas Carowej.

— Ja widzę tylko jeden kierunek — rzekł, — w którym działać należy.

Zatrzymał się umyślnie chwilkę.

— Jaki? — zapytał ksiądz biskup.

— Jeżeli mamy uchronić stolicę od buntów, naród od hańby — poseł ciągle grał na tej strunie, — sama przez się nasuwa się myśl, że potrzeba żywioły niespokojne albo usunąć, albo je ubezwładnić bodaj chwilowo, ażeby potem zapanować nad niemi.

Powiedziawszy to, powiódł uważnie po słuchających oczyma. Igelström nie powiedział wyraźnie, lecz zrobił aluzję do tego, że w ręku polskim znajduje się arsenał, składy prochów, magazyny.

Ożarowski domyślał się, o co chodzi

— Zapewne, byłoby rzeczą bardzo pożądaną dla spokoju i dobra publicznego — rzekł — ażeby wojsko polskie, konsystujące w Warszawie stanęło po stronie nie rewolucjonistów, lecz ludzi trzeźwych, wierzących w to, że tylko siła Najjaśniejszej Carowej wybawić nas z nieszczęścia może, — ale jak długo w ich ręku jest broń, arsenał i magazyny, tak długo na współdziałanie wojska liczyć nie można.

Igelström rzekł z akcentem pochlebstwa.

— Jak długo Wasza Ekscelencja stoisz na czele wojska, tak długo tej garstki, która jest w Warszawie, możemy się nie obawiać... Środki do uczynienia wojska nieszkodliwem znaleźć łatwo, ale ludność, czern, proletarjat — to są czynniki niepokoju.

— Istotnie, lud bardzo wzburzony... — zauważył ks. biskup Kossakowski.

Igelströmowi nagle błysły oczy, jak u tygrysa.

— Mógłbym, osłoniwszy tajemnicą króla i tych, którzy na łaskę tak wspaniałomyślnej,

jak nasza, Monarchini zasługują, zbombardować miasto...

Powiedziawszy to, zamilkł, jakby chciał wiedzieć, co inni myślą.

— To ostateczność... — odezwał się hełman.

— Niezupełnie uzasadniona — dodał ks. biskup.

— To też bynajmniej nie myślę uciekać się do tak gwałtownego środka — dokończył generał.

Po chwilce Ożarowski głowę schyloną podniósł i rzekł:

— Co do wojska, łatwo możnaby je chwilowo ubezwładnić; możnaby wydać rozkaz nieopuszczania koszar...

Igelström oddech zatrzymał z radości. Ta myśl dawała mu klucz do rozwiązania całego planu.

— Gdyby można — rzekł — tak samo ubezwładnić chwilowo ludność, moglibyśmy opanować arsenał, magazyny... a wtenczas wolność i spokój, honor narodu i całość miasta uratowane!

Tak więc najważniejszy punkt z planu generała, z którym się poseł bynajmniej nie zdradzał, został niejako wskazany i chodziło tylko o omówienie szczegółów, gdy lokaj zaanonsował przybycie Zabięłły.

Wobec bardzo dobrego humoru Igelströma, Zabięło łatwo wyeksकुzował się ze swego opóźnienia.

Pan Baron opowiedział mu treść narad, różne w tym względzie głosy i poglądy, które Zabięło zupełnie podzielał.

— Tak jest. Utrzymanie spokoju jest dla nas w obecnej chwili — odezwał się Zabięło — największem życzeniem, najważniejszym zadaniem narodowem. Bez spokoju naród nie może skupić się do pracy, nie może rozwinąć zdolności...

Bardzo się Igelströmowi ten akcent podobał.

— Święte słowa, święte słowa.. — mówił z zapalem — przyszłe pokolenia powinny je sobie jako dewizę wypisać. Taki spokój Rzpta tylko przy pomocy Rosji zdobyć może.

Posel Najjaśniejszej Imperatorowej Wszech Rosji nie dodał tylko, że spokój z wolnością jest szczęściem narodu, a spokój w niewoli — jest jego śmiercią.

— Dla ratowania Ojczyzny — odezwał się Łazarowski — trzeba nieraz gwałtowniejszych środków się imać.

Wszyscy się na to godzili. Igelström ożywał się coraz bardziej

— Jeżeli żołnierz będzie zamknięty w koszarach, wtenczas cekhausy, arsenał i prochownie można będzie opanować bez gwałtu.

— Oby tylko ludność nie wzięła w tem udziału? — zauważył Zabiello.

Uwaga ta zastanowiła wszystkich.

— A czyby nie można przynajmniej w najludniejszej części ubezwładnić tak samo lud, jak wojsko? — zapytał poseł.

Zapanowała cisza. Wszyscy namyślali się.

— Chyba w Wielką sobotę... — wtrącił ks. biskup.

Igelström w lot tę myśl pochwycił.

— W takim razie i zamknięcie wojska w koszarach można do tego czasu zastosować.

Igelström czuł się w obowiązku zmiękczyć nieco ogólne wrażenie, jakie mogłoby wywołać omówienie tego projektu, więc dodał:

— Naturalnie, należałoby pilnować, ażeby zasada sprawiedliwości i wolności, której zawsze Najjaśniejsza Cesarzowa Wszech-Rosji w stosunkach swoich politycznych stale przestrzega, poszanowaną była w zupełności.

— Tak, tak... — powtórzyli inni.

Igelström dla uspokojenia polskiego sumienia, ciągnął dalej:

— Ja ręczę jeneralskiem słowo honoru, że się to stanie spokojnie, bez gwałtu, z myślą ratowania narodu i Rzptej, która przecie nigdy nie była skalaną krwią królów swoich.

Czuł się w obowiązku tym patetycznym zwrotem zasłonić swoje „słowo jeneralskie“.

Ciszą powitane były te solenne zapewnienia, ciszą odzywającego się sumienia w duszach polskich dostojników. Igelström usypiał te sumienia obietnicami łaski i złotem długo, przed nim usypiali inni — aż wreszcie uczynili je niezdolnymi do żadnego protestu, a dygnitarzy państwa przorobili na — posłusznych niewolników. Poseł Carowej był bez ich pomocy bezsilnym, a pomoc kupował. Wszystko składało się daleko lepiej nawet, niż on mógł przypuszczać. Trzeba więc było kuć żelazo, póki gorące.

Igelström miał jednak tyle ostrożności, że całego planu działania nie ujawniał — boby się może przed nim byli cofnęli nawet Ożarowscy, Zabieliowie i Kossakowscy.

Przygotowywał on niespodziankę, która go mogła postawić na drodze kariery wojskowej bardzo wysoko, tak wysoko, że bał się o tem marzyć nawet. Wszystko zależało od powodzenia. Już nie było tajemnicą żadną, co on robi. Wszyscy wiedzieli, że Kościuszko, pobiwszy Moskwę pod Raclawicami, usiłuje postawić pod broń cały naród, a tymczasem czeka na połączenie się z kilku generałami polskimi, ażeby na Warszawę ruszyć. Otóż Igelström postanowił zamknąć przed nim Warszawę, zdobyć ją bez wysiłku i stworzyć w niej mocne stanowisko dla sił roskiewskich, operujących na ziemiach Rzptej.

Zamknięcie chwilowe wojska polskiego w ko-szarach w samą Wielką Sobotę miało na celu powstrzymanie żołnierzy od burd i awantur, w rzeczy samej dawało możność Igelströmowi opanowania wszystkich wojskowych posterunków, a potem rozbrojenia wojska. Do tego miał przyjść z pomocą ks. biskup Kossakowski poleceniem zamknięcia w kościołach modlącej się ludności. Część wojska moskiewskiego miała się tedy za-jąć rozbrojeniem garnizonu polskiego, a druga część — wymordowaniem ludu, zgromadzonego w kościołach. O tem jednak Jaśnie Wielmożny poseł nie powiedział biskupowi, pewnym będąc, że zgody nie uzyska. Ażeby ludność przedmie-ścia utrzymać na miejscu, a w ten sposób unie-możebnić niesienie pomocy innym, Igelström miał na myśli wydanie polecenia kozakom za-palić przedmieścia. Przy łunach pożarnych, przy modlitwach biednego i wierzącego ludu, miał Igelström rozpocząć swoją orgję nocną...

Pragnął tylko mieć Warszawę w swoim ręku, — a wtenczas króla kazałby odwieźć do Petersburga i z Kościuszką łatwo się rozprawić, mając punkt oparcia, tembardziej, że posiłków się spodziewał.

Gdy goście z tej narady wyszli, ks. biskup Kossakowski nie wsiadł do swojej karety, lecz do karety hetmana Ożarowskidgo — i razem do pałacu hetmana udał się.

Chwilkę obaj jechali w milczeniu.

— Czy się Waszmości panu nie zdaje — odezwał się ksiądz biskup — że Igelström za daleko idzie?

— Spokój trzeba przywrócić, inaczej jutro nasze niepewne...

— Tak Waszmość pan myślisz? Jest się nad czem zastanowić... — rzekł Kossakowski. Żołnierz zamknięty — wszystko jedno co bez broni...

— Co chcesz przez to księżo biskupie powiedzieć?

— Igelström może opanować Warszawę...

Tu powóz zatrzymał się przed pałacem Ożarowskiego.

VIII.

Wiadomość o bitwie racławickiej przyszła równocześnie do Warszawy dwiema drogami: przez kurjera Denisowa i przez Zosię.

Igelströmowi zdawało się, że zdoła ją jak najdłużej w tajemnicy utrzymać, ażeby się trochę wzmocnić i wyczekać nadejścia posiłków. Tymczasem niespodziane zjawienie się Zosi popsuło mu szyki zupełnie. Warszawa cała dowiedziała się o zwycięstwie i zakotłowała się jak woda wrząca, tem bardziej, że Zosię aresztowano. Wieść zarówno o aresztowaniu, jak i zwycięstwie, obiegła już wszystkie kąty Warszawy i wywołała oburzenie powszechne. Zapytywali jedni drugich, co to za dziewczyna była, która do pałacu generała zaprowadzona, znikła tam bez śladu? Nikt jednak odpowiedzieć nie umiał.

Echo słów, rzuconych przez Zosię kilkunastu otaczającym ją ludziom, doleciało także do Kilińskiego tegoż samego wieczora jeszcze. Chło-

piec z warstata nosił dla kogoś buty na rynek, spotkał ten orszak i z ciekawości towarzyszył mu aż do pałacu. Powróciwszy, opowiedział dokładnie wszystko, co słyszał, a nawet dość dokładnie opisał Zosię.

Majster, zaciekawiony wiadomością, domyślał się od razu, kto ją przywiózł. Nie mówiąc tedy ani słówka nikomu, wprost z warstata na Hożą poszedł do Imé pani Chorążyny, matki Zosi.

Staruszka sama była, jak palec. Siedziała przy łójówce z okularami na czole i skubała szarpie, których cała kupa przed nią na stole leżała. Gdy drzwi skrzypnęły, ściągnęła okulary na nos i przed siebie spojrzała. Na twarzy jej rozlało się uradowanie.

— Przecie przypomniałeś sobie Waszmość, panie Kiliński, o mnie — rzekła.

Majster, zbliżywszy się, staruszkę w rękę pocałował.

— Zawsze w robocie, w zajęciu, pani Chorążyno... — tłumaczył się.

— A przecie zajrzeć czasem można.

Nasunęła znowu okulary na czoło.

— No, siadajże Waś, siadaj — rzekła, spojrzenie rzucając na krzesło, jakby je w ten sposób wskazać chciała.

Majster usiadł.

— A cóż to, szarpie się skubią, szarpie...—

zauważył, na kupę szarpji leżącą na stole, okiem rzuciwszy. Będzie wojna? — Co?

— Bóg wie... mówią, że już się zaczęła nawet... do nas się zbliża... niech to będzie gotowe...

— A o panu Chorążym wiadomości nie ma? Gdzie się obraca?

— Owszem są... W Krakowie został przecie...

Spojrzała na niego trochę zdziwiona, gdyż o Chorążego pytał tak, jakby nie wiedział, co się z nim dzieje.

— Już musieli z Krakowa wyjść dawno... — zauważył.

— Tego nie wiem... Czekam na Zosię... lada dzień powinna przyjechać...

— Ale są wiadomości?

— Nie ma.

Zapytywał, aby tylko pytać, bo już prawie był pewny tego, gdzie się ona znajduje. Nie mówił jednak o tem matce, ażeby jej nie martwić.

— Da Bóg — rzekł — będzie wkrótce pan Chorąży w Warszawie.

Staruszka zdziwiona spojrzała na niego.

— A toż skąd takie domysły?

— Są bardzo pocieszające wiadomości...

Chorążyna wpatrzyła się pytająco w majstra:

— Biją nasi Moskali...

Stara złożyła ręce i westchnęła nabożnie.

— Ha, niech im Bóg pomaga!

— Szczegółów braknie, ale to pewna, że Kościuszko zbił Moskwę pod Racławicami i na Warszawę ciągnie...

— Niechże Bogu będą dzięki! Czy to tylko pewne wiadomości?

— Najpewniejsze! Jakkolwiek Igelström miasto łańcuchem swoich żołdaków otoczył, zdołał jednak ktoś, kto na wszystko patrzył, wiadomość tę do Warszawy przynieść.

— Widzisz Waś — i szarpie przydadzą się!

— Obyż jak najrychlej! Teraz byłaby pora i nam coś zacząć...

Chorażyna milczała.

— Szkoda tylko, że IMć pana Kapostasa nie ma! — rzekł Kiliński.

— Jako? Więc nie ma go w Warszawie? — Nic o tem nie wiedziałam!

— Nie ma, pani dobrodziejko, niema! Igelström tak się nasadził na niego, że byłby go niechybnie do kozy schował, musiał uciekać.

— Ale wróci przecie?

— Kto wie. Pojechał do Krakowa... jest nadzieja, że się z Kościuszką zetkną.

Kiliński wiedział, jak rzeczy stały. Kapostas wyjechał wprawdzie z Warszawy, ale wówczas niewiadomo było, jaki będzie początek całej roboty Naczelnika — teraz wszystko stało na jasno. Kościuszko cały rząd zorganizował i dążył do Warszawy, jako zwycięzca. Położenie

rzeczy zmieniło się zupełnie ku dobremu. Mógł przeto i Kapostas się zjawić z poleceniami Naczelnika.

Pewnym tego nie był, ale prawdopodobieństwo było wielkie.

Wyszedł Kiliński od IMci pani chorążyny niczego się nie dowiedziawszy, nabrawszy tylko tego przeświadczenia, że wiadomość o bitwie Raławickiej przywiozła do Warszawy Zosia i że została aresztowaną w pałacu posła. Myśl, że trzeba przyjść z pomocą Kościuszcze, nie dawała mu spokoju, ale sam oprócz dobrych chęci, nie rozporządzał niczem. Majster miał mir w mieście i przyjaciół, którzyby za nim w wodę i ogień skoczyli, lecz tego było za mało, ażeby się na Moskali porwać; trzeba było głowy, któraby kierowała wszystkim i któraby dobrym chęciom majstra miejsce właściwe wyznaczyła. Taką tajemną sprężyną, poruszającą wszystko, stał się Kapostas; on był tym węzłem, który łączył wojsko i szlachtę z mieszczaństwem, w jedną całość, ożywioną wspólnymi myślami. Tej sprężyny brakło.

Wracał tedy majster markotno usposobiony do domu, gdy na Krakowskiem przedmieściu, posłyszał w ciemności przywitanie:

— Zdrawstwuj pan Kiliński!

Był to jakiś wojskowy w mundurze moskiewskim. Majster, wpatrzywszy się w niego —

poznał dawnego i dobrego znajomego swego Ilina.

— To ty, kapitanie? Jak się macie! Jak się macie!

Ściskali sobie ręce wzajemnie, jak dwaj przyjaciele.

Kapitan mówił trwożliwie i oglądał się, czy go kto nie podsłuchuje.

— Dawno już jesteście w Warszawie?

— Mało nie tydzień...

— Ani zagładnęliście do mnie! — rzekł z wymówką majster.

Ilin z rezygnacją ręką skinął.

— Et! — rzekł po namyśle — nam Moskałom z wami Polakami w zgodzie nie żyć!

— Dla czego?

Ilin nie odpowiedział na pytanie, lecz z innej beczki zaczął.

— Wiecie, czasem serce ciągnie w jedną stronę, a stryżek w drugą.

Majster zrozumiał, o co chodzi.

— Wy wiecie panie Kiliński, że ja was szanuję i kocham... ale chodzić mi do was ni-jako... muszę ciągle kłamać — wolę nie chodzić!

— No, ale kiedy dobrzy przyjaciele na ulicy się spotkają — nie uciekają przecie od siebie — prawda? kiedyśmy się już tu odnaleźli, chodźmyż do naszego starego znajomego — Fukiera.

— Nie mogę, panie majster, jej Bohu nie mogę!

— Cóż znowu!

— Jak doniosą jenerałowi, że z wami jem i piję — razzałujet sobaka! jej Bogu razzałujet! Co ja wtenczas będę robić?

— Kiedy tak, to chodź-że do mnie do domu!

— Do domu pójdę!

Westchnął głęboko.

— Ot, panie majster, wasz kraj piękny, ale to nie mój... Mój brzydki, ale ja go kocham, tęsknię do niego... tymczasem — służba! Cóż robić! Podła to rzecz służba! Trzeba i serce zamknąć i uczciwość skrzywić!

U Kilińskiego w piwnicy znalazło się kilka butelek węgryzna i starej przepalanki, a pani majstrowa uchodziła za rządną gospodynię — nie brakło więc czem przyjąć gościa, który, chociaż Moskal, był człowiekiem prawym i Polaków kochał.

Kiedy już sobie dobrze podjedli i podpili, Kiliński z akcentem szczeroci do kapitana się zwrócił.

— Cóż tam w Petersburgu słyhać?

— A cóż? — Hula Caryca!

— Przecież to już stara baba!

— Ale młodych lubi! — Im starsza tem częściej młodszych wybiera — teraz to tylko same gołowasy snują się przy dworze.

— A w tym roku z kim będzie wojować?

— Djabli ją tam wiedzą! — zwołał niechętnie Ilin. — Mówią, że na Polszczykę rychtuje nową armję.

— Na nas?

— Na was. -- Ona waszego króla dojedzie niedługo! Bo też to dziama, ani z pierza, ani z mięsa. Wamby takiego króla trzeba jak Kościuszeko.

— O, zdałby się!

Ilin nachylił się do Kilińskiego i szeptem, chociaż oprócz nich nikogo w izbie nie było, rzekł:

— Zalał on sadła naszemu jenerałowi, zalał! Kto wie, co będzie. Lata ci teraz jak wściekły wilk, taki zły, że przystępu do niego nie ma. Będzie źle!

— Dlaczego?

— Wasi idą pod Warszawę, a naszych tu garstka!

— A Prusacy?

— Prusacy siedzą na łapach i jak psy na mięso patrzą. Jak my ustąpimy, to oni wezmą... A Igelström ich nie puści, o nie! Ale i wam może być nie z miódem od tego!

— Coż nam gorszego zrobią?

Ilin wpatrzył się w twarz majstra. Parę razy wargi mu się poruszyły, jakby chciał coś

mówić, lecz zapanował nad sobą. Pochylił głowę, zamyślił się... potem podniósł nagle:

— Ot, wiesz co — rzekł — ty masz żonę i dzieci, wywieź ich z Warszawy... wywieź... radzę ci... ja jestem żołnierz... wiesz, na wojnie różnie bywa — ale... ja jestem także człowiek uczciwy... ty mię zrozumiesz?... Nie mogę ci mówić wszystkiego... Ale spiesz się!

Kiliński przypomniał sobie te pogłoski, które w zimie jeszcze obiegały Warszawę, że Moskale zamierzają wyrznąć całą ludność miasta, co się da rozpędzić i w ten sposób zapewnić sobie spokojne posiadanie. Już wówczas plan ten wydawał mu się głupim, boć przecie Moskale nie w stanie będą wyrznąć Polaków w całej Polsce, ale teraz postać rzeczy znacznej uległa zmianie. Polacy zwyciężają Moskwę, wśród zwycięstwa do Warszawy się zbliżają, — do ogniska, głęboko nieprzychylnego Moskalom, w którym nie tylko część wojska skupiona, lecz gdzie kilkasettysięczna ludność także przeciwko Moskwie wystąpić może. Jednem słowem pozycja Moskali staje się zagrożoną, bardzo być przeto może, że z tej pozycji gwałtem i morderstwem wyjść zapragną. Rzecz była bardzo prawdopodobną, tembardziej, że po Igelströmie wszystkiego spodziewać się można było.

— Tem lepiej... — myślał Kiliński. — Trzeba ich uprzedzić.

Majster, słuchając kapitana, zdziwionem spoj-
rzeniem na niego patrzył:

— Czyż to być może? — pytał.

— Może... może... wszystko być może...

Kiliński udał zrezygnowanego.

— Ha, jeżeli taka wola Boża...

— Co ty w to wszystko Pana Boga mię-
szasz! — zawołał z oburzeniem Ilin, — to dja-
belska robota, a nie Boża!

— Bóg ci zapłać za twoją szczerłość — rzekł
majster.

Tymczasem późna była godzina.

— Czas mi do domu — powiada Ilin, —
wstając nagle.

Wstał i wąsy gładził w zamyśleniu.

— Wiesz co? Masz ty czas? Bardzo późno
jeszcze nie jest...

— Ano co?

— Chodź ze mną... coś ci pokażę... nie bar-
dzo daleko.

— Dobrze.

Kiliński porwał się do czapki — i w mo-
mencie byli już na ulicy.

Wyszli na Rynek, minęli Fukera i w boczną
uliczkę tuż za kamienicą Fukera weszli. Szli
prędko i milcząco.

— Już zamknięto... — zauważył niby sam
do siebie Ilin.

— Co?

Kapitan nie odpowiedział. Wtem Ilin kroku zwolnił i ująwszy za ramię majstra, rzekł:

— Teraz cicho bądź!

Stanęli przed kamienicą, a właściwie przed wielkiem, łukowatym u góry oknem, zamkniętem na okienicę. Przez szpary widać było światło i ludzi, siedzących w pochyleniu przy stołach. Był to warsztat krawiecki — coś szyto.

— Teraz nie zobaczysz — rzekł Ilin — ale zapamiętaj sobie kamienicę i miejsce... Jutro wolną godziną przyjdź i zobacz.

Kiliński podniósł głowę — na szyldzie były wyrysowane wielkie nożyce, a tuż obok napis: *krawiec wojskowy i cywilny Sruł...*

— Zapamiętałeś?

— Zapamiętałem...

— No, chodźmy, ażeby niczyjej uwagi nie zwrócić.

Ująwszy za rękaw, gwałtem go prawie po-ciągnął za sobą, a kiedy już byli na ulicy Długiej, odezwał się.

— Tam szyją mundury polskie... na gwałt... za dziesięć dni mają być gotowe...

Kiliński nie zrozumiał od razu, o co chodzi.

— Mundury polskie? I cóż z tego?

Ilin spojrział na niego z politowaniem.

— Durak ty, brat, durak, choć dobra dusza! Myślisz, że te mundury dla waszych żołnierzy — co?

Majstrowi rozjaśniło się w głowie.

— Więc to oni przebiorą się w te mundury! — pomyślał sobie.

— Rozumiesz? — zagadnął go Ilin.

— Rozumiem...

— Pamiętaj, że za dziesięć dni ma być już tysiąc takich mundurów złożono tajemnie w naszych magazynach... a jedenastego...

Tu zatrzymał się na ulicy i za klapę od kaptoty trzymając majstra, pytał:

— Obliczyłeś się?

Kiliński rachował.

— Za jedenaście dni będzie wielka sobota...

— Otóż to! Zapamiętaj że sobie... i jedź z żoną i dziećmi na Wielkanoc do krewnych... A jutro zajrzyj do krawca — i przekonaj się.

Majster ścisnął mu rękę serdecznie.

— Bóg ci zapłać...

Ilin gorączkowo pożegnał się z nim i poszedł do pałacu, gdzie stał mieszkanie.

— Święta prawda! — myślał sobie pan majster, wracając do domu, Igelstöm coś niedobrego zamysła... poczekaj-że, psie nasienie, będziesz ty sam ten krupnik chłęptał, co go nagotujesz!

Szedł i rozmyślał, że coś przecie zrobić trzeba, bo inaczej wyrzną nas, jak kury na rosół. Trzeba kogoś z wojskowych uprzedzić — to trudna rada! Nie wszyscy przecież zdrajcy

i nikezemniki; trzeba narobić hałasu — a potem, co Bóg da. Miał na myśli Kubickiego, do którego nazajutrz rano się wybierał.

Z tą myślą spać się położył. Niebardzo tam sen koło niego chodził, kiedy już wiedział, że Moskale na nich, jak na baranów, noże ostrzą i przewracają się z boku na bok aż do rana.

Rano siedział jeszcze nad swoim kubkiem mleka i zastanawiał się nad tem, gdzieby mógł IMci pana Kubickiego najprędzej przydybać, gdy ktoś do drzwi zapukał.

— Proszę wejść! — zawołał.

Na progu ukazała się postać Bernardyna.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

Bernardyn był nieznaomy.

— Czy z panem majstrem szewskim Kilińskim mam przyjemność mówić?

— Tak jest, ja nim jestem.

Majster skinął na żonę, ażeby wyszła.

Bernardyn za habit rękę włożył i kawałek papieru wydobył.

— Pisanie do Waszmości — rzekł i papier podał.

Majster czytał:

„Przyjdź zaraz do Bernardynów. Powiedzą ci, gdzie jestem“.

Zamiast podpisu było tylko cztery razy
S. S. S. S.

Kiliński ogromnie się uradował z tego pi-
sania.

— Więc jest w Warszawie?

— Jest.

— Kiedyż przyjechał?

— Wczoraj.

— Szczęście prawdziwe, że się wymknąć
zdołał!

Był to liścik od Kapostasa, podpisany umó-
wionemi literami, które miały swoje znaczenie.

Pan majster ledwie mleka dokończył, wnet
za czapką oglądać się począł.

— Wy, ojcze, idźcie sobie przodem, ja pójdę
osobno...

Leciał jak szalony, do kościoła Bernardynów
zadzwoił i o ojca gwardjana zapytał.

Wyszedł gwardjan. Znał on majstra dobrze.
Gdy go tylko ujrzał, nie rzekł ani słowa,
głową ino skinął i przodem poszedł. Zanim Ki-
liński.

Na końcu długiego korytarza zatrzymał się
przed jedną celką i zapukał. Nie czekając jednak
odpowiedzi, rzekł głośno.

— Puść-no nas Waszmość!

Widocznie ten, kto był za drzwiami, głos
ojca gwardjana poznał, bo się wnet odezwał.

— Idę... idę... zaraz...

Jakoż istotnie skrzypnął rygiel wewnętrzny i drzwi się otworzyły.

Ksiądz gwardjan nie wchodził nawet do środka celi, tylko z progu odezwał się:

— Rozmawiajciez sobie, mili goście, a tunic na pacierze pora.

Odwrócił się i wyszedł.

Kiliński w otwartych drzwiach celi ujrzał najprawdziwszego bernacha w bernardyńskiej sukni z kapiszonem, z ogórkami. Bernach trzymał w ręku tabakierkę, stukał w nią palcami i uśmiechał się całą gębą.

Był to Kapostas.

— No, chodź-że tu Waśc, kochanie moje, chodź... drzwi trzeba zamknąć...

Kiliński drzwi zatrzasnął. Kapostas ujął go pod ramię i do stołka drewnianego, pod oknem stojącego, przyprowadził.

— Siadaj, kochanie, siadaj... Widzisz, musiałem się przebrać przed tymi...

— A przecie cało się pan wymknął!

— Bogu dzięki, kochanie..

W tabakierę stuknął.

— Widziałeś się z Chorążanką? — zapytał.

— Nie.

— Wysłał ją Kościuszko z pod Racławic... Już wiesz, kochanie, wiesz?

Mówił gorączkowo, niespokojnie, urywanemi słowy.

— Wiem...

— Zbił Moskwę... zbił, kochanie! O, on potrafi, potrafi, potrafi...

Majster mu przerwał:

— Dowiedzieliśmy się o tem dziwnym przy-padkiem...

Kapostas żywo go za rękę pochwycił i w mowę mu wpadł:

— To ona kochanie, ona, ona... Wzięli ją, ha! cóż robić... ale przynajmniej wiadomość w porę przyszła... Uważasz, ja się z nim widziałem już po Racławicach... trzeba koniecznie przeciągnąć garnizon na swoją stronę — i zabrać się do Moskwy na dobre!

Opowiadał to nerwowo, prędko, w tabakierę postukując.

— Widzisz, kochanie, bez wojska nic nie zrobimy, ale i wojsko bez ludu, bez mieszczactwa nie da sobie rady.

— Szczególnie wobec nowych zamiarów Moskwy... — wtrącił majster.

— A to jakich?

Kiliński opowiedział wszystko, czego się dowiedział o tych zamiarach i o szyciu mundurów polskich, w które się Moskale przebrać mają. Pewnych wiadomości nie miał, lecz mógł ze

wszystkiego wnioskować, że Moskwa przygotowuje się do rzezi na sobotę, wielkanocną.

Kapostas wysłuchał uważnie, potem z całej siły palcem w tabakierę stuknął i przysunął pod nos prawie Kilińskiemu.

— Zażyj sobie kochanie, zażyj...

Kiliński zażył i kichać począł, a Kapostas powiada:

— Oni się przygotowują na sobotę, a my im w piątek łaźnię sprawimy... Otóż uważasz, kochanie, oficerowie z korpusu artylerji pójdą z nami, gwardja królewska także, regiment Działyńskiego także, a nawet pułkownik jednego oddziału ułanów królewskich również z nami iść przyrzekł... Trzeba tylko, kochanie, żebyś ty swoich wybadał — i razem do roboty, kochanie! A Kościuszko tuż, tuż za nami podąża...

— Dobrze... bardzo się szczęśliwie stało żeś Waszmość pan przybył... bardzo...

Kapostasowi twarz się śmiała z radości.

— No, to zażyj, kochanie, tabaczki...

Majster zażył i wykichał się należycie.

— Nie wiedząc o tem, że Waszmość już w Warszawie, miałem na własne ryzyko języka zasięgnąć i pójść na jedno tajemne zgromadzenie... z porucznikiem...

— Z Kubickim, kochanie?

— Tak jest...

— No, to nie traćcie czasu... pójdz dziś jeszcze... i zdasz mi sprawę, kochanie... a Moskale niech sobie szyją mundury — przydadzą się nam...

IX.

Porucznik Kubicki, wtajemniczony w całą robotę, wypróbowany przyjaciel rodziny Chorażego, był oficerem od artylerji, a należał do rzędu tych, którzy gorliwie popierali sprawę potrzeby bronienia się przed Moskwą. Służył on niejako pośrednikiem między tymi, którzy ruch zbrojny popierali, a tymi, którzy w tym ruchu udział wzięć mieli. Kiliński i Kapostas działali w sferach rzemieślniczych i mieszczańskich, a Kubicki — wojskowych.

Majster wprost od Kapostasa do porucznika poszedł. Siły z jednej i drugiej strony były, należało je tylko zjednoczyć i skupić do wspólnej akcji.

Ledwie go porucznik ujrzał, zawołał uradowany :

— A toś mi się w samą porę Mości panie Kiliński zjawił!

— Tem lepiej.

— No, siadaj-że Dobrodzieju...

Spojrzeni sobie w oczy — i porozumieli się. Jednakże mieli myśli.

— Teraz i my już zacząć możemy... — rzekł.

— Najlepszy czas. Moskwa, pobita przez Kościuszkę, rozpieczęta się na wszystkie strony, w Warszawie żołnierza mało i taki ma strach, że się aż hajdawery na nim trzęsą — bierzmyż się do roboty!

— Bierzmy się! — przerwał mu porucznik.

Kiliński ciągnął dalej.

— Najwyższy czas, Mości panie poruczniku, jeśli my nie zaczniemy — oni zaczną.

Tu opowiedział o przygotowaniach Moskali według półsłówki i relacji Ilina. Przygotowania nie ulegały wątpliwości żadnej — nikt tylko nie wiedział, że one były ostatecznym wynikiem narad z ministrami i dostojnikami Rzeczypospolitej.

Kubicki wysłuchał uważnie całej relacji.

— Poczekaj Mości panie Kiliński! — zawołał z pewnym akcentem zaciętości — zanim się oni zbiorą nas wyrznać, podsypimy im takiego pieprzu, że płaszcze swoje szare podnioszą, zmykać będą jak nieposzni!

Przerwał na chwilę mowę, jakby się namyślał, co ma dalej mówić.

— Uważasz, Mości panie Kiliński — rzekł, rękę mu poufale na ramieniu kładąc — dziś właśnie mamy schadzke tajemniczą... Przyjdzie kilku oficerów od artylerji, będzie ksiądz Mejer, będzie kilku obywateli miejskich, naradzimy się właśnie nad tem, co robić. Chcesz, przyjdź dziś w nocy.

— Dobrze.

Kubicki zamyslał się.

— Wiesz co — powiada — ja z tobą, Mości panie Kiliński, nie pójdę, bo mam różne przeszkody, ale przyjdź z ks. Mejerem, bo bez niego nie puściliby cię.

— Dobrze. Niech i tak będzie.

— A kiedy?

— Koło ósmej.

Tego jednak niedość było.

— Gdzież mam się udać? — dopytywał się majster.

— Znaż kamienicę pojezuicką za kościołem św. Jana?

— Znam.

— Otóż tam. Zapytasz o mieszkanie porucznika... — tu jakieś mu imię szepnął — a ks. Mejerowi ja powiem, żeby na ciebie wieczorem czekał.

Pożegnali się po tej rozmowie, życząc sobie szczęśliwego spotkania wieczorem. Trzeba było

wszystko robić spieszenie, bo czasu do stracenia nie było.

Wieczorem Kiliński do ks. Mejera zaszedł.

Ksiądz sam mu drzwi otworzył.

— Aha, dobrze — rzekł, obaczywszy go — dobrze. Obligowali mnie niektórzy już dawno, ażebym ciebie przyprowadził, bo wiedzą, żeś dobry syn ojczyzny... Zbierałem ci się powiedzieć o tem.

Kiliński podziękował za dobre o nim mniemanie, ale chcąc się coś więcej dowiedzieć, niż wiedział od Kubickiego, zapytał:

— A o czym-że tam radzić będą?

— O zaczęciu rewolucji, ażeby Moskali z Warszawy wygnać.

— Niechże im Bóg pomaga!

— Bo ty wiesz — rzekł ks. Mejer — że Kościuszkę Moskwę pobił, że do nas idzie... no, trzeba, rozumiesz, na jego przyjęcie śmiecie z chaty wymieść...

— Słyszałem.. słyszałem.. ludzie głośno o zwycięstwie mówią...

Zebrałi się wreszcie — i poszli.

Wszedłszy na ulicę św. Jana, skręcili na Kanonia, ażeby się po rynku nie kręcić i bocznemi drogami dojść do kolegjum jezuickiego.

W mieście już nie było prawie żadnego ruchu. Wszystko spało. Tylko na rogach ulic paliły się latarnie, wiszące na ogromnych żelaznych

łukach, blado oświetlając ulice i place. Noc była ciemna, głucha, tak, że kto był zmuszony chodzić w nocy, to się kierował zwykle tylko na te latarnie, jak okręt na morzu. Na Kanonji i latarni nawet brakło zupełnie. Cicho było, a ciszę nocną, posępną trochę, przerywały tylko zawzięte miauczenia kotów.

Zatrzymali się nareszcie przed jakimś olbrzymim gmachem.

— Tu, panie majster — wyszeptał ksiądz.

Kilińskiemu serce uderzyło mocno — nie z tchórzostwa, bo był człowiekiem odważnym, ale uderzyło, Bóg wie czego — może z przecucia.

Ksiądz Mejer młotek wiszący ujął i kołatać począł.

Wpuszczono ich wreszcie. Ksiądz zapalił stoczek woskowy, który z kieszeni wyjął i poszli na wschody. Długo kręcili się w różnych kierunkach, aż nareszcie zatrzymali się.

— Tu... — szepnął ksiądz Mejer i zapukał.

Kiliński uważnym spojrzeniem obrzucił całe zgromadzenie. Było tam ze dwadzieścia osób — większa część wojskowych, ale nie brakło i cywilnych; ze znajomych jednak nie było nikogo, oprócz Kubickiego. Rej zaś w zgromadzeniu wodził jakiś szlachetka chuderlawy, szczupły, szaro ubrany w dobrze podszarzałe suknie, który się kręcił od jednego do drugiego

i coś głośno szepleniąc, dowodził. Kręcił się, jak młody szczupak, nastawiając uważnie ucha na wszystkie strony. Wojskowi trzymali się osobnej kupki, a widać, że z resztą towarzystwa niebardzo się znali i łączyli.

Wejście księdza Mejera i Kilińskiego przerwało żywą bardzo dyskusję. Poczeli się witać jedni z drugimi.

Kubicki przedstawił zgromadzonym Kilińskiego. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, a ten szerepetka, co się jąkał i dowodził czegoś przed chwilą, parę razy zerknął na niego z ubocza a badawczo.

Po tej prezentacji zaraz się odezwał do IMci pana Kilińskiego jakiś wojskowy, już dobrze człowiek nie młody.

— Bardzo radzi jesteśmy, że Waszmość pan w naszych zamysłach udział bierzesz... Zna Waszmość pana cała Warszawa, jako prawnego obywatela...

Chciał majster na to coś odpowiedzieć, gdy ktoś fałszywym dyszkantem pisnął za nim:

— Bardzo radzi jesteśmy... bardzo... radzi... Sprawa narodowa, której i ja mam zaszczyt służyć, potrzebuje dzielnych ludzi... tak jest dzielnych, powiedziałem to i nie cofam...

Kiliński przerwał mu.

— Z kim-że mam zaszczyt?

— Jestem Juliński, obywatel ziemski z Lubelskiego — odrzekł bełkocząc, jakby mu się kluski w gębie obracały.

— A ja, szewc — Kiliński.

IMci pan Juliński uściskał mu rękę zamazyście.

— Takich szewców właśnie potrzebuje ojczyzna... Tam, gdzie się wielkie sprawy ważą, potrzebni są wielcy ludzie Mości panie... Ja służyłem już niejednokrotnie ojczyźnie... w konfederacji Barskiej Mocium panie... byłem... do jeneralności należałem... tak jest — należałem... Wszędzie, gdzie się za ojczyznę biją — i ja jestem ..

Bardzo niemiłe wrażenie sprawiła na Kilińskiego mowa IMci pana Julińskiego.

— To samochwalca — pomyślał sobie — tacy ludzie dobrze do gadania, a nie do roboty.

Gdy się nieco IMci pan Juliński wygadał, ów stary wojskowy znowu się do Kilińskiego zwrócił:

— Do spełnienia naszych zamysłów niewiele już potrzeba.

— A jakież to zamysły?

— Myślimy zacząć rewolucję.

IMci Kiliński nie odpowiedział, jakby chciał dać do zrozumienia, że to, co słyszał, nie wystarcza mu

— Chcemy wypędzić Moskali z kraju, a na-
przód z Warszawy.

— Nic nie mam przeciwko tym zamysłom,
Mości panowie. Jedną duszę mam i tę dla oj-
czyzny poświęcić gotów jestem.

W tem posłyszał za sobą piskliwy i bełko-
cący głos IMci pana Julińskiego.

— Bardzo pięknie, Mości panie Kiliński,
bardzo pięknie!

— Kiedy Waszmość przystajesz do nas —
ktoś odezwał się z tłumu — powiedz że nam
swoje zdanie co do rewolucji?

— Tak, tak, prosimy... — piszczał Ju-
liński.

Niemiałym fałszywym akcentem drażnił ucho
prawego i ucziwego szewca głos IMci pana
Julińskiego, lecz się z tem poznać nie dał.

— Skoro żądacie Waszmość panowie, aże-
bym otworzył przed wami myśli moje, bardzo
chętnie to uczynię, lecz radbym wiedzieć, wiele
osób znajduje się w tej konspiracji?

Zapanowało milczenie. Wreszcie ktoś ze
środką odezwał się.

— Dokładnie niepodobna obliczyć... bo to
przecie w tajemnicy ma być...

— Tak jest, tak, w tajemnicy — bełkotał
IMé pan Juliński — trzeba być ostrożnym.

— To jednak pewna, że ludzi dobrej woli
nie brak.

— Naturalnie.

Kubicki nie odzywał się. Zwróciło to jego uwagę, że kilku nieznanym, a między innymi IMci pan Juliński, rej tu wodzili.

Kiliński miarkował sobie wszystko, co słuchał.

— Może to i racja — myślał w duchu — że się ludzie głośno nie obliczają, bo z niedźwieziem sprawa nie łatwa.

— Wojsko będzie miało swoich dowódców — zauważył ktoś — a kogoż Waszmość panowie myślicie postawić na czele pospólstwa?...

— Chyba Zakrzewskiego, który mir u ludzi posiada — wtrącił Kubicki.

— Tak, tak... — odezwały się głosy.

— Z niego byłby tęgi dowódca!

— A cóż Waszmość myślisz, Mości panie Kiliński?

— I ja myślę, że pospólstwo chętnieby za nim poszło, — ale czyście już Waszmość panowie prosili go o to?

— Nie jeszcze, lecz mamy zamiar prosić.

— Tak, warto spróbować.

— W jakim sposobie Waszmość panowie zamysłacie rewolucję tę zacząć? — spytał majster.

Ten i ów odezwał się z jakimś projektem, ale w tem nie było ani znajomości wiele, ani rozwagi. Wojskowi, spostrzegłszy, że to się wszystko jedno z drugim nie klei, powstrzymali

się z wypowiedzeniem swoich projektów przez ostrożność.

Kubicki, odwiódłszy na stronę IMé pana Kilińskiego, rzekł cicho:

— Widzi mi się, że z tej mąki nie będzie chleba... Albo ci panowie żywej duszy za plecami swojemi nie mają, albo nie mają głowy do tej roboty.

— Tak to podobno jest...

IMé pan Juliński, spostrzegłszy, że Kubicki z majstrem na osobności rozmawiają, zbliżył się do nich.

— Z takimi sprawami nie rychło poczynać... — zaczął.

— Jużci...

— Na to, żeby to i wodza wybrać i ludzi znaleźć, trzeba dużo czasu — bełkotał, kluski obracając, — ja służyłem całe życie Ojczyźnie, w konfederacji Barskiej byłem, do jeneralności należałem, tak jest, powiedziałem to i nie cofam... nie cofam... należałem.. Trzeba tylko całą sprawę z błogosławieństwem bożem poczynać... ot, gdyby nam Ojciec święty błogosławieństwo przysłał! Jabym sam Mości panowie do Rzymu pojechał, tak jest, powiedziałem to i nie cofam...

— Jeszcze nie ma po co — zauważył IMé pan Kubicki.

— No, tak, tak... naturalnie... — zabelkotał Imć pan Juliński — ale z Bogiem, z Bogiem Mości panowie, uczciwie, poważnie... Do roboty nie zaciągać chłopów, jak zrobił IMć pan Kościuszko, bo to podłe nasienie... tylko sławetnych i urodzonych...

— A gdzieżeś się Waszmość pan z Kościuszką spotkał? — zagadnął majster.

— W obozie pod Połańcem... była tam dobra okazja.. zwerbowałem kilkaset szlachty, myślałem, że do obozu pójdzie...

— I cóż?

— Nie poszła Mocium panie... Jak się przekonali ludzie, że Kościuszko to farmazon, że z chłopami przystaje, a na szlachtę i króla dybie, tak to się wszystko rozbiegło po różnych kątach... Przypatrzyłem się ja do tego porządnie... tak jest.. myślę tedy sobie — kiepska koło Witebska, koło Orszy jeszcze gorszy, trzeba w Warszawie rewolucję robić.. I przyjechałem, a tu, widzę, już ludzie myślą sami, więc się tylko do nich przyłączyć należało...

Gdy przerwał Imć pan Juliński obracanie klusek w gębie, ktoś z kąta odezwał się niecierpliwym głosem.

— Wszystko to bardzo pięknie, co Waszmość powiadasz, ale widzę, że nikt tu! jeszcze z pośród was nie powiedział, jak się pozbyć Moskali?

Był to IMé pan Tykiel, radea z magistratu, który wszedł w czasie rozmowy tak cicho, że go ledwie kto spostrzegł.

Głos ten zastanowił IMé pana Kilińskiego.

Podniósł głowę, poznał mowcę i głową mu skinął.

— A od tego właśnie trzeba było zacząć— odezwał się IMé pan Kiliński.

— Prawda, że cała rewolucja, o której mówiliście — ciągną IMé pan Tykiel — do tego ma zdążać, aby Moskwę wygnać, ale jak?

— Trzebaby ich jak wilków obsaczyć i przesinyki im zamknąć — wtrącił się do rozmowy IMé pan Kubicki.

— Mądrze Waszmość gadasz panie poruczniku — na to powiada Kiliński — obsaczyć ich ..

— Obsaczyć... obsaczyć .. -- odezwało się kilka głosów.

Kiliński zamysłał się, coś ważył.

— Im więcej będzie do rady, tem dłużej będziemy radzić, bo to jeden powie mądrą rzecz, a drugi jeszcze mądrzejszą — i tak będziemy sobie bawić się w gawędę.. a nam czynów trzeba!

— Pięknie mówi IMé pan Kiliński, bardzo pięknie — zabełkotał IMé pan Juliński — ja, Mości panowie, w Konfederacji Barskiej byłem, do jeneralności należałem... tak jest, powiedzia-

łem to i nie cofam... U nas wielkie sprawy załatwiały się na kolanie, prędko — raz, dwa...

— Mości Kiliński! Mówić! Mówić! — odezwały się różne głosy.

— Mówiliście tu Mości panowie różnie, a ja teraz swoje powiem. Powiedziano, że z Moskwą trzeba tak robić, jak z wilkami — obsaczyć ją, a potem damy sobie radę. Otóż na ten termin ja umyśliłem takową rzecz: trzeba przedewszystkiem tych Moskali, którzy siedzą na Pradze, oddzielić od tych, którzy są w Warszawie, a to na ten porządek, ażeby w razie okazji jedni nie wspierali drugich. Najłatwiejszą sprawą byłoby skasować przewozy na Wiśle między miastem, a Pragę, ale tego uczynić nie możemy, bo Moskale zaraz huczek zrobią.. ale możemy sobie poradzić w ten sposób, że promy przeprowadzi się na środek Wisły — niech sobie wtenczas Moskale hukają, jeżeli będą mieli czas. Mógłbym to sam wyrobić, ażeby wszystko było dobrze.

— Ale czy komisarz od mostu zgodzi się. Należałoby go wtajemniczyć.

— Komisarza ja biorę na siebie.. to mój stryj, ja z nim poradzę sobie.

— Na tem jeszcze nie koniec — ktoś odezwał się z tłumu.

— Nie koniec, Mości panowie — odezwał się IMÉ pan Kiliński — trzeba rogatki pospół-

stwem obsadzić, ażeby żaden Moskał nam nie uciekł...

— A któż pospólstwo zbierze?

— W tem moja sprawa — rzekł majster. — Ja obliguję się zebrać obywateli miasta, a Waszmość panowie zbierzcie wojsko — tu się do wojskowych zwrócić — i w samym środku miasta zaczniemy rewolucję!

— Bardzo piękny plan — zabełkotał IMe pan Juliński, godny dobrego obywatla, patrijoty i rzetelnego katolika.

— No, tego katolika toś Waśc przylepiał, ni w pięć ni w dziewięć — ktoś mu na ucho szepnął.

IMEi pan Juliński strzepnął się jak szczupak.

— Bo to proszę Waszmość panów, ja do jeneralności należałem... tak jest należałem...

— Nikt temu nie przeczy...

— Tak jest, powiedziałem to i nie cofam... tylko prawdziwy katolik może być prawdziwym patrijotą, uczciwym człowiekiem, miującym ojczyznę...

IMEi pan Juliński przerwał nagle, spostrzegł, że sam do siebie mówił, wszyscy odwrócili się od niego i poczęli ze sobą półszepem rozmawiać, a wkrótce potem wymknęli się w pojedynek.

Już na ulicy IMe pan Kiliński szepnął do Kubickiego i księdza Mejera, z którymi szedł razem:

— Mocno mi się nie podoba ten pan Juliński... żydem pachnie i łgarzem.

— Obłudnik... — zauważył ksiądz Mejer.— Tacy są najniebezpieczniejsi, co na widoku publicznym noszą serce Jezusowe, a Pana Boga i patryjotyzm wiecznie mają na gębie.

— Trzeba będzie — dodał Kubicki — przypilnować, ażeby się więcej do nas nie wśliznął.

Pożegnali się ze sobą i rozstali się w tym zamiarze, że nazajutrz dzień cały obrócą na porozumienie z ludźmi i wojskowymi, a w nocy każdy zda sprawę z tego, co zrobił i naradzą się nad dalszą robotą.

Kubicki poszedł do siebie, Kiliński do siebie. Tylko IMci pan Juliński smyknął po pod mury, prześlizgując się jak wąż. Cały czarno prawie ubrany, pałasz podpasał krótko i tak jak cień wzdłuż murów się sunął. Minał Rynek, wszedł na ulicę Długą i kędyś w okolicy Senatorskiej zniknął.

Nie znikł jednak On spieszył bardzo do pałacu Igelströma, ale jako człowiek ostrożny, nie zachodził z frontu, po co się miał tam prezentować, on wśliznął się boczną furteczką. Na szczęście generał nie spał. Imci pan Juliński znał te wszystkie wejścia i wyjścia, jak stary lis, znał wszystkich ludzi, — skłonił się tylko każdemu, a wszyscy ustępowali mu z drogi... Widocznie, że tu chadzał często.

Łatwo domyśleć się, czego chadzał. On z patryjotyzmu naturalnie szeptał do ucha jenerałowi wszystko, co słyszał, a wyszeptawszy, biegł do kościoła, modlił się przykładowo, spowiadał się — i znowu szedł na drugie polowanie... On tego bynajmniej nie uważał za zdradę — robił wszystko z miłości dla najjaśniejszej Imperatorowej, która tępiła w Rzeczypospolitej „farmazonów“ wichrzycieli, warchołów, mając tylko to życzenie, ażeby obywatele mogli pracować spokojnie. .

Takim misjonarzem spokojnej pracy stał się od niedawna IMci pan Juliński, zachęcony do tego wymownemi listy pełnomocnego posła najjaśniejszej Imperatorowej, któremu przywiózł wiadomość z obozu pod Połańcem. Wiadomości te przyjęte zostały mile, nagrodzone *honeste*, nie też dziwnego, że IMci pan Juliński wierzył święcie, że tylko łaska Pana Boga dopomogła mu do wyszukania tak godnego protektora, jakim był jenerał.

IMci pan Juliński nie długo u jenerała bawił, a wróciwszy do domu, ukląkł przy łóżku, zmówił pacierz nabożnie, szkaplerz wyczałował — i spać poszedł.

Kiliński także późno do domu wrócił, a wróciwszy, rozmyślał nad tem, jak jutrzejszego dnia użyje. Do roboty miał dużo — potrzeba było porozumieć się z tym i owym, być u Ka-

postasa, zdać mu sprawę z tego, jak rzeczy idą, dowiedzieć się czy nie nadeszły jakie rozporządzenia i dyspozycje od Kościuszki, widzieć się z Kubickim, ażeby się upewnić co do pułków polskich, rozkwaterowanych w Warszawie, słowem, Jan majster miał cały dzień wypełniony po brzegi. Z myślą tedy o tym dniu jutrzejszym zasnął.

Wstał późno. Ubrawszy się zasiadł do spożycia parzonego mleka wraz z rodziną, a około 9. miał wyjść z domu, gdy posłyszał, że jakiś harmider wszczął się na dziedzińcu. Wychylił głowę przez okno — spostrzegł kilku żołnierzy moskiewskich, stojących przy bramie z bagnietami.

Niemile przeczucie go tknęło, ale nie żonie nie powiedział, ażeby w domu nie trwożyć nikogo, i chociaż miał już wyjść, zatrzymał się chwilę. Moment jeszcze nie minął, gdy do izby wbiegła przestraszona żona.

— Zmiłuj się, uciekaj! Chcą cię brać!

Spojrzał na nią — i strach go zdjął nie za siebie, za żonę. Błada była jak chusta, usta jej drżały, a oczy nieruchome, w słup stojące, wpatrzone w niego, błyszczały białkami.

Kiliński zapanował nad sobą i rzekł spokojnie :

— A cóż mi zrobią, moja żono! Niebój się niczego, kiedy ja się nie boję!

W tej chwili drzwi się otworzyły, i na progu stanął oficer moskiewski z trzema żołnierzami :

— Czy IMć pana Kilińskiego zastałem ?

— Ja nim jestem.

— Jaśnie wielmożny poseł najjaśniejszej Imperatorowej, generał Igelström, prosi Waszmość pana do siebie — rzekł oficer.

— Bardzo dziękuję jaśnie wielmożnemu generałowi, — odpowiedział złośliwie majster, — że mię zaprasza, ale ja jestem rzemieślnikiem, muszę pilnować warstatu, bo z tego chleb jem, więc w każdym czasie służyć nie mogę.

Na tę odpowiedź widocznie oficer przygotowanym nie był, bo się zmieształ trochę i nie wiedział, jak się wyplątać.

— Generał prosi...

— Ładna mi prośba, kiedy Waszmość przychodzisz z dwunastoma żołnierzami.

Oficer minę zrezygnowaną zrobił.

— Mam rozkaz.

— Ja słucham rozkazów tylko mego króla i mojej władzy.

Oficer uporczywie powtarzał :

— Mam rozkaz...

W pokoju płakała żona, lamentowały dzieci, ludzie skupili się na ulicy i wykrzykiwać zaczęli na żołdaków, którzy stali przed bramą kamienicy, nie wpuszczając i nie wypuszczając ni-

kogo Na korytarzach domu tłoczyli się lokatorowie, do pokoju cisnęły się kobiety, z żołnierzami, zagradzającymi im drogę, ucierając się.

— Jeżeli mi Waszmość przyniesiesz rozkaz z magistratu — wnet pójdę!

Oficer taką minę zrobił, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Nic na to nie poradzę...

Po chwili rzekł głosem stanowczym.

— Radzę Waszmość panu ubrać się i pójść... pójdziemy tylko we dwoje... ja żołnierzy odeszłę... a jeżeli Waszmość niechcesz, będę zmuszony wlec go po ulicy, jak zbrodniarza.

Wiele złego dwóch na jednego. Nie było rady, należało się zdecydować.

— Wiem ci ja dobrze, co to za zaprosiny jenerała — odezwał się Kiliński — ale żem człek niewinny — pójdę.

Począł wciągać kapotę, a wyszedłszy do drugiego pokoju, nieznacznie wsunął duży szewski nóż za cholewę. Pożegnał się z żoną, dziećmi i poszedł.

Gdy wyszli na ulicę, oficer odesłał żołnierzy i sam tylko z Kilińskim do pałacu posta podążył.

Majster domyślał się o co chodzi, od pewnego czasu zbyt był głośnym w mieście, zbyt się między rzemieślnikami i mieszczaństwem szastał, ażeby na niego szpiegi jenerała uwagi nie

zwrócili, najwięcej jednak prawdopodobieństwa było w tem, że go IMé pan Juliński zadenuncjował. Nie mylił się pod tym względem. Idąc, rozmyślał sobie, że jeżeli by go generał do kozy wpakował, to jemu i sobie życie odbierze.

Gdy go oficer do sali wprowadził, nie było w niej nikogo.

— Usiądź sobie Waś trochę — rzekł do majstra.

Kiliński z zawieszistą miną usiadł, a oficer stał przy nim jak struna wyprostowany.

Po chwili drzwi się otworzyły na przeciwko i z apartamentów swoich wyszedł generał Igelström, gwiazdami i orderami obsypany. Wprost, nachmurzony, zły, do Kilińskiego sadził.

— Ty jesteś Kiliński? — zapytał go szorstko,

— Ja, jenerale.

— Jesteś radnym?

— Jestem, jenerale.

— Jesteś szewcem?

— Tak jest, jenerale.

Nagle generałowi zamigały oczy złośliwie i zaiskrzyły się gniewem.

— Ale ty, bestjo, jesteś także buntownikiem! — krzyknął.

Kiliński poczerwieniał z gniewu, chciał go zapytać: jakim prawem przemawiać tak może do obywatela obcego państwa i ledwie wyrzekł:

— Jenerale...

Ale Igelström nogą tupnął i krzyknął z całej siły :

— Milczeć, kiedy mówię! Nie przerywać mi!

Kiliński zapanował nad sobą, w tej myśli, że przecie będzie mógł się później wygadać, a generał wściekły z gniewu krzyczał tak, że szyby drżały w sali.

— Ty o buntach myślisz kanaljo, huncwo- cie, szelmo, zmienniku, worze! Buntów się tobie zachciewa? Ja cię nauczę!

Kiliński najspokojniejszym głosem zaczął znowu :

— Jenerale...

Igelström nogą tupnął i znowu na cały głos wrzasnął :

— Milczeć! Ja na was wszystkich buntowników każę szubienicę zbudować przed Kapucynami, a ciebie pierwszego na niej powieszę!

Majster zdołał nareszcie przerwać ten potok łajanek generała.

— Jenerale! zawołał -- proszę mi pozwolić wyeksplikować się.

— Żadnych usprawiedliwień! — krzyknął Igelström i znowu łajać począł.

Kiliński słuchał spokojnie. Z zachmurzonego, zamyszonego oblicza, ze spojrzenia, mierzącego postać generała ukośnie, można się było domy-

śleć, że coś złego zamierza. Majster myślał o tym nożu, który miał za cholewę.

— Jeżeli mnie każesz psu bracie brać do więzienia, śmierć tobie i mnie!

Słuchał jednak cierpliwie, w tej nadziei, że generał przecie do głosu mu przyjsć pozwoli.

Generał tymczasem łajał ciągle i wymyślał, wreszcie, zwróciwszy się do majstra, krzyknął mu przed nosem:

— Cóż ty sobie durak myślisz?

— Jaśnie Wielmożny generał nie pozwala mi właśnie powiedzieć tego, co myślę — odrzekł.

Uwaga ta uspokoiła trochę Igelströma.

— Mów! — zawołał ostro.

— Przedewszystkiem proszę generała oświecić mnie, za co jestem tak złajany i sponiewierany, gdyż nie wiem o żadnym występku moim.

— Nie wiesz? Zaraz się dowiesz! — odrzekł groźnie.

Rzekłszy to, wyszedł w tym momencie, a w parę minut wrócił. W ręku niósł jakiś papier rozwinięty.

— Oto jest raport — rzekł, stanąwszy przed nim, — słuchaj pilnie.

Począł mu czytać raport o tem wszystkim, co wczoraj miało miejsce w kamienicy jezu-

ickiej; wszystko tam było, co powiedział Kiliński od pierwszej chwili wejścia aż do szczegółów tego projektu, który miał na uwadze obśaczenie Moskali w Warszawie.

Igelström czytał to powolnie, co chwila w twarz majstra spoglądając, jakby ją badał.

— No, zgubiony jestem — myślał Kiliński, — teraz śmierć tobie i mnie!

Nie dał jednak wzburzenia poznać po sobie. Rozmyślał nad tem, jakby się wykręcić z tej pułapki, nagle doznał takiego wrażenia, jakby mu światło przed oczyma mignęło.

W tem jenerał, czytanie skończywszy, do niego się zwrócił.

— A widzisz bestjo, kanaljo, huncwocie, buntowniku, jakie twoje myśli! Jutro ciebie powieszają!

Kiliński miał swoje pojęcie honoru.

— Jakto, ja szewc ucziwy mam wisieć na szubienicy, jak złodziej i łotr? — pomyślał sobie. Niedoczekanie twoje.

Igelström ciągle wykrzykiwał:

— A widzisz bestjo, huncwocie, cóż ty na to?

Majster odezwał się umyślnie podniesionym głosem, ażeby zagłuszyć łajanki jenerała.

— Wszystko to święta prawda, jenerale!

Igelström osłupiał, — na ustach mu zawisły brutalne słowa.

— Jeżeli mi generał pozwoli, powiem wszystko.

— Gadaj!

— Byłem tam generale, ale nie sam jeden byłem; ze mną byli także pan Lelewicz, pan Balfers, pan Tykiel...

— Jest raport i o nich — wtrącił Igelström.

Kiliński odetchnął. Ledwie mu się z ust nie wyrwało: chwala Bogu!

Zdobył się jednak na spokój i ciągnął dalej:

— Tak, byliśmy z rozkazu jaśnie wielmożnego generała...

Igelström brwi nachmurzył.

— Przed kilku dniami prezydent zwrócił się do nas radnych, że życzeniem jaśnie wielmożnego generała jest, abyśmy chodzili wywiadywać się po wszystkich kafehauzach, winiarniach, bilardach i słuchali, co szulerzy i inni gadają o buntach, a o wszystkim donosili do pałacu, ażeby można było tych, co do buntów namawiają, pięknie wyłapać. Mielśmy o tem wszystkim donosić zaraz prezydentowi, a prezydent generałowi, ażeby gadających aresztować. Stało się tedy wszystko według rozkazania jaśnie wielmożnego generała.

-- Łziesz! — krzyknął Igelström.

— Niech jaśnie wielmożny generał każe zawołać prezydenta, — mówił Kiliński ze wzrasta-

jącą odwagą i swadą — on nam o tem wszystkiem opowiadał, on do chodzenia zachęcał, jeżeli przeto nas oszukał — niech sam odpowiada.

Istotnie, Igelström zwracał się przez prezydenta do wszystkich radnych z powyższą prośbą, temu zaprzeczyć nie mógł.

— Czemużes tego na piśmie nie podał? — spytał generał zmiększy trochę — czemużes oficerów nie kazał aresztować?

— Przedewszystkiem oficerów nie znałem z nazwiska, a aresztować ich nie mamy władzy, otóż proszę jaśnie wielmożnego generała i na sobie poradziłem i chciałem dziś wszystko opowiedzieć prezydentowi, ażeby mu zaś ułatwić aresztowanie wszystkich, zaprosiłem całe zgromadzenie do siebie, do własnego mieszkania na dzisiejszą noc.

Wysłuchawszy tego opowiadania, uspokojony Igelström spytał łagodnie:

— Więc jesteś nam przychylny?

— Tak jest, jaśnie wielmożny jenerale.

— Daj-że dowód tej przychylności i dziś, gdy się spiskowcy u ciebie zbiorą, zawiadom mnie o tem tajemnie.

— Nie mogę tego uczynić jenerale.

— Dlaczego?

— Wszyscy widzieli, że mię żołnierze rosyjscy obsaczyli w domu, a oficer do generała od-

prowadził, — każdy więc będzie uciekał ode mnie, jak od ognia.

Uwaga była słuszna i nie przeciwko niej powiedzieć nie mógł Igelström.

— A cóż ty myślisz o innych radnych, którzy z tobą razem byli?

— Oni przyszli także z polecenia prezydenta. Przecież jaśnie wielmożnemu generałowi wiadomo, że magistrat przyrzekł, iż nie ma się czego obawiać, gdyż porządni obywatele są aż nadto spokojni, a tylko szulerzy plotki sobie przy kartach powtarzają.

Igelströmowi humor rozjaśniał; zaczął do majstra łagodniej i przyzwoiciej mówić.

— Stało się podobno nieporozumienie — rzekł generał — ale jeżeli Waszmość panowie w rzeczy samej będziecie mi komunikować o tych, którzy o buntach rozprawiają — słowem jeneralskiem zaręczam panom, że każdego z nich czeka nagroda.

Kiliński słuchał, wąsy zagryzając i myśląc sobie:

— Wiem ja, ty kundlu rudy, jakie wasze nagrody!

Igelström potraktował majstra cygarem.

— No, siadaj-że Waćpan — rzekł słodko i sam przy nim usiadł.

Oficera, który dotychczas stał przy Kilińskim, odesłał.

Majstrowi przybywało rezonu.

— Jeżeli J. W. Pan Dobrodziej mojej ekskuzy nie przyjmie — mówił — ja będę musiał poszukiwać krzywdy na panu prezydencie, który nas zbałamucił.

— I owszem — odrzekł generał — prezydent jest w porządku... tylko proszę Waćpana, ażebyś na przyszłość bezpośrednio się znosił ze mną.

— Teraz, kiedy już wiem o wszystkim dokładnie, nie omieszkać tego uczynić... — odpowiedział majster, a w duszy myśli sobie:

— Doczekasz się ty huncwocie stryczka tego samego, coś na nas skreślił. Stanę ci ja kością w gardle!

Generał tymczasem łagodniał coraz bardziej, a chcąc wyegzaminować Kilińskiego, spytał go:

— A Waszmość pan masz dużo przyjaciół?

— Jeżeli jaśnie wielmożny generał chce wiedzieć, ile, proszę ogłosić, że do aresztu wzięty, a ręczę, że za godzinę stanic na placu 30.000 rzemieślników, tych samych, którzy mię radnym wybrali!

Nie podobała się ta uwaga Igelströmowi; czuł w tem jakieś brzmienie niezgodne z tem, co przed chwilą z ust majstra słyszał, ale wy-

puścił Kilińskiego, zachęciwszy do czuwania nad
buutownikami.

— Będę czuwać, jenerale, jak Boga mego
kocham!

X.

Kiliński, wychodząc z dziedzińca pałacowego, odsapnął, potem ręce złożył nabożnie i przeżegnał się.

— Dziękuję Ci Panie Boże, żeś mię od nie-
szczęścia wybawił! — wyszeptał.

Wyszedł na ulicę i do domu podążył, ażeby
co rychlej uspokoić żonę i dzieci.

— Teraz, panie majstrze, pamiętaj, abys
był ostrożniejszy, — myślał sobie po drodze —
bo jeżeli jeszcze raz wpadniesz w paszczę mo-
skiewską, już będzie po tobie! O, piękny z ciebie
patryjota, mości panie Juliński! Wiem teraz, co
myśleć o twojem nabożeństwie! Poczekaj bratku!
Nie będziesz ty drugi raz raportów pisywać...
niech tylko Bóg pozwoli rozprawić się z Moskwą,
a wtedy pojedziesz Waszeć po błogosławieństwo
tam, gdzie pieprz nie rośnie!

Wróciwszy do domu, nie powiedział wcale
przed żoną, jaką długą miał rozmowę z Igel-

strömem, krótko się wymówił, że niewinny, więc go wypuszczono. Nie rozgadywał się zaś dlatego, ażeby się niepotrzebne wiadomości po mieście nie roznosiły, bo wszystko trzeba było w tajemnicy trzymać jaknajwiększej.

Do warstatu ani pokazywał się nawet, tylko pokręciwszy się trochę po domu, wnet poszedł do Kapostasa i Kubickiego, ażeby się ze spiskowymi porozumieli i nie dopuścili ich do schadzki u niego, gdyż Igelström kazałby ich wyłapać niechybnie. Na IMé pana Julińskiego sam miał czekać. Jeden dzień musiał spauzować, pozostawiając dalsze porozumiewanie się z wojskiem i mieszczanstwem Kapostasowi i Kubickiemu, ja koteż naradę nad tem, jakie punkta i przez kogo miały być obsadzone, na jakie punkta należało uderzyć, komu i z jaką siłą. Wszystko to stosować się miało do tego, gdzie stali Moskale i ile. Obostrzono tylko wejście na sesję w ten sposób, że każdy musiał przysięgę składać.

Dowiedziawszy się o wszystkim, co go interesowało, na wieczór do domu wrócił. Wiedział już, że nikt nie przyjdzie, tem spokojniej tedy na IMé pana Julińskiego czekał.

Równo o 9. godzinie zjawił się Imé pan Juliński — nie sam jednak, lecz w towarzystwie jeszcze jakiegoś jegomości. Zastał tylko gospodarza w izbie. Rzucił szaremi oczkami dokoła — i nie dobrze jakoś mu się zrobiło i doznał takie-

go wrażenia, jakby wpadł w zasadzkę. Nie dał jednak po sobie poznać pomieszania i zdążającego ku nim majstra pozdrowił:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wybełkotał.

— Na wieki wieków.

Usunął się nieco na bok i gościa zaprezentował.

— Imię pan Mydlicki, podsędek lubelski.

Rzucił na niego spojrzenie Kiliński i przez myśl mu się przesunęło:

— Oho! pięknyś bratku! Godni wy przyjaciele, warci jednej szubienicy!

Gość wyglądał bardzo niepocześnie. Był to mężczyzna już szpakowaty, ciemnych włosów, słuszny jak tyka, na wierzchu której ktoś głowę usadził, która siedziała na niej niepocześnie, jak garnek na płocie, na bok się nieco pochyliwszy. Twarz od czoła począwszy w trądach była cała, a nad górną wargą wąs po błazeńsku zakręcony i cały wygląd niepewny i lisi, uderzał od razu niemilem wrażeniem

Imię pan Juliński ciągnął dalej:

— Wiedząc o tem, że tak wielka sprawa, jak ta, nad którą wczoraj naradzaliśmy się, potrzebuje dzielnych patrijotów i tęgich głów, bo to Mości panie — bełkotał — u nas na Rusi powiadają: gromada wielki człowiek, pozwoleń sobie zaprosić na dzisiejsze zgromadzenie Imię

pana Mydlickiego, który jest osobistością tak wybitną, że go kraj cały zna bardzo dobrze..

Kiliński schylił głowę w stronę IMé pana Mydlickiego, który z głupkowatą miną stał, na bok trochę przechyliwszy się, i lewą rękę przytknąwszy do podbródka, palcami włoski skubał.

Majster rzekł półgłosem:

— Bardzo się cieszę...

Potem do obydwóch się zwrócił:

— Siadajcie Waszmość panowie łaskawie..

Posunęli obydwa do ławy wąskiej, do ściany przypierającej. IMé pan Juliński szedł przodem, a za nim podążał IMé pan Mydlicki w wyszarzanym kontuszu, który jak worek wisiał na nim, a trądy na twarzy, zdawało się, że mu jeszcze więcej poczerwieniały. Idąc IMé pan Juliński gadał nieustannie.

— Bo to nie sztuka byle kogo na sesję przyprowadzić... trzeba, jak można, najwięcej osób wybitnych spraszać, takich, jak IMé pan Mydlicki; dość powiedzieć nazwisko jego, znane każdemu...

— Siadajcież panowie — prosił gospodarz ponownie.

— No, — myślał sobie majster, gości sadowiac — IMé pan Mydlicki pewnie taki „wybitny“ ptaszek jak i ty... Rodem kury czubate!

Goście usiedli. IMé pan Juliński wzrokiem po wielkiej i pustej izbie powiódł:

— Jeszcze nie ma nikogo... — zauważył sam do siebie.

— Nikogo...

Majster przemysliwał nad tem, z jakiej-by beczki rozmowę zacząć, ażeby choć słowo posłyszeć z ust IMci pana Mydlickiego, człowieka jednego z najwybitniejszych w kraju, którego imię i prace znane były szerokim kołom.

Wyrezył go IMci pan Juliński, który czuł, że wskoczył tutaj, jak mucha do ukropu i pragnął gadaniem pokryć drażliwe położenie, oko w oko, sam na sam z człowiekiem, sprzedanym za moskiewskie srebrniki.

— Na wczorajszej sesji podnieśliśmy bardzo ważną kwestję — począł bełkotać po swemu — że dla obrony kraju potrzeba koniecznie dźwignąć mieszczan i rzemieślników... bez tego nie będzie Polski Mocium panie, tak jest, powiedziałem to i nie cofam...

IMci pan Mydlicki głową kiwał i trądy na twarzy wydrapywał palcem, spoglądając baraniem, głupiem spojrzeniem na Kilińskiego.

— Prawda, panie Stefanie?... — zwrócił się do towarzysza swego.

— Tak, tak... Mieszczanie i rzemieślnicy to nowa potęga, którą ludzkość do boju wzywa w imię cywilizacji i przyszłości, przeciwko nadużyciom rządów, swawoli królów, zuchwałstwu biurokracji; to olbrzym, który spał dotych-

czas, a zbudzony skinieniem czasu, wołającym go do pracy, powstał i już nie zaśnie, nie zaśnie, nie zaśnie...

Mówił to, jak wyuczony pacierz, gdy nagle utknawszy na wyrazie „nie zaśnie“, zapomniał następnego i ani rusz przypomnieć nie mógł. Skubał tylko palcami włoski i trądy na twarzy — naraz znowu począł mówić prędko, szepleniąc trochę.

— Bo zadaniem jego jest wszystko przemienić, przebudować... Widzieliśmy panowie, jaką ten żywioł odegrał rolę we Francji, gdzie zwałił rząd i nową potęgę stworzył... My właśnie naszą rewolucję musimy także oprzeć na tej sile, tak jest, panowie...

Mówiąc zapalał się, a trądy mu nabiegały krwią. Majster słuchał uważnie i myślał sobie: gładko gadasz, to prawda, ale po wyjściu stąd wprost polecisz do pałacu Igelströma.

Gdy IMé pan Mydlicki — człowiek wybitny i znany w całym kraju — wygłosił wyuczone frazesy, towarzysz jego odczuwał się:

— Nie ma jeszcze panów...

Kiliński pomyślał sobie: teraz pora... Spojrzał mu w oczy, rękę na ramieniu położył i uśmiechnięty rzekł:

— No, kamradzie, oni nie przyjdą...

IMé panu Julińskiemu ciarki po za skórą przeszły — domyślał się czegoś.

— A skąd pan wiesz?

— Bo wszystkich ich wczoraj zadenuncjowałem do generała...

Powiedziawszy to, patrzył, oka nie spuszcza-
jąc z przyjaciół.

— Jakto? Jakto? Nerozumiem tego — pocz-
czął bełkotać IMć pan Juliński.

Kiliński, spoważniawszy, odrzekł:

— Tak jest, Mociumpanie... Wczoraj kome-
dję grałem, aby się dowiedzieć, co ludzie myślą,
bo miałem rozkaz od Prezydenta, abym wszędzie,
gdzie tylko jest większe zgromadzenie, chodził
o wszystkim donosił... Musiałem kłamać, ina-
czej nie mógłbym był wybadać smyków i dowiedzieć
się, co oni zamyślają o rewolucji.

IMć pan Juliński stał zmięszany, a Mydli-
cki, zwróciwszy trochę na bok głowę, trądzikami
się bawił.

— Ja byłem zawsze tego zdania — zaczął
IMć pan Juliński, — że do rewolucji nie pora
jeszcze, widząc jednak umysły skłonne do burdy,
milkiałem.

— Naturalnie... — zaszeplecił IMć pan My-
dlicki. — Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że
w przyszłości tylko na rozumnym, świadomym swe-
go wysokiego zadania mieszczaństwie można się
będzie oprzeć, teraz nie jest chwila potemu,
ażeby rozpoczynać jakieś rozruchy. Kraj w nędzy,
lud ciemny i głupi, mieszczaństwo samolubne —

trzeba przedewszystkiem w te masy na pół dzikie rzucić jak najwięcej światła, światła, światła... światła, iż tak rzekę...

— Jużci... w tem cała mądrość — pory dobrej wyczekać — rzekł znowu IMé pan Juliński — a teraz, kiedy dzięki Najjaśniejszej Carowej możemy spokojnie pracować i rozwijać wszystkie siły narodowe, byłoby rzeczą nierozsądną narażać się na gniew Najjaśniejszej aliantki i życzliwej nam monarchini...

Słuchał tego Kiliński i w duchu dziękował Bogu, że się wczas wszystko odkryło.

— Ładneście ptaszki, ładne! — myślał sobie Tymczasem nikt nie przychodził.

— Już pewnie dziś nie będzie nikogo — odezwał się IMé pan Mydlicki.

— Pewnie...

Imé pan Juliński, ni to ni owo rzekłszy, pożegnał się z gospodarzem i razem z IMé panem Mydlickim wyniósł się jak nie pyszny.

Przekonali się obydwaj, że albo wpadli w pułapkę albo natrafili na takiego franta, jak i sami.

— Cóż Waś myślisz o tem wżyszkim, Mości Mydlicki? — zagadnął IMé pan Juliński.

Towarzysz głową skinął.

— Ha! Mnie się zdaje, że to człowiek trzeźwy, który na rzeczy patrzy bez uprzedzeń...

Zdaje się, że IMé pan Juliński podzielał na serjo to przekonanie.

— Wziął wszystkich na kawał! — rzekł z akcentem podziwienia nad zdolnościami IMć pana Kilińskiego.

Tak rozmawiając, powlekli się razem do winiarni Fukiera, dokąd zawsze schodzili się karcjarze i nocni grasanci na plotki.

Kiliński tego wieczora nie chodził już nigdzie i z nikim się nie widział. Rozwazał sobie je-
no w umyśle wszystko, co widział, co się działo, jak się rzeczy obróca przy takim lub innym stanie. Działać trzeba było energicznie i prędko, dnia jednego do stracenia nie było. Igelström, ciągle przez szpiegów niepokoiony, że się miasto do rewolucji przygotowawia, sam gorączkowo przysposabiał się do tego, ażeby ją zgnieść, zanim jeszcze rozbudzi się ta hydra. Jaśnie Wielmożny hetman Ożarowski, wydał rozkazy przychylnym sobie oficerom, ażeby w razie potrzeby stanęli po stronie Moskali i strzelali na Polaków, Igelström cichaczem w nocy, pod dobrem okryciem i pod pozorem rozwożenia prowiantów dla żołnierzy, rozkwaterowanych w mieście, rozwoził armaty i ukrywał je w domach, położonych koło arsenału, naprzeciwko kościołów św. Krzyżana Krakowskiem przedmieściu, Bernadynów, Kapucynów, Dominikanów, na wszystkich punktach, gdzie spodziewał się większego zgromadzenia ludności. Zamiarem jego było, jak wiemy, obsaczyć część wojska polskiego w koszarach, w no

cy, a napadłszy na bezbronnych i śpiących zmusić do poddania się; przez ten czas, kiedy Moskale rozprawialiby się ze snu obudzonem wojskiem, ludność miała być zamkniętą w kościołach; potem, na wypuszczoną, byłby Jaśnie Wielmożny poseł huknął z ukrytych po domach harmatek, spłoszonych zabrał, w więzieniu osadził, kogo chciał, powiesił i w ten sposób zaplanowałby w Warszawie tak pożądaną przez Imperatorową spokój.

Wszystkie te plany jednak były przez spiskowców odkryte, jeden po drugim i tylko do szybszego i energiczniejszego oporu nakłaniały.

Nazajutrz po wizycie IMé panów Julińskiego i Mydlickiego, majster obaczył się z Kubickim.

— Wszystko jak najlepiej idzie — rzekł mu zadowolony porucznik. — Już wojsko całe prawie po naszej stronie. Dziś wieczorem ostatnia sesja u mnie... przyjdźże Waszmość koniecznie... a obacz się z Kapostasem.

Na nocną naradę do Kubickiego przyszedł także Kapostas, pułkownik Hauman, z regimentu Działyńskiego, kapitanowie Ropp, Bończakiewicz, Linowski, pułkownik Wojciechowski, od ułanów królewskich, rzeźnik Sierakowski i wielu innych.

Wszyscy się zgodzili na to, że zaczynać trzeba, bo inaczej Moskale Warszawę w pień wytną. Kiliński powtórzył jeszcze raz to, co się

dowiedział od Ilina, o harmatach ukrytych, o rozporządzeniach Ożarowskiego, których prawdziwość stwierdzili inni. Tak się tedy do tego składało, że jednej chwili czekać dłużej nie można, bo albo Moskale uprzedzą i rzeź sprawią, albo cały plan odkryty zostanie i wszystkie zabiegi stracone.

Zdecydowano tedy zacząć walkę z Moskwą w Wielki Czwartek.

Ażeby utrudnić Moskalom opanowanie arsenału, postanowiono wprowadzić tam sekretnie 200 żołnierzy przebranych; spodziewano się na padu na arsenał dla tego, że Igelström prawdopodobnie będzie chciał przez opanowanie go, przeciąć możność mieszkańcom do zaopatrywania się w broń. Na czele tych żołnierzy stał porucznik Kubicki, który miał natychmiast po uczynionej ruchawce, arsenał otworzyć i broń mied szczanom i rzemieślnikom rozdać. Na Igelströma miał uderzyć sam Kiliński z szewcami i krawcami przy pomocy przebranych oficerów, którzy uzbrojonym ludem kierować mieli i prowadzić go; na Baura, stojącego na Nowem Mieście, miał uderzyć rzeźnik Sierakowski. Wspierać mieszczan i rzemieślników miało wojsko. W tym celu oficerowie od artylerji posiadali harmaty, amunicję i bagaże w zupełnym porządku, ażeby wystąpić mogli w jednej chwili na dany znak i różnemi drogami do środka miasta

dążyć, gdzie spodziewano się zaciętej walki z Moskwą. Regiment Działyńskiego, z pułkownikiem Haumanem na czele, miał dążyć przez Nowy-Świat i Krakowskie przedmieście na plac Zygmunta; taką samą dyspozycję mieli wydać oficerowie od ułanów królewskich. Tylko z gwardją królewską, którą dowodził kapitan Strzałkowski, nikt się nie porozumiewał, z obawy, ażeby który z oficerów, bliżej króla stojących, tajemnicy nie zdradził. Ale też była tego garstka tylko, która na szali zaważyc nie mogła.

Kiliński wziął na siebie obowiązek rozpoczęcia całej akcji, wyznaczonej na 4. godzinę raną; wystrzał z pistoletu w Rynku, a potem alarm w całym mieście i bicie w dzwony miało być sygnałem do rozpoczęcia walki.

Spiskowi rozeszli się spokojnie do domów żeby ostatnie przygotowania poczynić.

Nabożeństwo passyjne i ruch nadzwyczajny, jaki z tego powodu panował w mieście, gdyż ludność rzemieślnicza dużemi kupami chodziła zwykle wtedy od kościoła do kościoła, ułatwiał ukrycie planów, wymagających ciągłego biegania po mieście i wzajemnego porozumiewania się. Moskale wiedzieli doskonale, że pod koniec Wielkiego tygodnia wszelkie roboty ustały, a ludność zajęta była przeważnie modlitwą i obchodzeniem kościołów, — głównie mężczyźni, gdyż kobiety wypiekami ciast zatrudnione były.

Korzystając z tego zamieszania, Kiliński sprowadził do swego domu 200 czeladzi co lepszej i pewniejszej z cechów szewskiego i krawieckiego, rozlokował ich u siebie i na noc zatrzymał, ażeby równo ze świtem rozpocząć przy ich pomocy walkę; porozsełał ludzi zaufanych, ażeby pod pozorem dzwonięcia na nabożeństwo, opanowali dzwony w kościołach Dominikanów, Paulinów, w Farze, u Bernardynów i nakazał im dzwonić natychmiast, jak się tylko alarm w mieście zacznie. Osobiście zaś poszedł na ratusz do wachmistrza, którego znał dobrze i zaniósł mu ładunków i skątek, gdyż wiedział, że broń mieli od parady tylko i rozkazał mu pod odpowiedzialnością życia trąbić i dzwonić, jak tylko posłyszysz hałas w mieście. Tych rzemieślników i mieszczan, którzy broń posiadali, ulokował pod rogatką, kazał im natychmiast postęrunki opanować i do Moskali, którzyby się do rogatki zbliżali, strzelać polecił. Wszystkie domy, w których się ludzie, do spisku wciągnięci, umieścili, znaczone były na bramie literami, kredą pisanemi S. S. S. S., co miało znaczyć: sam stworzyciel szczęściem szafuje, i było niejako zawołaniem spiskowych, po którem się poznawali. Napisy były dla tego zrobione, ażeby tem łatwiej można było skontrolować czy są wszyscy na miejscu i w pogotowiu.

Już po powrocie od wachmistrza, **Kiliński**

obszedł jeszcze te domy, w których harmaty ukryte były i pozaczył je wielkimi krzyżami, ażeby każdy łatwiej mógł je odnaleźć w celu najrychlejszego zabrania ich i uniemożliwienia Moskałom obrony. Uczyniwszy to wszystko akuracie, do domu dopiero podążył.

W mieście panował jeszcze ruch wielki, chociaż było już około godziny drugiej po północy, gdy do domu zaszedł.

Żona i dzieci spały, o niczem nie wiedząc. Domyślała się wprawdzie żona, że się na coś zanosi, — nie wiedziała jednak dokładnie na co. Gdy spostrzegła, że się w nocy ludzie do ich domu schodzić poczęli, mocno się tem zatrwożyła.

— Zmiłuj się mężu, będzie jakieś nieszczęście — rzekła przestraszona.

— Nic nie będzie, tylko Waćpani nie gadaj niepotrzebnie i nikogo nie strasz. Jutro na rano szewcy i krawcy zamówili sobie na intencję szczęśliwości w rzemiośle cichą mszę u Bernardynów. Pójdziemy razem.

— Oj, będzie z tej mszy nieszczęście!

— Najmniejszego, moja żona kochana! — rzekł uspokajająco. Pocałował ją, kazał dzieci kłaść spać, a sam poszedł.

— Kiedyż wrócisz?

— Mam pilny interes, nie czekaj na mnie i idź spać.

Marjanna założyła mu ręce na szyję i pożegnała się milcząco.

— Ha — myślała sobie — jeżeli on ma jakie postanowienie, to już go nie odwiode od niego. Niech się dzieje wola Boża

Długo spać nie mogła, wsłuchując się w gwar miejski, aż dopiero przed samem przyjściem męża mocno zasnęła. Kiliński położył się na ławie w drugiej izbie i zdrzemnął się jakie pół godziny w ubranii.

Już może była trzecia nad ranem, gdy od ratusza przyleciał pieszo jeden z czeladników szewskich wprost na Dunaj do domu Kilińskiego. Jak raz, ludzie ruszać się poczęli w dziedzińcu.

— Majster jest? — zapytał gorączkowo.

— Jest... a co tam?

Czeladnik nie odpowiedział na to pytanie, jeno wprost na wschody do izby skoczył. Ledwie klamką ruszył, Kiliński na równe nogi się porwał i kułakiem oczy przecierać począł.

— To ty, Ignacy? He? A co tam?

— Panie majster, prezydent pojechał do króla... — jednym tchem zawołał.

Kiliński ze snu nie mógł się zorjentować.

— Więc cóż?

— Pewnie z raportem...

Majstrowi nagle stanęło w myśli podejrzenie.

— A wachmistrz jest?

— Jest...

— Nie chodził gdzie?

— Chodził przed godziną do prezydenta...

Kiliński namyślał się chwilkę.

— Wracajże Waśc na ratusz, każ wachmistrza aresztować i zwięzać, a niech tam naznaczą innego do trąbienia i dzwonienia. A bądźcie w pogotowiu!

Skoczył czeladnik znowu na Ratusz, a tym czasem wszyscy w domu wstali już, obudziła się Kilińska, a wiara z dziedzińca, jak rój z ula wysypywać się poczęła na ulicę. Tylko co świtać poczynąło na niebie, gdy ulica gwarem zawrzała.

Skombinowawszy pobyt wachmistrza u prezydenta i ten nagły nocny odjazd prezydenta do króla, Kiliński był prawie pewny, że tajemnica przestała już być tajemnicą, dziękował tylko Bogu, że się zatrzymała do ostatniej chwili. Teraz wyjawienie jej już wielkiej szkody przynieść nie mogło.

W tym samym momencie, kiedy czeladnik odjechał na Ratusz z poleceniem aresztowania wachmistrza, przybiegł posłaniec drugi z wiadomością, że w Zamku królewskim alarm się zrobił, a król posłał natychmiast kurjera do Igelströma z raportem. Nie było już wątpliwości, że wachmistrz zdradził. Gdy posłaniec zdawał o

tem sprawę, pokazało się na ulicy kilku żołnierzy moskiewskich, na czele których szedł oficer. Rzemieśnicy tak ścisnęli się, że tamowali zupełnie przejście żołnierzom.

Oficer, spostrzegłszy Kilińskiego, który mu drogę zachodził, zapytał:

— Co to znaczy?

Majster, wyjąwszy szybkim ruchem kordełas, który miał z tyłu za pasem, pechnął nim prosto w piersi oficera.

— O! co znaczy! — krzyknął.

Oficer ani mruknął, tylko jak długi upadł wprost na żołnierzy, którzy zatrzymawszy się, zgłupieli formalnie.

Kiliński huknął na cały głos:

— Rąbać tę psią krew!

Dla żołnierzy była to taka niespodzianka, a atak odbył się tak szybko, że widząc oficera zabitego, nie mieli czasu nawet broni użyć; tłum ludu zmiętosił ich w jednym momencie, z nóg zwałił — i tylko słup kurzu podniósł się nad kupą walczących ze sobą ludzi. Żaden strzał nawet nie padł. a po chwili milczącego szamotania się, przerywanego od czasu do czasu jakimś wykrzykiem lub jękiem, pozostały tylko trupy wrogów.

Kilińska widziała przez okno, jak mąż, pechnąwszy nóż w pierś oficera, zamordował go

na miejscu, a chociaż była w ciąży, zbiegła ze schodów i rzuciła się wprost na męża.

— Zmiłuj się mężu, co robisz? Na toż to ciebie przyjaciele namawiają, ażebyś ludzi mordował? Cóż się z dziećmi stanie? Zmiłuj się!

W tej chwili pędził właśnie kozak na koniu — widocznie także z raportem do Igelströma.

Kiliński, nie zwracając najmniejszej uwagi na klęczącą we łzach żonę przy nogach jego, porwał pistolet i strzelił do kozaka. Kozak z konia się zwałił i jak kłoda upadł na ziemię.

— Mordować wrogów! — krzyknął Kiliński. — Zemsta nad nimi za nasze wszystkie nieszczęścia!

Spojrzał na klęczącą żonę, a żona, w oczach jego, zemdlona na ziemię upadła. Żal niewypowiedziany serce jego ścisnął, a jednocześnie zawrzała w nim chęć zemsty za wszystkie swoje i innych krzywdy.

— Za mną wiara! — zawołał dzikim głosem. — Śmierć wrogom! Śmierć!

Cały tłum zaszeleścił naraz i zahuczał.

Po kościołach zajęczały dzwony — jęczały długo, żałośnie, głośno, skarżąc się na wrogów i do obrony wołając, a skargi te w cichem ran-
nem powietrzu miasta, osłoniętego jeszcze mgłami wiosennymi, rozlewały się daleko w powietrzu i ponad Wisłą konały.

Ledwie się tłum ruszył, gdy z góry nadje-

chał ułan polski i wprost do Kilińskiego sadił. Był to żołnierz, znany mu dobrze i wtajemniczony we wszystko.

Stanął przed nim i zdyszczanym głosem mówił:

— Ułani królewscy złączyli się z Mirowskimi i są gotowi do ataku.

— Pędź co siły — odrzekł Kiliński — i powiedz, żeśmy już zaczęli.

Ułan obrócił się na miejscu i z kopyta ruszył.

Ktoś tymczasem otrzeźwił żonę Kilińskiego która przyczołgała się do męża.

— Wspomnij na dzieci... — mówiła — nie opuszczaj nas...

Kiliński przygarnął ją do piersi.

— Nie czas teraz mówić, moja żono droga, trzeba robić...

Nie jej perswazja nie pomagała. Trzymała go mocno i puścić nie chciała.

— Jeżeli ty się ryzykowałeś dla ojczyzny ginąć — i ja zginę z tobą. Przysięgam ci miłość do śmierci — nie opuszczę więc ciebie; albo do domu wrócisz, albo będę wraz z tobą zabita...

Upór ten do wściekłości doprowadzał majstra — gdyż w chwili stanowczej, kiedy miał potykać się z wrogiem, musiał toczyć bezpłodną walkę z własną żoną. Wiedział, że to nie tchórzostwo nią kieruje, lecz miłość, której dała nie-

jednokrotne dowody, dla niego i dzieci, troska o ich spokój i szczęście. Nieraz podnosiła mu się ręka, ażeby ją gwałtownie odepchnąć od siebie, ale zwyciężała litość... Zabić mogę nie tylko żonę, lecz i dziecko niewinne — myślał sobie. Trzeba, ażeby ona żyła, bo jeżeli ją zabity będę, ona przynajmniej zostanie i dzieciom zmarnieć nie pozwoli.

Ujął ją tedy w pól i do domu zaprowadził.

W izbie żona padła mu do nóg i znówu z płaczem zaklinać poczęła, ażeby domu nie opuszczał. Podjął ją Kiliński i posadził.

— No, kiedy takie losy, — rzekł — uspokój-że się... Nie pójdę...

Pocałował ją w głowę na uspokojenie, a chodząc po izbie, nieznacznie klucz ze drzwi wyjął i rozmyślał nad tem, w jaki sposób wymknąć się z domu. Upatrzywszy szczęśliwą chwilę, za drzwi się wysunął, a żonę z dziećmi w izbie zamknął.

Zbiegł, jak szalony, ze schodów i na czele tłumu stanął:

— Za mną wiara! Za mną! — krzyknął.

Fala ludu popłynęła na Rynek. Miasto było już całe na nogach; krzyk, wrzawa mięszały się z jękiem dzwonów, a z tej lub owej strony dolatywały pojedyncze wystrzały...

Tak Warszawa rozpoczęła walkę z Moskalami.

XI.

Pół godziny nie minęło, gdy całe miasto rozbrzmiewało jednym echem wołania :

— Do broni ! Do broni !

Było to wszystko niespodzianką tak wielką dla Moskali, że Igelström stracił głowę zupełnie, tembardziej, że miał przy sobie zaledwie tysiąc żołnierzy, który na gwałt zwołany, szykować się począł na dziedzińcu, nieświadomy zupełnie tego, co się dzieje. A tu fale ludu napływały już ku Miodowej, otaczając ze wszech stron pałac tego niemieckiego tygrysa...

Zwolennicy Moskwy i zdrajcy ojczyzny, ci sami, którzy podsuwali Igelströmowi zbrodnicze myśli, z przestachu niewiedzieli, co robić, obawiali się pokazać głowę na ulicy, chociaż zbrodnie ich nie były jeszcze znane wszystkim. Żaden z nich nie śmiał zjawić się u Igelströma, ażeby w tym pałacu, gdzie niedawno jeszcze spiski knuli, szukać schronienia i obrony. Przej-

mował ich lęk zdrajców, którym się zdaje, że zdrada już odkryta, a oczy wszystkich na nich patrzą...

Jeden tylko Ankwicz przytomności umysłu nie stracił, ale i ten do Igelströma nie pojechał jeno do króla, ażeby za jego pośrednictwem błagać posła o pomoc.

Król wiedział już od prezydenta o tem wszystkim, co się dzieje, a wystrzały i wrzawa miejska dopowiedziały mu reszty. Gdy przed zamkiem stanął Ankwicz, gwardja królewska pod dowództwem kapitana Strzałkowskiego na dziedzińcu zamkowym szykować się poczęła.

Stanisław August nie spał już, lecz przestraszony tem wszystkim, co się działo, zamknął się w swoich apartamentach i nie pozwolił do siebie nikogo puszczać, wydawszy esobiście rozkaz Strzałkowskiemu, ażeby tłumom mieszczan i rzemieślników bronił wejścia do zamku.

Strzałkowski odszedł, nic na to nie odpowiadawszy, i natychmiast począł szykować na dziedzińcu gwardję do wymarszu.

Ankwicz wpadł do pałacu; jako Marszałek Rady Nieustającej, miał wolny wstęp do króla.

Przed progiem jednak apartamentu królewskiego szyldwach go zatrzymał. Marszałek myślał, że to nieporozumienie.

Właśnie w tej chwili kamerdyner królewski; na korytarzu się ukazał.

— Potrzebuję widzieć się z Najjaśniejszym panem — rzekł niecierpliwie Marszałek.

— Najjaśniejszy pan spi... nie kazał nikogo do siebie wpuszczać.

Odpowiedź ta ubodła Ankwicza do żywego.

— Zbudzić króla! — zawołał wyniosłe.

Kamerdyner stał wahający się i pomieszany.

— Jeżeli zaszło co ważnego... — rzekł głosem niepewnym.

— Gdy Marszałek Rady Nieustającej o tej porze potrzebuje widzieć króla, widocznie, że ma do tego ważne powody.

Kamerdyner schylił się i przyciszonym głosem rzekł:

— Proszę...

Przyprowadził Marszałka do sali poczekalnej.

— Powiem Najjaśniejszemu panu o przybyciu Jaśnie Wielmożnego Marszałka.

Rzekłszy to, oddalił się.

Stanisław August siedział w tak zwanym małym gabinecie, ubrany już, jak od uroczystości i nikogo nie kazał puszczać do siebie. Obok niego na fotelu, stojącym opodal nieco leżał płaszcz gronostajowy, niedbale na poręcz rzucony, tak, że połowa jego zwieszała się na dywan posadzki, na stole leżała korona. Król, trzymając berło w ręku, leżące mu na kolanach, siedział z pochyloną głową, blady, zamyślony, podnosił tylko co chwila głowę, w gwar, dola-

tujący z miasta wsłuchiwał się, a wtenczas w oczach jego malował się przestrah, na twarzy zaś przelatywały nerwowe drgania.

— Idą już... tak.. idą... po mnie — szeptał przestraszony i wzruszony, — zginę... położę głowę pod gilotynę, jak Ludwik francuski... ale niech mnie jako króla stracą, w płaszczu królewskim... w koronie, z berłem w ręku... Tak, straszne losy...

Podnosił głowę, słuchał, — nagle znowu mu się oczy rozszerzyły z przestachu, porwał się z krzesła, dzwonek uchwycił i gwałtownie dzwonić począł.

— Idą po mnie... idą — wołał jak w obłąkaniu, stał z oczyma, nieruchomie utkwionemi we drzwi — i sam tu jestem... sam... nikogo do obrony...

Głos mu się wydobywał suchy, przyciszony, pełen jednak głębokiego bólu. Rozpacz wyrażała się w całej jego postawie, pełnej niepewności i trwogi. Bezsilny upadł na fotel.

Za drzwiami szmer dał się słyszeć, szmer, któryby nie doleciał do najdelikatniejszego słuchu, on jednak czuł drganie fal powietrznych całą swoją istotą, nietylko uchem.

— Już... — wyszeptał — i ręką oczy zakrywszy bezwładnie pochylił się na fotel, — ostatek król.

Wtem na progu kamerdyner ukazał się.

Stanisław August drgnął, oczy otworzył przestraszonym spojrzeniem na kamerdynera rzucił. Zdawało się, że stracił zupełnie przytomność.

— Co? Już przyszli?... — mówił szeptem prawie. — Dobrze! Gotów jestem... ubrany... pójdę na hańbę... zasłużyłem sobie.

Wyciągnął rękę po koronę, jakby ją pragnął ująć i na głowę sobie włożyć.

— Najjaśniejszy Panie! — odezwał się kamerdyner — Jaśnie Wielmożny Marszałek Rady Nieustającej pragnie się widzieć z Najjaśniejszym Panem.

Stanisław August zdziwionymi oczyma patrzył na niego.

— Kto? Co?

— Jaśnie Wielmożny Pan Ankwicz.

— Jakto? On z nimi? On także? Rękę podnosi na króla? On?

Kamerdyner zrozumiał przestach króla.

— Najjaśniejszy Panie... Zamek bezpieczny... Strzałkowski uszykował żołnierzy do obrony... — rzekł uspokajająco, o ile zdołał.

Wiadomość ta zdziwiła króla. Nie umiał pogodzić tego co słyszał z tem, co przed chwilą jeszcze dowiedział się od prezydenta.

Lżej trochę odetchnął.

— Prosić pana Marszałka... — rzekł.

Wszedł Ankwicz.

Był blady, pomieszany. Spojrzeli na siebie przestraszonymi oczyma.

— Najjaśniejszy Panie... — rzekł — złe się już stało... pospólstwo rzuciło się do broni i zbrodni...

Król, zdawało się, że się cały w słuch zamienił.

— A wojsko? — z ust mu się wyrwało.

— Wojsko stanęło po stronie pospólstwa... Powtórzą się sceny paryskie...

Stanisław August drgnął na wspomnienie tych krwawych scen.

— Cóż robić? — zawołał.

— Jedna tylko rada Najjaśniejszy panie...

Tu Ankwicz surowe spojrzenie w twarz króla utkwiał i mówił:

— Jedna... trzeba ażebyś pojechał Najjaśniejszy panie do Igelströma i o obronę go prosił...

Błada twarz króla pokryła się nagle rumieńcem.

— Nie, Mości panie Ankwicz, tego nie zrobię... Upokorzenie ma swoje granice.. Dałem mu znać o tem, co się stało, przez generała By-szewskiego — więcej nie uczynię.

— Wasza Królewska Mość nie jesteś tu bezpieczny... — wtrącił Marszałek.

Król wyprostował głowę i rzekł dumnie:

— Moje miejsce tu Mości panie Ankwicz,

nie w pałacu posła Carowej.. Jeżeli taka wola niebios, że naród ma walczyć bez króla i przeciw królowi — niech walczy...

Ankwicz westchnął.

— Zginęliśmy Najjaśniejszy panie... — rzekł ponuro.

Król nic nie odpowiadał.

— Myślałem, że jedno słowo Waszej Królewskiej Mości powstrzyma rozlew krwi niewinnej...

— Bezsilny jestem... — szepnął Stanisław August — niech się dzieje wola Boża...

Ankwicz zerwał się szybko z fotelu i w gniewie, bez pocałowania ręki królewskiej, z gabinetu wybiegł.

Stanisław August znowu sam został. Czuł jakieś głębokie wewnątrz rozbitcie moralne, ciężar, który go gniótł strasznie — ciężar myśli, sumienia, pod wpływem którego opanowywała go rozpacz rezygnacji, połączona ze świadomością zbrodni, dla której nie umiał nazwiska wynaleść.

W rękę trzymał berło; płaszcz królewski własnym ciężarem osunął się na podłogę — upadł i nie było komu podnieść go; korona Bolesławów, która świeciła niegdyś od brzegów Sali do brzegów Dniepru, od Pomorza po brzegi Pontu Euxyńskiego leżała samotnie na stole — sponiewierana, brudna...

Stanisław August patrzył na nią rozrzewniony, smutny, gorycz zalewała mu duszę, myśli.

— Król jestem... szeptał sam do siebie — król bez korony, bez władzy, bez wojska... a wkrótce może i bez państwa! Inni wkładają koronę dla sławy swego narodu, ja — dla hańby włożyłem. — i ręka byle czyja strącić mi ją może...

Wydany na pastwę własnego sumienia, król sam pozostał w pałacu — ze służbą jeno, niepewny nie tylko jutra, lecz każdej z tych chwil, które mu upływały wśród goryczy. Nie wiedział, co się robi, jak, nierozumiejący ani planu, ani celu tej walki, podjętej bez niego w imię obrony całości państwa i niepodległości narodu. Zausznicy, tchórze lub zdrajcy szeptali mu ciągle o rewolucji we Francji, o tragicznych losach Ludwika i krwawem widmem straszili małodusznego, trwożliwego króla, ażeby tem łatwiej zbrodnię lub intrygę własną ukryć mogli, a z króla uczynić narzędzie cudzej woli. Tak więc znalazł się Stanisław August na rozstajnej drodze, jak słup, na którym był niegdyś napis pożyteczny dla ludzi, — dziś czas i słowa starły napis, pozostał tylko słup, nieprzydatny dla nikogo.

Ten i ów ze służby przynosił mu wiadomość, że Polacy napadli na Moskali, lub Moskale na Polaków, że się biją zajadle, że ta lub owa ulica trupami zastana, a ciągle strzelanie z dział świadczyło, że to, co mówiono, było prawdą. Nikt jednak z walczących nie przyszedł do

niego spytać o rozkaz, o hasło, nie zdał mu raportu z przegranej lub zwycięstwa, — ot, stał na uboczu, nie jak król, lecz jak sprzęt niepotrzebny, jak grat stary, nieużyteczny nikomu.

Śród tej trwogi, pełnej upokorzenia, dopytywał się tylko służby o to, czy gwardja na miejscu, bo to była jedyna obrona jego.

Gdy tak siedział w zamyśleniu, uszy jego uderzył naraz huk bębnow, zwołujący żołnierzy do szeregu. Porwał się z fotelu.

— Co to jest? — wyrwało mu się mimowolnie.

W bębny uderzano tak gwałtownie, że szyby w zamku drżały od echa.

— W dziedzińcu biją... — przez myśl mu się przesunęło, — więc tu są już może... wpuszczeni zdradą..

Usta mu zbieleły ze strachu.

— Koniec! — wyszeptał z bolem i bezwładny upadł na fotel.

Tak jest, — głos trębaczów na dziedzińcu się odzywał. Cóż to jest? Słysząc wyraźnie nie tylko pobudkę alarmową, lecz wołanie jakiegoś, frenetyczne, gwałtowne.

Chaos w jego głowie powstawał. Wydobyl z siebie ostatki sił, z fotelu się zerwał i do okna zbliżył.

Strzałkowski szykował żołnierzy swoich. Wytaczano armaty, pudła z prochem i kulami...

Skrzypiały dawno niesmarowane lawety, z dźwiękami ściągano pokrowce...

— Czy to się do obrony szykują? — zapytał nie sam siebie.

Strzałkowski coś mówi do gwardji jego...

Naraz dziedziniec zamkowy zagrzemiał tysiącem głosów:

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszek!

Stanisław August stał chwilę za portjerą okna, patrzył na dziedziniec i słuchał; nagle przez myśl mu się przesunęło:

— A jeżeli i on mnie opuści?

Wrócił do biurka i dzwonić zaczął.

— Poprosić kapitana Strzałkowskiego — rzekł do kamerdynera.

Po chwili wszedł Strzałkowski.

— Co to się stało, mości kapitanie? — zapytał król, na spokój się siląc.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł Strzałkowski — nasi biją się z Moskalami...

Stanisław August nie wiedział na razie, co odpowiedzieć. Tak, Polacy biją się z najzacieźszym wrogiem swoim, a król z okien pałacowych słyszy echa walki, słyszy wołania: Niech żyje ojczyzna! — i siedzi spokojnie w murach swego zamku.

— Pozostawiasz mnie waszmość bez obrony... — rzekł.

— Najjaśniejszy panie, ojczyzna potrzebuje obrony — odpowiedział Strzałkowski.

— Składałeś mi przysięgę na wierność...

— Muszę być ojczyźnie wiernym.

Chciał mu się rzucić na szyję i zawołać: idź! idź! Szczęśliwy jesteś, że głos obowiązku rozumiesz..., lecz obawa o życie przeważała głos sumienia.

— Zostań Wąszmość — zawołał — życie moje jest w niebezpieczeństwie...

Strzałkowski odrzekł stanowczo:

— Nie, Najjaśniejszy panie! Nie mogę zostać! Wasza Królewska Mość jesteś bezpiecznym, a ojczyzna potrzebuje ratunku. Tam moja powinność — gdy ją wykonam, powrócę do Waszej królewskiej Mości.

Stanisław August wstyd uczuł.

Z dołu, z dziedzińca, dolatywały do komnaty królewskiej wołania:

— Niech żyje ojczyzna! Niech żyje Kościuszko!

Strzałkowski odwrócił się i wyszedł z pokoju, nie pożegnawszy króla nawet skinieniem głowy.

Stanisław August znowu sam został. Przebywał straszne męki.

— Ojczyzna... ojczyzna... — szeptał — przecież i ja ją kocham, o kocham... jestem jej synem dobrym, wiernym .. dlaczegoż wołają: niech

tyje Kościuszko! lecz nikt nie zawoła: niech żyje król! Nie jestem już królem...

Obiema rękoma, usiadłszy na fotelu, twarz sobie zakrył, tylko przez palce wysuwały się wyrazy, cicho sycząc, jakgdyby w pobliżu węże pełzały.

— Zawiniłem... obce ręce splamiły moją koronę... zostałem królem bez narodu...

Tak siedział ostatni król polski, tak jątrzył własne sumienie, gdy na ulicach Warszawy lud i wojsko walkę z wrogiem toczyły.

XII.

IMć pan Kiliński nie rzucił się na oślepie do walki. Według postanowionego planu miał rzeźnik Sierakowski napaść przedewszystkiem na kancelarję moskiewską w Rynku położoną i papiery wszystkie zebrać, nieprzeoglądając ich nawet. Kiliński zaś, mając przy sobie kilkuset ludzi, miał zaatakować pałac Igelströma i jenerała ująć. Moskale rozlokowani byli w różnych punktach — na Muranowie, pod Ujazdowem, przy pałacu posła, a oprócz tego małe posterunki pilnowały harmat, ukrytych w domach, naprzeciwko kościołów. Całe miasto stanęło na nogach tak szybko, że Moskale, jakkolwiek domyśleli się, co się święci, nie mieli jednak żadnych dyspozycyj, a pozostawieni sami sobie — tracili głowę. Tymczasem nasi wykonywali tylko plan.

Gdy więc Sierakowski z rzeźnikami otoczył kancelarję posła, rzemieślnicy cechowi, każdy

pod dowództwem swego starszego, odbierali po kolei harmaty, w domach ukryte. Działo się to bez żadnej trudności: gdzie tylko na murze albo na bramie spostrzegli nadpis S. S. S. S., który niczyjej uwagi niezwracał i wyglądał napozór na zabawkę zakowską, wpadali do dziedzińca i nieprzygotowaną Moskwę rznęli jak bydło. Przestraszeni i zdziwieni żołnierze nie mieli wcale czasu się bronić, a nie mając żadnego polecenia do strzelania, nie śmieli nawet zapalić lontów przy armatach.

Kiliński, mając sobie do pomocy kapitana Linowskiego, udał się najprzód na Miodową. Tu już dostęp do pałacu był zamknięty, a żołnierze, zająwszy prawie całą ulicę, stali w pozycji raczej obronnej, niż zaczepnej. Zresztą do obrony nie byli jeszcze gotowi — dopiero przed wjazdem do pałacu zataczano działa, a szło to powoli, opornie z powodu braku miejsca. Tylko szeregi piechoty, z dwóch stron ulicy, broniły wejścia.

— Tu bez harmat nie poradzimy — odezwał się Linowski.

— Są harmaty, kapitanie! — zawołał Kiliński.

— Gdzie?

— Na Muranowie stoi pięć dział moskiewskich; możemy w jednej chwili je zabrać! Luram Moskale jeszcze o nicze nie wiedzą!

— Dobrze! Trzeba tylko przeszkodzić, żeby z pałacu żadne rozkazy nie wychodziły... Masz tu Mości panie Kiliński tęgich strzelców?

— Każę im się stawić!

Kiliński zawołał na strzelców, więc z tłumu po kolei poczęli się wysuwać pojedynczo różni ludzie, w strzelby zaopatrzeni i przy Kilińskim stawali. Zebrało się tego około pięćdziesięciu.

— Aż nadto dosyć - rzecze Linowski.

Rozdzielił ich na dwie grupy i każdej starszego przeznaczył.

— Waszmość — odezwał się do jednego — rozstawisz swoich od ulicy Długiej... nlokujesz ich w oknach domów po dwóch... Jeżeli na ulicy pokaże się jaki ordynans moskiewski — strzelać do niego bez pardonu — kolejką, aż dopóki nie padnie... potem zrewidować i papiery zabrać... A teraz — marsz!

Zwrócił się do drugiego i tę samą dyspozycję powtórzył, poleciwszy ulokować strzelców od ulicy Senatorskiej.

Tu Kiliński do tłumu zawołał:

— A teraz, Mości panowie, za mną, na Muranów!

Kwandrans nie minął, gdy szewcy wpadli na kark Moskalom. Cały park artylerji moskiewskiej stał sobie najspokojniej. Wprawdzie dołatywała do nich wrzawa z miasta, bicie dzwonów, pojedyncze wystrzały, ale składali to

wszystko na karb uroczystości wielkanocnych. Rozkazów nie mieli żadnych. Tylko co żołnierze poczęli konie czyścić, gdy coraz bardziej zbliżający się hałas wydał się pułkownikowi moskiewskiemu zbyt podejrzany. Kazał bić na alarm — ale już było za późno. Poczęto wprawdzie konie zakładać, ale nie mieli już czasu dać ognia, gdyż tłum z kilkuset ludzi wielką falą uderzył na cały park. Z jednej strony taraban zwoływał żołnierzy, z drugiej garstka Moskali, nie widząc innego ratunku, bez wodzów, bez rozkazów, poczęła sama szykować się w czworokąt — i rozpoczęło się strzelanie bez ładu, dorywczo.

Krótko to wszystko trwało. Ciała szewców i krawców pobitych zgmiotły swoim ciężarem garstkę Moskali i rozpoczęła się zajadła walka na pięści, przy wtórze wystrzałów karabinowych, jęku trąbek i huku tarabanów. Powoli wystrzały rzadły, trąbki i tarabany umilkły, na bruku leżały tylko trupy naszych i wrogów, a na pobojuwisku dominował głos Kilińskiego.

— Zaprzęgać konie, wiara! A rychło!

Ci i owi rzucili się do koni, ale tylko do dwóch harmat zaprządz zdołali, reszta koni rozpierchła się. Pozostało jeszcze trzy działa bez zaprzęgu. Kazał się Kiliński ludziom zaprządz do nich i odprowadzić do arsenału, gdzie Kubicki broń rozdawał mieszczanom, a sam z dwiema

harmatami wrócił nazad, naradzając się po drodze z Linowskim, jakimby sposobem zdobyć pałac Igelströma? Jenerał, otoczony żołnierzami, siedział w swoim pałacu jak wilk w zasadzce i czekał, póki przyjdą wyzwolić go stamtąd. Postanowiono tedy wprowadzić działa do dziedzińca Krasieńskich. Załoczono je tak zgrabnie, że się Moskale ani spostrzegli, gdyż tłum ludzi, z przodu idący, zasłaniał je zupełnie prawie. Skierowawszy je tedy na ulicę Miodową, pełną Moskali, kazał Kiliński rozstąpić się ludziom i dać ognia kartaczami z dwóch działek naraz. Kłęby dymu zakryły na chwilę, i wrogów, i naszych, i ulicę zupełnie, lecz gdy się dym rozwiął, widać było na ulicy zamieszanie jak w mrowisku, gdy kto kamień w nie wrzuci. Środek ulicy świecił jeszcze pustką. Gdzie leciały kartaże, tam jakby ktoś przez zwarte szeregi wojska dziurę na wylot przewiercił, widać było pustą linję z końca w koniec ulicy, a ci, którzy ją do niedawna wypełniali, leżeli na ziemi.

Strzał ten był tak niespodziewany przez Moskali, że ogólną panikę wywołał. Po chwili ciszy dały się słyszeć dopiero rozkazy, odezwały się trąbki i bębny, a szeregi znowu się zamknęły i rozpoczął się rotowy ogień z karabinów. Równocześnie wyjechały z dziedzińca pałacowego działa i szykować się poczęły naprzeciwko naszych. Słyszeć było wyraźnie komendę mo-

skiewską, ile razy huk wystrzałów przyciszył się. Póki się Moskale szykowali, nasi zdołali znowu działa nabić i znowu wystrzelić.

Trupy zaściściły ulicę... Ale tymczasem Moskale nabili swoje działa i raz wystrzelić zdołali. Strzał był celny, bo prawie wszyscy ludzie, stojący przy działach, trupem legli, tak że gdy się powietrze oczyściło od dymu, widać było działa, stojące prawie w osamotnieniu. Moskale, spostrzegłszy to, krzyknęli po swojemu: hurra! i rzucili się na bagnety na naszych. Kawalerja moskiewska wpadła na oddział Kilińskiego i zaczęła się siekanina na miejscu — przygodna i w gruncie bezcelowa; tych kilka batalionów wojska, które na ulicy Miodowej skonsygnowane były, a z których mało co wyżej nad połowę pozostało, nie mogły opuścić stanowiska swego, gdyż musiałyby zostawić Igelströma bez obrony.

Gdy się tak rębanina przedłuża, nowy tłum ludu nadpłynął z Muranowa i Moskale cofać się poczęli.

Nasi ciągnęli za sobą trzy armaty.

Śród bezustannych wystrzałów i alarmu, tłumy ludu coraz większe, z trudnością tylko mogły się poruszać na placu, trupami zasłanym. Tu i ówdzie płonąć poczęły domy i do wtóru wystrzałów armatnich łączyły się krzyki niewiast i dzieci, wołających o ratunek. Nie było je-

dnak komu ratować. Pozwalano buć swobodnie płomieniom, a tylko bure dymy pożarów, sypiąc iskrami, zlewały się z szaremi obłokami dymów armatnich, napełniając powietrze zapachem prochu i spalenizny. Na tle tych dymów widać było gorączkowe, szybkie poruszanie się ludzi jakgdyby w jakimś tańcu piekielnym, i słychać jęki ranionych...

Moskale cofnęli się na Miodową, lada chwila oczekując posiłku. Już dziesięć kurjerów wysłano do księcia Gagaryna, ażeby podał do pałacu, gdyż tylko skupienie sił mogło umożliwić prawidłową walkę, lecz żaden nie wrócił, — dolatywały natomiast coraz gęściejsze wystrzały od Świętego Krzyża, które pozwalały wnioskować, że tam trwa także groźna walka. Wystrzały te rozwiązywały poniekąd zagadkę, dla czego Igelström siedział osamotniony, zamknięty na Miodowej ulicy, — Moskale musieli na każdym punkcie toczyć żartą walkę, wszystkie przejścia i ulice znaleźli zamknięte piersiami polskimi.

W utarczce Kilińskiego z Moskwą na dziedzińcu Krasickich, padł Linowski, kartaczem zwalony, ale śród walki nie spostrzeżono nawet tego. Gdy kawalerja moskiewska po nieudanej próbie rozpędzenia oddziału Kilińskiego i odebrania armat, cofała się na stanowisko na

Miodowej, nowy tłum ludu, jak powiedziałem, nadpłynął z harmatami z Muranowa.

W chwili cofania się Moskali przybiegł ordynans z Nowego Miasta z prośbą o pomoc Sierakowskiemu, który, zdoławszy szczęśliwie zabrać całą kancelarję Igelströma i ulokowawszy ją w Ratuszu, na innem już miejscu potykał się z Moskwą. Kiliński tedy, zostawiwszy część ludzi, ażbeby w szachu trzymać Moskali od Miodowej i straszyć od tyłu pałacu, krzyknął co siły:

— Na Nowe Miasto!

Rzemieślnicy poczęli ciągnąć działa, a Kiliński rozglądał się za Linowskim.

Porucznik Sosnowski, który adjutantował Kilińskiemu, powiada:

— Padł od kartacza...

Majster nie miał czasu westchnąć nawet.

Zdjął czapkę, przeżegnał się.

— Panie świeć nad jego duszą... — rzekł.

A potem, obróciwszy się do swoich ludzi, krzyknie, co sił starczy:

— Za mną wiara!

Posuwały się harmaty naprzód, a tłum za nimi.

Zabiega im drogę jakiś wyrostek bez butów, bez czapki, z koszulą rozdartą na piersi z okiem rozognionem i krzyczy:

— Moskwa na Koziej! Moskwa na Koziej!

A właśnie przez Kozią ulicę trzeba było przejść.

Wysunęli nasi jedno działo naprzód i ustawili je naprzeciwko wąskiej uliczki, sypnęli w Moskwę kartaczami. Ledwie Moskale złożyli się raz dać ognia ze swoich karabinów i kilkunastu naszych trupem położyli — sami zastali grubą warstwą wąską ulicę. Jedni tedy rzucili się do odbierania od nich karabinów i broni, a reszta po za Kozią, przez którą przejście było już niemożliwe, na Nowe-Miasto podążyła.

Gdy rzemieślnicy i mieszczanie odbierali harmaty i broń małym oddziałom Moskwy, które się skupić nie miały czasu i zniemacka zaskoczone, zmuszone były do walki, zakończonej wszędzie prawie zwycięstwem naszych, regularne wojska moskiewskie w prawidłowym szyku stawiały czoło. Jak tylko sygnał przez Kilińskiego został dany, zajęły dzwony na dzwonnicach, pułk Działyńskich, pod wodzą Hausmana, wyruszył z koszar, ażeby się przedostać do centrum miasta, gdzie cała walka koło pałacu Igelströma rozwinąć się miała.

Zdązał on na Rynek, a właściwie na plac Zygmunta trzema drogami od Tamki, od Końskiego Targu i od Nowego Świata, tak że w każdym oddziale było zaledwie po 200 żołnierzy. Tymczasem ks. Gagaryn we cztery tysiące żołnierza dążył na odsiecz Igelströmowi, gdy przez

Hausmana wystrzałami powitany został. Trzeba było przyjąć walkę, bo inaczej mógł się spodziewać, że pułk Działyńskich z tyłu na niego uderzy. Chwila była stanowczą. Oddział Gagaryna prawie siedm razy przewyższał ilością żołnierza pułku Działyńskich, osłabionego w dodatku przez podział na trzy części.

Gagaryn przeto, zajmwszy stanowisko na Krakowskiem przedmieściu, postanowił zamknąć przejście pułkowi Działyńskich.

Gdy Działyńscy ruszyli z koszar, przybiegł kurjer do miasta i dał znać o tem Kilińskiemu, a majster właśnie wtenczas jatki sprawiał Moskwie na Nowem-Mieście. Tak ich przycisnął do muru, że wystrzelawszy ładunki, nie mieli się czem bronić. Kiliński, mając na myśli, ażeby lecieć z pomocą Działyńskim, wołać na Moskwę począł:

— Złóźcie broń, sobaki! Złóźcie broń!

Któryś z żołnierzy, nie mając nic innego przy sobie, oderwał kawał koszuli i na bagnet okręciwszy, do góry podniósł.

Wszyscy chórem krzyknęli:

— Pardon panowie Polaki! Pardon!

W tej chwili oficer jakiś przyskoczył do żołnierza, który kawał koszuli na bagnecie trzymał i szablą pchnął go w piersi. Żołnierz runął na ziemię, a inni krzyczeli:

— Pardon Polaki! Pardon!

Oficerowie, wściekli, wołali:

— Na bagnety! Na bagnety!

Żołnierze jednak stali nieporuszeni, wołając w jeden głos:

— Pardon! Pardon!

Wtem z tłumu strzał wypadł i ten oficer, który żołnierza moskiewskiego przekłół pałaszem, na ziemię runął.

Kiliński począł krzyżeć:

— Złożyć broń i odstąpić!

Moskale począli karabiny na kupę rzucać, i szable odpasywać.

A tłum wrzeszczał, co się stało:

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszko!

W jednym momencie rzucili się Polacy na broń moskiewską i między siebie rozebrali, a majster kazał otoczyć jeńców i do arsenału odprowadzić.

Arsenał był próżny. Zabrano ztamtąd broń, działa, amunicje. Kubickiego już nie było. Wir walki porwał go z sobą.

Kiliński, rozbroiwszy Moskali i pamiętając o tem, że Działyńscy muszą już być na Nowym Świecie, zdecydował się objechać pałac Igelströma i zdobyć go z tyłu, spodziewając się, że Hausman z frontu zaatakuje z regularnem wojskiem i w ten sposób wezmą generała we dwa ognie. Nie przewidywał jednak, że Gagaryn skupi koło

siebie 4000 Moskali i dążyć będzie do zamknięcia drogi pułkowi Działyńskich. Wpadłszy na Senatorską, posłyszał, że się w stronie Krakowskiego biją. Harmaty grzmiały co się zowie. Nie było wątpliwości, że Moskwa zwała się z naszymi. Doświadczeni puszkarze twierdzili, że koło św. Krzyża wre walka.

Tymczasem w mieście tworzyły się kupy i tłumy kilkotysięczne nieraz, napadające na kaziądę garstkę Moskali, lecących jak ćmy do światła, na huk dział.

Ks. Gagaryn prażył z kartaczy oddział Hausmana, nie wiedząc o tem, że od Tamki i od Końskiego Targu zbliża się pomoc. Od Tamki wysuwały się świeże kolumny pułku Działyńskich a od Końskiego Targu kilka tysięcy mieszczan, krzycząc na całe gardło:

— Śmierć Moskalom! Niech żyje Ojczyzna!

Kiliński przez dziedziniec Saski także z pomocą Działyńskim podążał.

Gdy się to dzieje, ksiądz Mejer, który na plebanji Świętego Krzyża mieszkał, wyskoczył na dziedziniec z karabinem w rękę i sadził wprost na dzwonicę święto-krzyską, gdy przez bramę zoczył pędzącego galopem Kubickiego.

Krzyknął na niego dzikim głosem:

— Stój! Stój!

Kubicki mimowoli zatrzymał się, spojrzął po za siebie i poznał księdza Mejera. Nie cze-

kał, aż się go zapyta: dokąd jedzie? — jeno mu z konia rzucił:

— Pędzę do Hausmana, ażeby posłał po harmaty na sukurs.

— Czekaj! Stój! Nie trzeba! — wołał ksiądz rozgorączkowany.

Ściągnął go gwałtem prawie z konia.

— Słuchaj — mówił — pokazując palcem harmaty moskiewskie, — one nie puszcza naszych...

Kubicki nie mógł zrozumieć, o co księdzu chodzi.

— Patrz — mówił ksiądz Mejer — mam pełen worek nabołów...

Ręką po torbie się uderzył. Idę na wieżę święto-krzyską, a ty siądź w oknie Schulerhausu, koło pałacu Tyszkiewicza, a stamtąd zastrzeliny każdego kanoniera, który lont zapalony podniesie do działa...

Kubicki zrozumiał, o co chodzi. W jednym momencie rozbiegli się obydwaj.

Ksiązę Gagaryn miał sześć dział za sobą, z których ciągle szedł ogień przez kilka minut. Ci, którzy z wież kościelnych i z okien domów patrzyli, widzieli tylko miganie zapalonych lontów, błysk z paszczy armatniej, a potem ogień wylatywał wraz z dymem i huk wstrząsał powietrzem.

Znowu lont mignął w powietrzu, chwieje

się, do harmaty się zbliża, — jeszcze chwilka — a z paszczy działa posypią się kartacze... Ale cóż to znaczy? Lont pochylił się nagle i spadł.. W innym miejscu błysnął w górze — miga, chwije się, pochyła się nad harmatą — spadł znowu.

Na razie nie można było sobie zdać sprawy z tego, co się dzieje. Ogień rotowy nie ustawał, Działyńscy prażyli z armat, a gęste dymy, jak obłok wisiały nad miastem; tylko od czasu do czasu lekki powiew wiatru dymy rozwiewał i okopcone kolumny wojska okazywał. Nagle wydawało się, jakby działa moskiewskie strzelać przestały.

Była przyczyna po temu.

Ile razy kanonier lont zapalił i niósł go do działa, zanim się schylił i do panewki przyłożył, padał strzał z wieży Świętego Krzyża lub z pałacu Tyszkiewicza, jeden po drugim, jak na komendę — i kanonier nie doniósł lontu! Każdy zwał się na harmatę i sam ciałem swoim lont gasił... Śród huku wystrzałów i wrzawy, na ten ognik, który co pewien czas migał na wieży kościelnej nikt prawie uwagi nie zwrócił.

Książę Gagaryn, słysząc, że działa przestają strzelać, wściekły przyleciał i krzyczał:

— Ognia!

Zapalały się nowe lonty i gasły. Obok

harmat stos trupów się utworzył i tamował przystęp innym. Gagaryn porwał sam lont, zapalił i darł się po trupach do harmaty... Mignęło znowu światełko na wieży Św. Krzyża, dym z płomieniem wyleciał — i księżę zważył się, jak długi na działa!

W tej chwili prawie pokazała się kolumna pułku Działyńskich, wysuwająca się od Tamkia od Końskiego targu leciał Sierakowski. Moskale, nie mogąc się bronić na całej linii, poczęli budować czworobok, gdy od placu Saskiego nagle wpadł na nich Kiliński.

Nie wytrzymała Moskwa, pierzchła, a nasi ze wszech stron rąbać poczęli, nie pytając o nic. Darli się przez trupy jedni do drugich i z nożami rzucali się na piersi moskiewskie. Daremnie Moskale wołali: pardon! — i białą chorągiew wywieszali — nie było przebaczenia...

We dwie lub trzy godziny po południu już przeważne siły moskiewskie były rozbite; trzymali się tylko Moskale w pałacu i ogrodzie Kraśińskich, w kościele i klasztorze Kapucynów, w domu Igelströma, naprzeciwko Kapucynów i w ogrodzie Gdańskim. Trzymali się bez nadziei zwycięstwa, bez nadziei nawet uratowania życia, gdyż każdą garstkę otaczało kilka lub kilkanaście tysięcy mieszczan i rzemieślników.

Prusacy, o kilka mil rozkwaterowani od

Warszawy, na huk dział zbliżyli się do miasta i stanęli obozem pod Powązkami.

Gdy się wiadomość ta rozbiegła po mieście, nie odebrała bynajmniej odwagi nikomu, nie przestraszyła nikogo; przeciwnie, zdawało się, że męstwo wszystkich rośnie z niebezpieczeństwem. Prusacy zajęli pozycję wyczekującą. Nie wiedzieli, jak rzeczy stoją i nie mieli z kim porozumiewać się. Byliby może przybyli z pomocą Moskwie, ale Igelström nie chciał prosić o pomoc.

Wiadomość o zbliżeniu się Prusaków w ni-czem biegu rzeczy nie wstrzymała. Obsadzono tylko artylerją pozycje obronne, na znak, że miasto nie myśli się wcale poddać.

Gdy obywatele miasta łącznie z wojskiem po krwawej i długiej walce odpoczywali nieco, Kapostas wynurzył się ze swego bernadyńskiego habitu i zabrał się także do roboty.

Na Starem Mieście nie było prawie walk z Moskwą, panował więc tu względny spokój. Kapostas skorzystał z tego i gdy już około południa szala zwycięstwa przeważała się na naszą stronę, zwołał starszych obywateli i mieszczan do ratusza na naradę. Działał tu jako pełnomocnik Naczelnego wodza i jego instrukcje spełniał.

Zgromadzonym radnym wyłuszczył, jak rzeczy stoją, o powstaniu Kościuszki, o przystąpieniu do niego Krakowskiego i całej Polski, opo-

wiadał o celu powstania i o potrzebie zorganizowania nowej władzy. Przedewszystkiem zacząć należało od wyboru nowego Prezydenta, któryby duchem czuł i działał nie z Moskwa, lecz z Polakami. Proponował od siebie Zakrzewskiego, a Mokronowskiego na komendanta miasta, — gdyż takie było życzenie Naczelnika. Zalecił im w jego imieniu utrzymanie w mieście spokoju i porządku, o ile tego dobro publiczne będzie wymagać.

Ku końcowi posiedzenia Kiliński, jakoteż inni radni, którzy osobisty udział w walce wzięli, do Ratusza przyszli i wybór Zakrzewskiego zaakceptowali.

Nie było go na posiedzeniu. Wnet wysłano do niego deputację z tem, ażeby się niezwłocznie stawił.

Już noc zapadła, gdy przyszedł nowy Prezydent i przyjął proponowane stanowisko zgodził się.

Kapostas, idąc za wskazówkami Kościuszki, radził, ażeby wybór był za wiedzą króla, który nominalnie przynajmniej najwyższą władzę reprezentował, a więc wszyscy radni wraz z nowym prezydentem do zamku się udali.

Tymczasem wojsko i ludność biwakowały na ulicy. Ponieważ noc się zbliżała, po wszystkich ulicach zapalono beczki smolne lub stosy drzewa, a to z obawy, ażeby się Moskwa

nie wymknęła, gdyż nazajutrz dopiero miano zakończyć z nią walkę.

O istnieniu króla wszyscy wśród walki zapomnieli.

Stanisław August siedział w pałacu bez straży wprawdzie, lecz bezpiecznie. Naród walczył bez niego. Niepewność dręczyła go przez dzień cały; wśród huków wystrzałów armatnich, jęków i wołań przesuwają mu się w myśli te wszystkie strachy o terrorystach francuskich, któremi gnębił go Igelström i jego poplecznicy; był przygotowany na wszelkie ekscesa, gwałty — a tymczasem stało się odwrotnie: o nim zapomniano. Uspokajał się powoli. Gdyby nie sekretarz, który niewiadomo gdzie się podział, byłby kazał rozrywać siebie czytaniem.

Nagły hałas na zjeździe, prowadzącym do Wisły i dolnych apartamentów pałacu, obudził go z chwilowego uspokojenia. Wyjrzał przez okno — tłum ludzi z pochodniami ku Wiśle dążył.

— Po mnie już idą — pomyślał.

Słuch nateżył i wzrok, ażeby sobie mógł zdać sprawę z tego, co by to za zbiegowisko być mogło, co znaczył ten tłum, te pochodnie.

Dolatywały go tylko frenetyczne wołania:

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszek!

Błyszczał mu w myśli nóż gilotyny. Wzdrygnął się cały.

— Ach, to okropne... — wyszeptał.

Cały tłum wprost do zamku walił. Król porwał się przestraszony od okna, instynktem samozachowawczym pobudzony i rzucił się do drzwi, ażeby na straż zawołać.

Przypomniał sobie jednak, że gwardja jego wyruszyła do walki, więc na środek pokoju cofnął się i dzwonić począł.

Ktoś wszedł. Król obłąkanem okiem na niego rzucił.

— Zatarasować dziedziniec! Nie puścić nikogo! Służbę całą zebrać do obrony! Szablę mi moją podać! Szablę!

Krzyk gwałtowny i wzruszenie ubezwładniły go. Upadł na fotel.

Służący ani się ruszył z miejsca.

Królowi zdawało się, że już za późno. Obawa rozbudziła w nim siłę.

— Bramę zamknąć! Strzelby rozdać! — wołał.

— Za późno, najjaśniejszy panie! Już są w dziedzińcu!

Jakby na potwierdzenie tego, z wnętrza zamku wyrывały się przytłumione wołania:

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszko!

W tej chwili wbiegł paź do pokoju.

— Najjaśniejszy panie! Prezydent z radnymi proszą o pozwolenie widzenia się z najjaśniejszym panem.

Z ust mu się wyrwało mimowolnie:

— Proszą?...

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

Pomyślał chwilkę.

— Muszę pójść... Będę czekał, aż przyjdą tu i wywloką mię na krążganek?

Poprawił na sobie ubranie machinalnie.

— Prosić pana Prezydenta i radnych — rzekł wreszcie.

Wszedł Zakrzewski na czele radnych. Kapostas, znany królowi osobiście, odezwał się w te słowa:

— Najjaśniejszy Panie! Przemoc moskiewska usunęła ze stanowiska prezydenta, któregośmy wolnymi głosami wybrali; dziś, gdy przy Bożej pomocy przemoc przemocą została zwalczona, wola narodu powołuje na Prezydenta J. W. Zakrzewskiego. Prosimy Cię, Najjaśniejszy Panie, ażebyś wybór nasz zatwierdzić raczył.

Stanisław August tak był zdziwiony i uradowany tem przemówieniem, że przez chwilę głosu wydobyć z piersi nie mógł.

Odezwał się wreszcie.

— Zasługi wybranego przez was, Mościpanowie, prezydenta są znane i skoro potrafił zdobyć sobie miłość waszą, skoro wola narodu wy-

niosła go na to stanowisko, ja mogę się tylko cieszyć z tego, ofiarując mu moją łaskę...

Naraz sala cała zatrzęsa się od okrzyków:

— Niech żyje Kościuszkę! Niech żyje król!

Od dawna już nie słyszał tego wołania. Wzruszyło go ono do głębi, do łez, któremi oczy nabiegły. Czuł, że z tymi ludźmi mógłby być szczęśliwym i potężnym, a stał się tylko męczennikiem Moskwy i własnego sumienia.

— Mościpanowie! — odezwał się drżącym głosem — szczęście ojezyny było mojem pragnieniem, celem życia, rozkoszą moich marzeń...

Urwał, jak gdyby nie chciał powiedzieć, że stało się nieszczęściem narodu, zmorą mego sumienia, która owysey na piersi mi siada i dusi, dusi... krewysaco n.. życie zatrawa...

— Wasi wrogowie byli moimi wrogami... ale... teraz... — słowa mu się plątały, plątały myśli — sam jestem .. opuszczony...

— Najjaśniejszy Panie! Miłość dla ciebie, związana z miłością ojezyny, idź tylko z nami...

— rzekł Kapostas.

Na dziedzińcu zamkowym słyhać było wołania:

— Niech żyje Ojezyna! Niech żyje Naczelnik!

— Ten tłum Najjaśniejszy Panie przed chwilą zwyciężył najcięższego naszego wroga.., sam... bez wodzów, bez hetmanów, bez pieniędzy bez broni prawie, cóżby to była potęga, co za

siła, gdybyś ty Miłościwy Panie na czele narodu stanąć pragnął, gdybyś szedł z nim razem...

Stanisław August, pod wpływem uczucia dobrej woli, które w jego słabem sercu miało dużo miejsca, instynktownie prawie, rozrzewniony, wzruszony na krążganek poszedł, za nim dążył prezydent Zakrzewski i radni. Król stanął bez kapelusza na głowie, jakby przeczuwał że w tym obszarpanym tłumie, w tych ogorzałych rękach, które przed kilku godzinami zdobywały harmaty, w tych twarzach osmolonych, powalanych zeszlą krwią moskiewską, jest przyszły majestat potęgi i siły narodu.

Zapalone latarnie, płonące pochodnie i bezczki oświetliły dostatecznie króla, jakoteż cały, orszak, towarzyszący mu. Żaden jednak głos nie zdobył się na powitanie króla — z ukazaniem się jego zapanowała cisza.

— Stało się według woli i życzenia Waszego Mości Panowie — odezwał się król — potwierdzam wybór waszego prezydenta i z całego serca życzę wam pożytecznych owoców z pracy.

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje król! — tłum ryknął, a wołania te powtarzały się kilka krotnie i długo.

Król stał na krążganku jak przykuty. Zdawało mu się, że nowe jakieś drzenia słyszy w tem wołaniu, że czuje w nich siłę, której przedtem nie było.

— Tak, to potęga — myślał, — która nieświadomie niszczy i nieświadomie buduje, zależy to od ręki, kierującej nią... Szczęśliwe narody, które jej do budowy państwa użyją.

Tłum wśród okrzyków: Niech żyje król! rozchodzić się począł z dziedzińca.

Deputacja zapowiedziała tylko królowi, że życzeniem Naczelnika jest natychmiastowe sformowanie „Tymczasowej Rady Narodowej“, która ma działać z ramienia Naczelnika, aż do jego przybycia; że jutro, albo dziś jeszcze w nocy Rada sformowaną zostanie, o czem powiadomią Króla.

Po wyjściu deputacji, Stanisław August starał się zdać przed sobą sprawę z tych sprzeczności, jakie zachodziły między tem, co słyszał, a tem, co widział. Przestraszony myślą, że polscy terroryści dążą do zburzenia wszelkiej władzy i na życie jego czyhają, przekonał się, że o jego śmierci najmniej myślano.

— Tak... — zakończył swoje rozmyślanie, — naród, który o niepodległość walczy, ma coś więcej do czynienia, niż myśleć o niedołącznych królach... Ach, czemuż mnie Pan Bóg siły nie dał!

XIII.

Po powrocie od króla utworzono natychmiast Radę Tymczasową, wysłano raport do Kościuszki, a do pilnowania zamku osobny oddział pod komendą Kilińskiego. Ostatnia ostrożność okazała się o tyle potrzebną, że papiery, zabrane z kancelarji Igelströma, miały jakoby zawierać kompromitujące króla wiadomości. Skorsi przeto do wybryków ludzie, poczęli się odgrażać, że należy króla, jak innych, przed sądem stawić.

Wszyscy byli pewni zwycięstwa. Ani ta garstka Moskali, która pozostała jeszcze, niezdolną była do obrony, ani kilka tysięcy Prusaków nie mogły zdobyć Warszawy, nawet w takim stanie, jak rzeczy stały. Uważano to tylko za chwilową demonstrację z ich strony, gdyż na tyłach pruskiego wojska siedział Kościuszko, mogli więc byli być wzięci łątwą we dwa ognie, gdyby na serjo o oblężeniu Warszawy zamyślano. Obecności Prusaków pod Warszawą nie

można było przeto inaczej sobie wytłumaczyć, jak tylko chęcią króla pruskiego wytargowania czegoś na Moskwie. Pozycja jej była bardzo złą, należało się przeto spodziewać, że carowa z prośbą do niego o pomoc się uda, a wtenczas coś mu się za tę pomoc okroi.

Tymczasem carowa o pomoc nie prosiła, a król pruski zajmował stanowisko, grożące Polakom, a wyczekujące względem Moskwy.

Ani ludność Warszawy jednak, ani Rada Tymczasowa nie zwracały wcale uwagi na te polityczne demonstracje: ludność biła Moskali a Rada organizowała wewnętrzne stosunki i obmyśliwała wraz z Mokronowskim sposoby zorganizowania siły ludu i przekształcenia jej na wojsko regularne.

Nazajutrz rano Mokronowski i Zakrzewski udali się do króla, powiadamiając o utworzeniu się Rady Narodowej, a równocześnie prosząc o pośrednictwo do Igelströma. Walka Moskali nie miała przed sobą żadnych widoków powodzenia. Gdy królowi przedłożono położenie rzeczy, łatwo się z tem zgodził, że Igelström najlepiej zrobi, jeśli dla zapobieżenia niepotrzebnemu rozlewowi krwi, z resztą pozostałego mu wojska podda się.

Wysłano tedy trębacza, ażeby na pardon Moskalom otrąbił.

Dzień już świtać poczynął — drugi dzień walki — gdy Moskale, zamknięci na Miodowej,

do walki przygotowywać się poczęli. Jeszcze z nocy zamknęli niskimi barykadami ulicę z obu stron, a na tyłach ogrodów z części rozebranych budynków i sprzętów utworzyli szaniec.

Nie mieli oni pojęcia o tem, co się dzieje koło nich. W nocy tylko zdołali przyłapać paru rzemieślników, od których się dowiedzieli, że wojska pruskie stoją pod Powąskami. To dodało im większej energii do obrony, gdyż przypuszczali, że Prusacy na Warszawę uderzą, rozdwoją siły, zamęt sprawią, a przez to samo obronę Moskwie ułatwią. Poczęli się tedy do tej obrony sposobieć energicznie.

W takiej chwili rozbudzenia się nadziei, zjawił się na Miodowej trębacz polski.

Igelström już był na koniu; objeżdżał baterje i żołnierzy i osobiście rozkazy wydawał. Trębacz propozycję kapitulacji mu powtórzył.

— Nigdy! — zawołał jenerał, a oczy błyszczały mu, jak u hyeny.

Rękę gwałtownym ruchem wyciągnął i palcem wskazał trębaczowi działa.

— Mam kól i prochu dosyć. Wystarczy mi na to, ażeby was wszystkich wymordować! Powiedz to swoim...

— Czy Wasza Ekscelencja nic więcej do zakomunikowania nie ma?

— Nic więcej! — odrzekł stanowczo.

Trębacz odjechał.

W tej samej chwili rozległy się wystrzały od ogrodu kapucynów. Było to rozpoczęcie ataku na Moskali.

Igelström naradzał się z adjutantami swymi — Zubowym i Apraksynem. Postanowiono zwlekać w tej intencji, czy Prusacy pierwszego kroku nie uczynią. Zgłaszać się do nich o pomoc Igelström nie chciał — nie miał pozwolenia.

— Zubow! Jedź do króla... — zawołał generał — powiedz, że przed nim kapitulować będę — przed tym motłochem — nigdy!

Adjutant z trębaczem popędził na Zamek.

— Kapituluje! kapituluje! — rozległy się wołania.

Radość opanowała wszystkich.

Nie była to jednak kapitulacja, lecz szukanie zwłoki. Król wdawać się w żadne pośrednictwo nie chciał, a Igelström utrzymywał, że nie ma przed kim kapitulować. Jeździli tedy Zakrzewski i Mokronowski do generała, niby układać się o punkta, lecz było rzeczą zbyt widoczną, że Moskale na zwłocę tylko chcą zyskać.

Tak kilka godzin upłynęło. Niecierpliwiło to ludność do najwyższego stopnia.

Gdy trwają tedy pertraktacje bez żadnego rezultatu, Moskale nieprzestają ani na chwilę sposobić się do obrony i szukać środków przebicia się przez miasto i tłumy ludu. Czekano tylko na przyjazd Zubowa, który ponownie do króla

się udał, ażeby uderzyć na bagnety i przedrzeć się na Powąski.

Igelström kazał przy sobie ustawiać działa i celował osobiście, gdy Ilin, stojący obok, zapytał go:

— Jenerale! Mamy jeszcze kilkunastu więźniów w piwnicach, co z nimi robić?

Igelström głowę nagle podniósł.

— Co? — zapytał z gorączkowem niezadowolaniem, jakby się gniewał, że go w takiej błahostce o radę pytają. Wymordować.. wszystkich... kiedy wojna to wojna! Wysłać tam dwóch żołnierzy z bagnetami, niechaj skłują!

W podziemiach pałacu Igelströma była także zamkniętą Zosia.

Dawniej przynoszono jej dwa razy na dzień pożywienie — żołnierskie, ale od dwóch dni nikt się nie zjawił. Żyła zapasami sucharów, które bezmyślnie, nie przewidując nawet, że jej będą potrzebne, składała w kącie piwnicy.

Do tego jednak ponurego kąta wpadł nagle promień radości i nadziei, — były to echa wrzawy, krzyków, pojedyncze tony dzwonów, i huki wystrzałów armatnich; głucho rozlegające się w podziemiu. Słyszała tentent jakiś i drzenie ziemi, które się murom udzielało. Gdy tylko skonstatowała prawdziwość swoich wrażeń, odrazu stanął jej w myśli cały obraz walki.

— Biją się nasi! — wyszeptwała.

Radość ją ogarnęła na tę myśl. Przytuliła ucho do drzwi, natężyła słuch... Tak, to wystrzały armatnie... to ludzie krzyczą... — Już... już się biją...

Nagle uczuła, że ją w oczach coś pali... i płakać poczęła. Nie były to łzy smutku i rozpacz, lecz wzruszenia i radości. Nie potrafiła zapanować nad sobą. Gdyby miała przed sobą ojca i matkę, byłaby się im na szyję rzuciła, podzieliła tą radością, może zdołałaby ją w sobie zamknąć, a teraz? Czyż się miała wstydzić łez swoich?

Krzyki wyraźnie zbliżały się ku niej. Nie słyszała wyrazów pojedynczych, ale z drżenia echa, z tłumionych głosów, które przedzierały się przez zamki i mury, odgadywała zwycięstwo. Różne myśli, jedna przed drugą, snuły się jej po głowie, ale żadna nie przynosiła pewności.

Śród takiej niepewności posłyszała nagle chrzęst i łomot jakiś w pobliżu — był to zgrzyt piekielnej broni, zmieszany z wrzaskiem ludzkim, z hukiem harmat. Wydało się jej, że coś nadzwyczajnego dzieje się w pobliżu, że nad jej głową runie sklepienie i zagrzebie ją na wieki.

Przytuliła ucho do drzwi i nasłuchiwała.

— Już są tutaj... blisko... może to nasi idą?

Serce uderzyło jej radosnem drżeniem na tę myśl.

W tem wydało się jej, że słyszy wyraźnie wołania :

— Hura! Hura!

Wołaniu temu towarzyszyły głuche łoskoty wystrzałów armatnich.

— To Moskale... — przez myśl jej przeszło.

Nie miała czasu na dalsze rozumowanie, bo w tej samej chwili prawie postyszała kroki czyjeś na korytarzu.

Ktoś się zbliżał do jej więzienia.

Zgrzytnął zamek w drzwiach, a na progu ukazała się postać moskiewskiego oficera.

Był to Ilin.

Zosia nie znała go wcale, a gdyby i znała była, nie mogła go poznać w zupełnej prawie ciemności, jaka w podziemiach pałacu Igelströma panowała. Okienko celi więziennej, w której zamknięto Zosię, było malutkie, jak w piwnicy i w górze osadzone, tak wysoko, że nie miała nawet pojęcia, w jaką stronę wychodziło.

Gdy się drzwi więzienia otwały, Zosia stanęła prawie oko w oko naprzeciwko Ilina. Oswojona z ciemnością, dostrzegła wyraźnie zarys jego twarzy, okolonej długą brodą. Oczy tylko migąły mu niby światełka jakie w ciemności.

Dziewczyna stała przestraszona i zdziwiona tem nagłym zjawieniem się nieznanego człowieka.

Ilin wydawał się pomieszanym, wzruszonym.

— Uciekaj stąd! — zawołał po polsku.

Zosia, rozszerzone ciekawością i uwagą źrenice, utkwiała w niego.

— Uciekać?... Co?... Dokąd?...

Ilin czuł, że jeszcze coś powiedzieć trzeba.

— Nasi walczą... Walka wre straszna...

Wpadną tu lada chwila, wymordują was...

Wyrazy te przykuły dziewczynę do progu więzienia.

— Wymordują?... Dobrze... niech mordują...

Oficer porwał ją za rękę i ku sobie pociągnął.

— Uciekaj... za mną... pokażę ci drogę... za chwilę będzie już późno...

Ciągnął ją ze sobą w ciemną głębię korytarza.

Zosia poddawała się zupełnie woli nieznanego człowieka; szła — nieświadoma nawet tego, że idzie.

A tymczasem tuż za drzwiami grały działa, huczały karabiny, a zapach dymu wciskał się aż do podziemi

Ilin prowadził ją napółciemnymi korytarzami. Wyszli na malutki tylny dziedziniec, murem opasany, z poza którego wierzchołki drzew wyglądały.

— Tędy pójdziesz... — rzekł, zatrzymując

się przed murem i tajemną skrytkę otwierając —
Ogrodami wyjdiesz na Senatorską... Pamiętaj,
nie wszyscy Moskale podli. .

Skrzypnęła furteczka i Zosia w jednym
momencie znalazła się w ogrodzie jakimś.

Spojrzała w górę na kopuły kościołów,
zorjentowała się w jednej chwili — i poszła.

Tymczasem na Miodowej trwała zazarta
walka. Garstka Moskali broniła się z rozpaczliwą
odwagą. Na chwilę tylko ustawało strzelanie,
a wtedy widać było parlamentarzysty Igelströma
pędzących do Zamku i wracających. Jenerał
zwlekał widocznie, do króla posełał, chociaż wie-
dział, że się wszystko robi po za plecami
króla, a po powrocie parlamentarza, znowu bi-
twa rozpałała się z dawną gwałtownością.

Gdy tak rzeczy stały, nagle koło pałacu
Igelströma, a właściwie na tyłach jego, w pozy-
cji niedostępnej zupełnie, bo bronionej szeregiem
kamienic, murów, ogrodów, dał się gwar słyszeć
coraz bardziej rosnący i wreszcie roległy się dwa
wystrzały armatnie.

Wystrzały te z boku, ze strony niespodzie-
wanej, zaalarmowały Moskwę.

Zubow zwrócił się do Igelströma.

— Ekscelencjo! Polacy już zaszli od Sena-
torskiej ulicy.

Jenerał zgrzytnął zębami ze złości. Ale po

chwili brwi zmarszczył, a usta mu pobieleły, jak kreda.

— Zginęliśmy... — szepnął.

— Trzeba się przeciąć przez plac Krasińskich i ogród... — wtrącił Zubow.

— A potem?

— Przez Muranów na Powąski...

Jenerał zrozumiał, co to znaczy. Trzeba było uciekać do Prusaków.

Tymczasem od tyłów pałacu, od ogrodu coraz natarczywiej płynęły głośne wołania tłumu, a coraz gęściej biły działa. Wreszcie płomień buchnął na strychu pałacu.

Skąd-że ten niespodziewany atak powstał?

Zosia, wydostawszy się cudownym sposobem z więzienia, dała znać o możności zaatakowania pałacu Igelströma z boku, od ogrodów. Przez bramy i furtki zdołano przeciągnąć dwie harmaty, które Zosia przyprowadziła do skrytki, wskazanej jej przez Iliną. Wsunęto w nią paszczę działa i przez zrobiony otwór w murze poczęto dawać ognia z boku na Moskali, skupionych na środku Miodowej.

Gdy się tedy z tej trzeciej strony rozpoczęła niespodziewana kanonada, Igelström kazał zdobyć działa z bagnetem w rękę. Nie było to rzeczą bynajmniej tak łatwą, jak się zdawało, gdyż za działami stało około trzech tysięcy ludu, uzbrojonego w dobre karabiny.

Szalonym atakiem Igelström postanowił ratować sytuację, pragnąc tym krokiem zuchwałym zamaskować plan, powzięty w chwili, kiedy się przekonał, że istotnie ratunku nie ma. Jenerał, przebrany w mundur prostego żołdaka, kazał również uderzyć na tłum, oblęgający go od placu Krasińskich, ażeby wśród zamieszki wojennej szukać szczęścia w ucieczce.

Inna garstka Moskali nacierała na działa, grzmiące od ogrodu. Tam przez rozebrany mur wdzierają się już tysiąc Polaków, a na czele ich pędziła Zosia krzycząc na cały głos:

— Tędy! Tędy! Tu są jeszcze nasi!

Oficer, dowodzący Moskalami, poznał ją i huknął do swoich:

— Na bagnety tę Laskę!

Kilkanaście bagnatów skierowało się na nią — i Zosia zawisła w powietrzu...

W pomoc im pędziła nowa garstka Moskali z bagnetami, podniesionemi do góry, ażeby wiążąc w powietrzu bokiem Zosię skłuć do reszty; lecz w tej chwili buchnął płomień z paszczy działa, a cała gromada żołnierzy, trzymających Zosię, jak kosą skoszona, ziemię zasłała...

Upadła wraz z nimi i Zosia, ale wnet za tym wystrzałem sypnęli się hurmą rzeźnicy i zaczęli siekać Moskwę. Kilka minut tylko rzeź trwała, gdy wśród brzęku chłodnej broni rozległo się wołanie:

— Pardon, Polaki! Pardon!

Moskale do nóg rzucać się poczęli naszym. Kto miał cośkolwiek białego przy sobie, zatykał na bagnet i w górze powiewał, albo, czapkę z głowy zdjawszy, kiwał nią w powietrzu:

— Igelströma zabrać! Igelströma! — wołano.

— Zamordować tego tygrysa!

-- Zakłuć psią krew!

— Do niego prowadzić!

Ci, którzy pierwsi z muru na dziedziniec skoczyli, zoczywszy Zosię, leżącą między zabitymi Moskalami, wnet ją stamtąd wydobyli i do ogrodu zanieśli. Okazało się, że szczęśliwa dziewczyna uszła i tym razem śmierci, dzięki tylko temu, że Moskale, zaczepiwszy bagnety o suknię i spodnicę, podnieśli ją wprawdzie do góry, ale zakłuć nie zdołali. Otrzymała tylko kilka ran, nie bardzo głębokich — lecz uszła cało.

Tymczasem Sierakowski, zdobywszy pałac jenerała, począł się za Igelströmem oglądać, ale Igelströma już nie było.

Uciekł do Prusaków, stojących obozem pod Powązkami...

Gdy tu, koło pałacu, gdzie wrzała najcięższa walka, od niedobitków moskiewskich dowiedziano się o ucieczce posła najjaśniejszej imperatorowej Wszech Rossji i aljantki Rzeczypospolitej, ludność Warszawy nie domyślała się jeszcze niczego. Zapał i zawziętość na jenerała

były tak wielkie, że każdy myślał tylko o tem, ażeby w ręce dostać Igelströma i zemścić się nad nim za wszystkie krzywdy i zuchwałstwa tego żołdaka.

Na wszystkich innych posterunkach Moskale już byli pobici. Między placem Krasińskich tedy, Miodową a Krakowskiem Przedmieściem skoncentrowała się ostatnia walka. Tu jeszcze grzmiały działa i rozlegały się okrzyki ludności warszawskiej, zdążającej ze wszystkich stron na głos armatni, ażeby ostatni bój z wrogami stoczyć.

Gdy tak lud kolistym obręczem ścisnął ostatni zastęp Moskali, naraz spostrzegli wszyscy, że na pałacu Igelströma zafurczała chorągiew z orłem i pogonią.

Było to znakiem, że pałac wzięty... Klatkę tygrysa zdobyto, ale tygrys umknąć zdołał cało.

XIV.

Po zdobyciu pałacu Igelströma, generał Mokronowski kazał natychmiast zabrać jego prywatną kancelarię i tymczasowo złożyć w ratuszu pod opieką prezydenta Zakrzewskiego, jako też skompletowano rząd tymczasowy, w skład którego weszło wielu bardzo ludzi popularnych, jak Kiliński, a także Potocki, Kołłątaj i inni.

Do Naczelnika wysłane zostały ponownie depesze ze szczegółowem powiadomieniem o istniejącej sytuacji, a równocześnie poczęto formować oddziały wojska z ochotników, rzemieślników i obywateli Warszawy. Było to tem bardziej naglącem, że Prusak stał pod Warszawą, a od Moskwy lada chwila można było spodziewać się kroków zaczepnych, tem bardziej, że niepokojące wieści nadchodziły z północy, jakoby carowa uzbrajała na Rzptą wielkie wojsko, które niezadługo wkroczyć miało w granice Polski. To było najstraszniejsze, bo oddziały Tormasowa i Denisowa,

rozbite przez Kościuszkę, niezdolne już były stać poważnego oporu.

Stolica więc musiała się zbroić na gwałt, musiała wszelkie wysiłki czynić, ażeby siłę i liczbę żołnierza zwiększyć.

W tym kierunku też skierowane zostały wszelkie usiłowania Rządu tymczasowego.

Śród tej spokojnej organizacyjnej pracy, rozbiegła się pogłoska po Warszawie, że nasi — dawny nasz polski rząd zdradzili Ojczyznę, sprzedając ją za ruble moskiewskie wrogom odwiecznym.

Wywołało to niesłychany popłoch w mieście i ludność roznamiętniła do najwyższego stopnia. Wszystkie szynkownie, kawiarnie, place publiczne rozbrzmiewały tylko wykrzykami o potrzebie oczyszczenia narodu z tego plugastwa, targającego ciałem ojczyzny.

Skądże wyszły te pogłoski?

Z ratusza.

Ci, którym było poleczone rozejrzeć się w pałacach, pozostałych w pałacu po Igelströmie, znaleźli tam ślady niezaprzeczonej zdrady i hańby.

Były to kwity na pieniądze, pobrane przez hetmana Ożarowskiego, Marszałków Ankwicza i Zabiełłę, Kossakowskiego i wielu innych, od Igelströma na popieranie interesów Rosji. Nie trzeba było tłumaczyć tego dyplomatycznie —

wszyscy wiedzieli, co to były za interesa i na czem popieranie ich polegało. Ażeby zapobiedz szerzeniu się zdrady na przyszłość i wybadać protegowanych przez Moskali ministrów, Rada tymczasowa nakazała natychmiast ich aresztować, przeprowadzić najściślejsze dochodzenie, o ile czynione im zarzuty hańby mogą być słuszne.

Główną sprężyną całej akcji przeciwko ministrom był Kapostas — cichy i spokojny, jak zwykle, na pozór, w razie potrzeby jednak rozwijający nadzwyczajną energję.

Po ukończeniu jednego z posiedzeń rady, na które bardzo pilnie uczęszczał, wzięwszy Kilińskiego na stronę, rozmawiał z nim na osobności we framudze okna o różnych rzeczach. Wtem zagadnął go niespodzianie:

— A wiesz Waś, co się odkryło? — zapytał.

Kiliński zaciekawione spojrzenie w Kapostasa utkwił.

— Cóżby jeszcze nowego?

— W papierach po Igelströmie są straszne rzeczy, kochanie, straszne...

— Słyszałem... Obiegają już pogłoski po mieście.

Kapostas w tabakierę stuknął i otworzywszy, zbliżył się do majstra.

— Uważasz... uważasz... kochanie — mówił

gorączkowo — to łoty... Strach pomyśleć o tem, jakich mieliśmy hetmanów, jakich marszałków, biskupów!

— Czyż to tylko prawda? Czy to wątpliwości nie ulega?

Kapostas energiczny ruch przeczący obiema rękoma zrobił.

— Żadnej, kochanie, żadnej!

— Niech teraz siedzą w więzieniu, aż do przyjazdu Naczelnika.

— O, to zadługo, kochanie! — odrzekł Kapostas znacząco Z takimi sprawami ociągac się nie należy. Broili, broili Jaśnie Wielmożni długo i podle — a teraz -- rachuneczek, kochanie zrobimy... Dałeś narodowi tyle, winien jesteś tyle.

Wszystko to mówił z gorączkowym akcentem, licząc na palcach i przebierając niemi.

— Tak — winien... Są długi, które się płacą pieniędzmi, a są takie, które stryczkiem płacić trzeba. O, tak!

— Nie trzeba wywoływać zamieszania w ludzie — odezwał się majster

— Trzeba, kochanie! — odrzekł stanowczo Kapostas. Są wypadki i chwile, które więcej podnoszą i rozwijają ducha narodowego, niż setki lat niekiedy, które budzą i wytwarzają siłę. Są na jawnych zdrajców, sąd publiczny jest właśnie taką chwilą. Niechaj każdy widzi, że podłość

względem narodu popełniona nie uchodzi bezkar-
nie. Z takimi sprawami trzeba się załatwić —
raz, dwa!

Kiliński nie miał czasu nic na to odpowie-
dzieć, gdyż któryś z radnych zbliżył się do
nich — i rozpoczęła się rozmowa na inny te-
mat. Potem zaczęli wszyscy rozchodzić się do
domu.

Aresztowanie Ożarowskiego, Zabięły An-
kwicza, Kossakowskiego nie tylko nie było tajem-
nicą żadną, ale stało się pod pressją ludności,
która, podsycana tajemnie przez Kapostasa i in-
nych, ciągle odbywała burzliwe narady.

Narady owe i żądania opierały się przede-
wszystkiem o Kilińskiego, który był najpopular-
niejszą osobą w Warszawie i zupełne zaufanie
ludności warszawskiej posiadał. Do niego szli
po radę, lecz skoro o czyn chodziło, wszyscy
stawali po stronie Sierakowskiego, który krew-
kością i entuzjazmem więcej przypadł do smaku
usposobieniu, podnieconemu i rozdrażnionemu, lu-
dności.

Rano, gdy Kiliński był jeszcze w domu,
doszedł go z ulicy jakiś niezwykły hałas; tem
bardziej go to dziwiło, że zwykle na Dunaju
bywało cicho i spokojnie. Hałas stawał się
coraz wyraźniejszym, coraz bliższym, coraz wię-
kszym. Ostatniemi czasy przyzwyczał się do

wszelkich niespodzianek, więc i ta go nie bardzo dziwiła — raczej zastanawiała.

Po chwili wbiegł do pokoju, na górę, gdzie Kiliński mieszkał, czeladnik szewski. Z miny jego i zadyszania można było łatwo domyśleć się, że z jakąś wiadomością przychodzi.

— Co to za hałas?

— Taka ci kupa ludzi idzie, że aż strach!

— rzekł zdyszany czeladnik.

— Dokąd?

— Jużci do pana majstra wałą wszyscy A Sierakowski na przedzie...

Nie minęło i pół pacierza, gdy cały dom Kilińskiego otoczono, a ze wszech stron rozlegały się wołania i wrzaski:

— Śmierć zdrajcom! Na szubienicę!

— Powiesić łotrów!

Łatwo się domyślał Kiliński, o co chodzi. Wyszedł tedy, nie czekając długo, na ulicę. W samej furcie prawie spotkał się z Sierakowskim.

Przywitali się po przyjacielsku.

Tłum ludu krzycheć zaczął:

— Niech żyje Ojczyzna! Śmierć zdrajcom!

Rzucił okiem majster na nich — widzi, że wszyscy przy broni.

— Zły omen! — pomyślał sobie.

Przywitawszy się z Sierakowskim, zdjął ro-

gatywkę i podniósłszy ją wysoko do góry, ukłonił się zgromadzonym.

Cały tłum w jeden głos ryknął:

— Niech żyje Naczelnik! Niech żyje Ojczyzna! Śmierć zdrajcom!

Śród tego wołania, które ogólny ton niejako nadawało i dominowało nad wszystkim, słychać było pojedyncze wykrzyki:

— Sądu! Sprawiedliwości!

— Powiesić łotrów i zdrajców!

Stojący obok Kilińskiego Sierakowski, głową w kierunku tłumy skinąwszy, zauważył:

— Widzisz, Waszmość panie majster, co się święci?

— Źle się święci... — odrzekł majster — póki lud z Moskalami bił się, to dobrze, ale gdy sam chce wymierzać sprawiedliwość — to źle. Sprawiedliwość, wielka rzecz, potrzebuje rozumu, rozwagi, czasu — a kto huka i fuka, ten o rozwadze i rozumie nie myśli. Łatwo tedy stać się może, że będzie karać winnych i niewinnych.

Sierakowski nie spodziewał się widocznie takiej odpowiedzi.

— Tu długo, a mądrze radzić nie trzeba, — rzekł z przekąsem — kto zdrajca, niech idzie na stryczek, a na zdrajcach każdy się zna.

Do rozmawiających zbliżyło się kilka osób

starszych z tłumu i poczęła się gromadzić osobna kupka.

— Prawda, że zdrajców karać trzeba — zauważył Kiliński — i ja nie przeciwko temu nie mam, ale niech karze ten, kto ma prawo karać, kto ustanawia sądy.

— Do króla nie pójdziemy, bo i on nie lepszy! — zawołał Sierakowski.

— Nie pójdziemy — prawda, ale możemy poczekać przybycia Naczelnika, a tymczasem strażą otoczyć większą więźniów, ażeby ich przyjaciele od kary i hańby nie wyzwolili.

— Kto wie, kiedy Naczelnik przybędzie!

— Jużci, Bóg da, rychło. Mamy wiadomości pewne, że do Warszawy zdąża. Poczekajmy na niego.

— Jak nie chcecie przystać do nas — odezwał się z zawziętością Sierakowski — to sami sobie sprawiedliwość uczynimy. Łotrów na szubienicę — i tyle! zakończył energicznie.

— Na szubienicę! Na szubienicę! — tłum wrzasnął.

— Do więzienia! — ktoś z tłumu wrzasnął.

— Do więzienia! — rozległo się ze wszystkich stron.

Tłum zaszumiał, gotów do wymarszu.

— Wiecie co, panie majster — odezwał się Kiliński — powiesić ludzi łatwo, niema co ga-

dać; gdy powiesicie bez sądu, prawda, ukarzenie zdrajców, ale jutro was karać będą za samowolę.

Uwaga ta zreflektowała nieco zapaleńszych.

— A cóż mamy robić? — odezwano się z tłumu.

— Musimy ukarać zdrajców, którzy kraj do niedoli i strat, a lud do nędzy doprowadzili.

Kiliński znowu głos zabrał.

— Jeżeli chcecie koniecznie przyspieszyć ukaranie zdrajców, złóżcie do Rady Tymczasowej, która działa z ramienia Naczelnika, jakieś przedłożenie, jakieś propozycje, ażeby wiadano czego chcecie, a Rada, jeżeli je uzna za możliwe, uwzględni.

— Dobrze mówi! Dobrze! — odezwały się głosy.

— Z gębą tylko — dokończył Kiliński — w takich ważnych sprawach chodzić nie można.

Uwagi te trafiły do przekonania większości, z którą się ostatecznie i Sierakowski zgodził. Zdecydowano złożyć żądania ludu na piśmie na ręce Kilińskiego, do przedłożenia Radzie Tymczasowej.

Gdy wieść o tem rozeszła się po mieście lud coraz bardziej burzyć się począł, zgromadzać, naradzać i zbroić i jakkolwiek do żadnych tumultów nie doszło, pozycja Warszawy stawała się coraz groźniejszą tak, że zachodziła obawa gwałtownych wybuchów.

Nazajutrz rano kilkadziesiąt tysięcy ludności, na polu zbrojnej, zgromadziło się przed ratuszem. Niektóre oddziały wojska ukazały się także na placu z bronią w ręku. Ludowi przewodniczył Sierakowski. Hałas, wrzawa, ruch niezwykły przepowiadały niezwykle rzeczy.

Deputacja z Sierakowskim na czele udała się na ratusz i notę złożyła na ręce Kilińskiego. Prezydenta nie było.

Dokoła słychać było groźne wołania:

— Na szubienicę łotrów! Na stryczek! Śmierć zdrajcom Ojczyzny!

Nota, wręczona Kilińskiemu, była zredagowaną bardzo krótko i kategorycznie, a zawierała tylko cztery punkty:

1. Lud żąda, ażeby rada kazała powiększyć warty przy aresztantach i dawnych posłach grodzieńskich.

2. Lud żąda, ażeby między pospólstwo była rozdana broń i amunicja.

3. Lud żąda, ażeby król miał wszelkie bezpieczeństwo od napaści i wszelkie uszanowanie, jakoteż, aby rada kazała w około Warszawę

4. Lud żąda i każe, ażeby rada wydała moc sądenia sądowi kryminalnemu w dniu dzisiejszym: hetmana Ożarowskiego, marszałka sejmowego Ankwicza, marszałka sejmowego litewskiego Zabięły i biskupa Kossakowskiego.

Ponieważ prezydent nie nadechdził, a tłum ludu niecierpliwił się coraz bardziej, wojskowi, jako też inni, którzy tej całej sprawie przewodzili, zwrócili się z prośbą do Kilińskiego, ażeby się do prezydenta udał z osobną deputacją, prośbę ludu przedłożył i prezydenta na Ratusz zaprosił.

W pół godziny może potem nadszedł Zakrzewski.

Powitano go grzmiącemi oklaskami:

— Niech żyje Naczelnik! Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Prezydent!

Sierakowski zastąpił mu drogę przed drzwiami Ratusza z całą deputacją.

— Jaśnie Wielmożny Prezydencie! — odezwał się głośno — lud wybrał mię, abym do Rady Tymczasowej złożył w jego imieniu żądanie, które pozwolisz, że ci w tem miejscu odezytam.

— Znam już treść jego — rzekł Prezydent — opowiadał mi IMci pan Kiliński.

— Wolą ludu jest — powiedział z naciśkiem Sierakowski, — abym Jaśnie Wielmożnemu Prezydentowi notę naszą przeczytał.

— W sali radnej odezyczasz to Waszmość...

— Życzeniem ludu jest, ażebym ją publicznie odezytał.

Nie było innej rady, trzeba się było zgodzić.

— Czytaj Waszmość — rzekł z rezygnacją Prezydent.

Sierakowski, jękając się, przeczytał.

Po chwili ciszy, cały tłum zaryczał różnymi głosy:

— Śmierć zdrajcom! Śmierć! Na szubienicę!

Zakrzewski odrzekł spokojnie, gdy się uciszyło nieco:

— Trzy pierwsze żądania Waszmość panów przyjmuję do wiadomości w imieniu Rady Tymczasowej i przyrzekam, że spełnionemi zostaną; co zaś do czwartego punktu rada nie ma prawa karania; zależy to zupełnie od Naczelnika.

— Naczelnika nie ma, Jaśnie Wielmożny Prezydencie — odezwał się zuchwale Sierakowski — a zdrajcy siedzą bezpieczni i nieukarani. Nie wiemy kiedy Naczelnik do Warszawy zawita, a kara musi być wymierzona rychło, ażeby inni wiedzieli, że zdradzać ojczyzny i narodu nie można...

Prezydent wiedział, że wśród ludności skorej do wszelkich gwałtów, największy wpływ miał Kapostas. Posądzano go o to, że działał z ramienia Kołłataja, a obaj dążyli do tego, ażeby zniszczyć wszystko to, co się nazywa „państwem“ w znaczeniu przywileju. Prąd taki panował istotnie, chociaż Kołłataj nie podsyczał go bynajmniej, lecz był podtrzywany, jako awanturni-

czegoś bez planu i jasno wytkniętego celu przez ludzi mało znanych, ambitnych, lecz krewkiego temperamentu. Większość, spokojna i rozważna, nie żądała reform na drodze awantur, lecz prawidłowego rozwoju społeczeństwa, narodu i państwa. Wolność i całość ojczyzny kładzono na pierwszym planie, a potem dopiero reformy. O reformach wielkich, mających przekształcić całe społeczeństwo, lub wytworzyć dla jego rozwoju w przyszłości nowe podwaliny, nie czas myśleć wtenczas, gdy wróg siedzi na karku, rozszczepiając na kawały, osłabiając i niszcząc organizm narodowy.

Tak myśleli wszyscy, którzy nie siebie, lecz ojczyznę, prawdziwie kochali; których pycha nie nadymała, nie rozsadzała próżność, nie wysuwała naprzód chętką przewodniczenia bez żadnych praw do tego i zasług. Spajać trzeba było rozluźniający się organizm narodowy.

Zakrzewski tedy, jak i inni opierali się doraźnemu wymierzaniu kary nie dla tego, żeby zdrajcom pobiłać, ale żeby karę tę wymierzono z rozmysłem i powagą, ażeby się ona nie stała w ręku ludzi samowolnych i krewkich precedensem do zbrodni, do zakłócenia porządku publicznego, do odwrócenia uwagi od rzeczy największej i najpilniejszej — wyzwolenia ojczyzny z rąk Moskwy.

Dla tego też Prezydent udał się do po-

średnictwa Kapostasa. Długo z nim rozmawiał na stronie; często Kapostas porozumiewał się z Sierakowskim i kilkoma z deputacji, ale sam on należał do zwolenników kary natychmiastowej; nie też dziwnego, że porozumienie nie doprowadziło do rezultatu pożądanego.

Na nalegania deputacji i ludu, żądających sądu i kary, Prezydent powtórzył dawniejsze oświadczenie, że rada tymczasowa nie ma prawa karania i sądenia tych osób.

Sierakowski był widocznie przygotowany na taką odpowiedź.

— Jeżeli, Jaśnie Wielmożny Prezydencie, Rada nie wysłucha żądania ludu i zdrajców sądzić nie każe, lud wszystkich przyaresztowanych panów w kawałki rozsieka...

Słowom tym towarzyszyły głośne wołania:

— Śmierć zdrajcom! Na szubienicę! Na szubienicę panów!

— Spojrz, Prezydencie, jest tu nas kilkadziesiąt tysięcy zgromadzonych z bronią w rękę; nie ustąpimy stąd, dopóki zdrajcy ojczyzny ukarani nie zostaną!

Gdy to mówił Sierakowski, z tyłu, za nim wśród tłumu, powstał rozruch, wykrzyki, ktoś mówił, chociaż nie słyhać było ani słowa, a po chwili wydziałać się poczęła z tłumu kilkutyśięczna gromada ludzi, na czoło której wysunął się jakiś gestykulujący młodzieniec. Coś mówił,

perorował, rękami wymachiwał i cała fala ludu popłynęła na Długą ulicę.

Śród szumu i hałasu słyszeć było wyraźne wołania :

— Do prochowni!

— Na ratusz zdrajców! Na ratusz! Przed sąd!

W prochowni właśnie byli zamknięci Ożowski, Zabiełło, Kossakowski i inni

Tymczasem zebrała się Rada. Trzeba było powziąć jakieś postanowienie. W zasadzie żądania ludu były słuszne — wszyscy się godzili na to. Chodziło tylko o to, że nie w każdej chwili słusznym żądaniom zadość uczynić można i należy.

Wobec jednak groźnej postawy ludu należało ustępstwo zrobić, chociażby dla utrzymania powagi rady i sądy. Gdyby rada nie uznała za potrzebne przed sąd powołać bezzwłocznie jawnych zdrajców ojczyzny, a lud ukarał ich bez sądu — w ten sposób Rada nie tylko straciłaby na powadze, lecz otworzyłaby pole do nadużyć i gwałtów, których doniosłość nie dała się nawet przewidzieć.

Wobec takiego stanu rzeczy, gdy więźniów przyprowadzono przed Ratusz, przed izbę sądową — Rada kazała przystąpić natychmiast do przesłuchania, ażeby się tylko stało zadość formie sprawiedliwości, by wszyscy wiedzieli, że

dowody obwinionych o zdradę Ojczyzny istniały — niezbite i pewne.

Ożarowski, Ankwicz, Zabięłło, Kossakowski przy pomocy Rosji obdarzeni zostali wysokimi urzędami i dobrami, a natomiast, będąc ministrami i urzędnikami Rzpltej, służyli widokom i celom nie własnej Ojczyzny, lecz państwa, które jawnie na zgubę tej Ojczyzny czyhało. Przedstawiono sądowi znalezione kwity, któremi obwinieni kwitowali „łaskawie udzieloną im pensję“, pobieraną z rąk wrogów Rzpltej. Wynosiły one od 500 — 1000 dukatów kwartalnie i wypłacane były z kasy Igelströma.

Zabięłło w ciągu całego Sejmu brał tysiąc dukatów miesięcznie, Ożarowski przez pierwsze dwa miesiące po pięćset, za następne po tysiąc, a oprócz tego po tysiąc dukatów za każdego posła, zjednanego powolnym życzeniem hetmana, a więc Rosji. Ankwicz pobierał cztery tysiące dukatów pensji, jak długo marszałkiem będzie. Kossakowski opuścił Janów i przyjechał do Warszawy dla tego tylko, ażeby „mógł być zawsze na rozkazy posła rosyjskiego“. Zabięłło, Ankwicz, Ożarowski naradzali się z Igelströmem zarówno we własnem mieszkaniu, jak i w pałacu posła nad zmniejszeniem armji Rzeczypospolitej, nad oddaniem jej pod rozkazy i dyspozycję Rosji, nad prześladowaniem i uciskiem ludzi, miłujących ojczyznę, nad przyjściem z pomocą

Rosji we wszystkich sprawach, które miały na celu pognębienie Rzeczypospolitej.

Takich ludzi kształciła sobie Moskwa wśród społeczeństwa polskiego.

Sąd kryminalny, zebrany w komplecie przystąpił do przesłuchania oskarżonych na, tychmiast. Trudno było przeczyć popełnionej zbrodni: Kwity ich, listy, obligacje zaopatrzone były własnoręcznymi podpisami, których się zaprzeczyć nie mogli. Wyrok z góry już był postanowiony. Kilkadziesiąt tysięcy ludu oczekiwało tego wyroku, oczekiwało na karę i hańbę tych, którzy na hańbę i poniżenie wystawiali całą ojczyznę, popychając ją do zguby i zniszczenia.

Teraz stali wszyscy przed ratuszem na publiczne urągawisko.

Na Krakowskiem przedmieściu i przed kościołem Bernardynów stawiano pospiesznie szubienice, nad którymi widać było napisy wielkimi czarnymi literami: kara dla zdrajców Ojczyzny.

Wszystko to się odbywało wśród gromadzącej się coraz bardziej ludności, wśród wykrzyków oburzenia, zniewagi i groźby. Place i ulice wszystkie, prowadzące do ratusza wypełnione były tłumami ludzi, niespokojnych, rozgorączkowanych, oczekujących niecierpliwie kary na zdrajców. Z ogólnego usposobienia całej ludności, ze sposobu jej zachowania się, z groźb miotanych, z roznamiętnienia zemsty można byłoby przypu-

ścić, że lud ten zgromadził się na jakąś krwawą ucztę, która ma mu przynieść spokój i zadowolenie...

W takim otoczeniu byli obwinieni.

Na prostym drewnianem krześle siedział Ożarowski — starzec zgrzybiały, osłabiony, który nie miał nawet mocy utrzymać się o własnej sile. Lud na tem samem krześle przyniósł go z więzienia i na publiczną pogardę przed ratuszem posadził. Hetman był blady, nieruchomy, bezwładny i zdawało się, że nie miał nawet poczucia tego wszystkiego, co się koło niego dzieje. Na głowę jego, otoczoną na skroniach i z tyłu wieńcami siwych włosów, biły wprost promienie słoneczne — nie miał czem jej przykryć. Ręce złożył machinalnie na kolanach i tak siedział nieruchomy jak posąg.

Ankwicz i Zabiełto trzymali rogatywki w ręku i kłaniali się niemi na wszystkie strony. Kossakowski stał ze schyloną głową, zgarbiony i oczu nie śmiał podnieść na ten lud, który on w ręce moskiewskie chciał wydać bezbronnym, a który teraz czekał wyroku śmierci na zbrodniarzy.

Gdy tak wszyscy stali pognębieni własną winą i hańbą, ruch się zrobił na końcu placu.

Ze wszech stron rozlegały się wołania :

— Rozstąpić się ! Zrobić miejsce !

W kierunku tego wołania tłum rozłamywał

się na dwoje i poczęła się zarysowywać linja drogi — wąska z początku, lecz rozszerzająca się coraz bardziej, coraz szerzej, coraz równiej. Głowy wszystkich pochyliły się nad wolną przestrzeń, rozgorączkowane niepokojem i ciekawością, a oczy biegły w tym kierunku skąd pierwsze wołanie słyszeć się dało

W tem głos dzwonka doleciał...

Tłum się poruszył, jak fala wiatrem trącona, a piersi i głowy jeszcze bardziej pochyliły się nad drogą.

— Już... już... — rozległo się ze wszystkich stron.

— Ksiądz kapucyn idzie...

Istotnie, szedł kapucyn z Panem Bogiem. Biała komża odbijała się wyraziście od ciemnego habitu i z daleka wyglądała jak plama na czarnem tle. Niósł ostrożnie, przed sobą w górę nieco trzymając, kielich nakryty patyną i z głową schyloną postępował. Chłopiec, w białą komżę ubrany, poprzedzał kapucyna; w jednym ręku miał wodę święconą i kropidło, w drugim dzwonek trzymał i bezustannie nim dzwonił.

Całą linją, którą ksiądz kapucyn przechodził, słychać było, niby szmer jakiś... — to zginały się kolana i pochylały się głowy pobożnych przed Panem Bogiem.

W tej samej chwili prawie, gdy kapucyn

do obwinionych się zbliżał, sąd czytał im wyrok śmierci.

Spowiedź trwała krótko, choć winy były ciężkie i długie.

Cały tłum ludu, szanując uroczystą chwilę pojednania się zbrodniarzy z Panem Bogiem, zachowywał się spokojnie; lecz gdy tylko kapucyn pokropił ich święconą wodą, w powietrzu rozległy się tysiące głosów, które w jeden ryk się złąły:

— Na szubienicę! Na szubienicę!

Gmachy zatrzęsły się od tego krzyku, a cały tłum, którego okiem nie można było objąć, falował począł jak zboże od wiatru.

— Na szubienicę! Na szubienicę! — wołano ze wszech stron.

W otoczeniu żołnierzy i tłumu orszak cały ruszył na Krakowskie przedmieście. Sunął powoli, naciskany przez ludność nieraz tak gwałtownie, że zdawało się, zmiążdżony zostanie, zanim do szubienicy dojdzie. Ten i ów z bardziej krewkich, a bliżej idący orszaku, przeciskał się przez innych, z całą wściekłością nahałył się do dygnitarzy i w twarz im plwał.

A ze wszystkich stron rozlegały się wołania:

— Na szubienicę łotrów! Śmierć zdrajcom!

Pierwszy pod szubienicą stanął hetman Ożarowski. On był już umarły przed powie-

szeniem. Pachołki zdjęli go nieruchomego z z krzesła, na którym był przyniesiony i bezwładnemu zarzucono stryczek na szyję... Zawisnął jak kłoda drzewa — ledwie spostrzedz można było konwulsyjne drganie nóg.

Tłum ludu ryczał dookoła.

— Zdrajca! Przeklęty! Przeklęty! Śmierć zdrajcom!

Wykrzyki te obijały się o uszy, a może i o sumienie Zabiętki, któremu z kolei kat ręce wiązać począł.

Zabiętko, stanawszy już pod szubienicą, szamotał się z katem i coś mówił o swojej niewinności.

Śród wrzawy i krzyku słychać było tylko urywane wyrazy:

— Z miłości dla ojczyzny... potomność niech mię osądzi... hańba...

Lecz głos jego ginął wśród frenetycznych krzyków ludności:

— Zdrajca! Zdrajca Ojczyzny! Milczeć!

— Podły! Śmierć podłym!

Tyle tylko słyszał w ostatniej chwili życia. W powietrzu mignął stryczek kata — i zaszamotał się trup zdrajcy...

Ankwicz sam do szubienicy się zbliżył. Miał twarz nachmurzoną, bladą, usta tak mocno zaciśnięte, jakby pragnął, ażeby się przez nie nie

przedarła żadna prośba, żadna skarga, żadne słowo. Milcząc, ujął stryczek własnymi rękoma i na szyję założył... Potem wyciągnął z kieszeni złotą tabakierkę i zażył niuch tabaki. Wyniosłym ruchem ręki wyciągnął ją do kata :

— Weź sobie... na pamiątkę...

I nie patrząc na nikogo, dodał :

— A teraz rób swoje...

I zawisnął na haku...

Gdy kolej przyszła na Kossakowskiego — ludność zgromadzona w taką wściekłość wpadła, że byliby go w kawałki rozszarpali, gdyby nie obrona żołnierzy.

Do oprawców, którzy się zbliżyli do niego, coś wołał i groził, ale wśród krzyków tłumów, nie można było dowiedzieć się o co mu chodzi. Mówił coś o prawie... o święceniu... — ale nikt go nie słyszał.

Wysilał głos, ażeby zapanować nad tłumem.

— Do kościoła... pozwólcie... ostatni raz...

Oficer, asystujący zbrodniarzom, zawołał głośno :

— Wieszac !

Kat począł mu ręce krępować, potem ściągnięto z niego ubranie i w jednej koszuli prawie zawieszono na szubienicy.

Naród wołał bezustannie :

— Śmierć zdrajcom ojczyzny ! Hańba ! Przekleństwo !

Takie wołania towarzyszyły im na drogę wieczności...

XV.

Tak więc Warszawa wolną była od Moskali, a dokładała wszelkich starań, ażeby się uwolnić także od własnych, wewnętrznych wrogów.

Z zapalem niesłychanym dotąd zabrano się do pracy: z jednej strony rozpoczęto oszańcowanie Warszawy, pod kierunkiem Sierakowskiego, komendanta korpusu kadetów, z drugiej formowanie i ćwiczenie wojska. Potrzebę pospiechu tem bardziej uznawali wszyscy, że zawsze nadchodziły niepokojące wieści o zbliżających się pod Warszawę Prusakach. Ci, którzy stali pod Powązkami, spostrzegłszy, że bez pomocy Moskali stanowią tylko małą garstkę, którą Polacy na miał zetrzećby mogli, cofnęli się w głąb kraju i oczekiwali na posiłki.

Daleko więcej niepokojące wiadomości nadchodziły z Litwy — o formowaniu przez carową nową armję i wysłaniu jej pod dowództwem generałów Fersena i Suworowa pod Warszawę.

Oszańcowanie więc, wobec takich pogłosek szczególnie, postępowało rychło i energicznie na całej linii.

Jenerał Mokronowski wystąpił z posiłkiem dla Naczelnika, zaatakowanego pod Szczekocinami przez Prusaków i Moskwę, broniących mu przejścia do Warszawy. Kościuszko stracił wprawdzie w potyczce jenerałów Grochowskiego i Wodzickiego — dwóch najdzielniejszych ludzi, ale mimo to droga była otwarta.

Szedł ku Warszawie, a Moskale i Prusacy już go więcej zaczepiać nie śmieli.

Skutkiem porozumienia z carową Fryderyka Pruskiego, widać było tylko, że obydwaj państwa działały łącznie, dążąc wspólnie do przeszkodzenia Kościuszce do opanowania Warszawy.

Nie ulegało wątpliwości, że środek ciężkości całej akcji wojskowej przesunął się ku stolicy Rzptej. Tu ciągnął Kościuszko, zwycięzca pod Racławicami, do zwycięskiego miasta, a zdaleka otaczali go Prusacy i Moskale, nie mając odwagi stoczyć stanowczej bitwy i czekając posiłków z północy. Razem więc, Moskwa i Prusacy, przewyższali siłą Polaków, ale imię Kościuszki, otoczone aureolą zwycięstwa i miłości powszechnej, było dla nich groźnem.

Wreszcie Naczelnik stanął pod Mszczonowem, a nazajutrz rozwinął obóz przy Falentach.

Już kilka mil jeno dzieliło go od Warszawy. Niebyło tylko przy nim wiernych Krakusów z pod Racławic. Naciskany przez szlachtę, odgrządzając się, że mu nie da żadnej pomocy, jeżeli „chłopów“ nie rozpuści do domów i nie nakaże posłuszeństwa bezwzględnie panom, uległ namowom i prośbom – i tym, którzy się nauczyli zwyciężać przy jego boku, kazał kosi naklepać, na zboże i trawę. Miał natomiast przy sobie Mokronowskiego. Na przeciwko skrzydła Naczelnika stanęli Prusacy.

Zajązdek zajął pozycję pod Gołkowem i miał przed sobą Moskali.

Prusacy i Moskwa starali się zamknąć Naczelnikowi drogę do Warszawy, stając w poprzek niej z bronią w ręku.

Usiłowania te były jednak bezowocne: żołnierz mający tradycję zwycięstwa i wodza, w którego rozum i odwagę wierzy, ma w sobie siłę moralną, której się nie pozbywa łatwo, a z placu boju nie ustępuje na pierwszy wystrzał armatni.

Żołnierz Naczelnika ćwiczył się w szkole zwycięstwa i miłości ojczyzny.

Moskwa zaatakowała równo prawie ze świtem pozycję Zajączka, usiłując wysadzić z niej kilkakrotnie całe skrzydło, ale zawsze ze stratą zmuszeni byli ustąpić.

Dzień cały grzmiały pod Warszawą działa a mieszkańcy czuwali z bronią w ręku na okopach i szańcach, aż wieczorem dopiero zapanaowała cisza...

W mieście rozbiegła się radośna wiadomość: Moskwa cofnęła się!

Noc przeszła spokojnie.

Nazajutrz przyszły posiłki Moskalom, którzy łącznie z Prusakami znowu na Polaków uderzyli, ale także bez skutku. Niepodobna było przeszkodzić zwyciężkiemu pochodowi Naczelnika, Mokronowski odparł Prusaków z pod Błonia, którzy ustąpili bez chęci dalszego potykania się.

Tak więc Kościuszko miał drogę do Warszawy zupełnie otwartą. Wszedł do miasta wobec cofającego się pod kartaczami polskimi nieprzyjaciela, a Mokronowski połączył się z dywizją Naczelnika.

Teraz Warszawa opasana już została przez wojsko polskie, stojące trzema obozami. Na czele jednego pod Marymontem stał Mokronowski, drugiego, na Czystem, Zajączek, a trzecim, pod Mokotowem dowodził sam Naczelnik.

Prusacy nie dali jednak za wygraną, tak samo, jak i Moskale. Postanowili czekać nowych posiłków, w ten sposób, że Prusacy zajęli stanowisko naprzeciwko Mokronowskiego, Moskale okopali się pod Służewem, naprzeciwko Kościuszki.

Dwa dni i dwie noce walczyli Polacy przeciwko przemożnym siłom Moskwy i Prusactwa, zakrywającym wejście do Warszawy: dwa dni i dwie noce grzmiały działa, lała się krew polska dokoła stolicy, aż wreszcie po trupach pruskich i moskiewskich Kościuszko dotarł do niej i stanął obozem pod Mokotowem.

Do Warszawy ściągaly się wszystkie siły nieprzyjaciół; w okolicach jej przeto musiała się stoczyć ostatnia bitwa decydująca. Rozumiał to Kościuszko i dlatego skapiał tu także największe siły swoje. W stolicy biło serce Rzptej. Tu ludność spróbowała już dobrodziejstwa moskiewskiego i nauczyła się bronić od niego — na taką ludność mógł przeto liczyć Naczelnik.

Wiadomość o przyjściu do Warszawy Kościuszki była taką radością dla miasta, jakiej od dawna nie znano. Jedni drugim wieszowali zwycięstwa, jedni drugich pytali: gdzie on? kiedy pośród nas stanie? Wszystkie ulice zaroily się świątecznym ludem, kościoły były otwarte, modlono się głośno i dziękowano Bogu za pomoc i opiekę w walce z wrogami.

Ruch ten niezwykły w mieście, ożywienie i radość miały swoją rację nietylko w nadziei, ożywiającej serce mieszkańców, lecz i w tem także, że całe miasto przysposabiało się do uczczenia największego wodza narodu i wybawiciela Ojczyzny.

Ze wszystkich stron miasta rozlegały się dzwony od rana, zwoływały ludność do wielkiej uroczystości i dostrajały ją do niej. Na ratuszu, na gmachach publicznych powiewały chorągwie narodowe... Środkiem ulic przeciągały oddziały straży miejskiej, uformowane z mieszczan i rzemieślników, z chorągwiami na czele, z muzyką. Wczoraj jeszcze całe miasto pełne było wrzawy wojennej, napełnione dymem armatnim, a górą ponad nim płynęły odgłosy wystrzałów działowych, głucho, smutne, roznoszące dokoła cichą grozę i przestrasz. Dziś wszystko inaczej...

On to sprawił — sam jeden prawie, siłą woli, rozumu, miłości Ojczyzny. On rozbudził drzemiące siły narodowe, on wlał w te siły nadzieję i wiarę.

Przed ratuszem gromadziła się rada tym czasowa, przed domami cechowemi skupiały się cechy z chorągwiami i odznakami swemi, z godłami i sztandarami, a przed kościołami szykowały się procesje. Dokoła widać było tylko poważny, radosny nastrój, gwar, wrzawę, a nad tym obrazem, pełnym ruchu i życia, wisiąco jasne szafirowe niebo, migają promienie słoneczne, wiatr furczał chorągwiami i sztandarami.

Długi czas szykowały się procesje, cechy i wojsko — wreszcie tłum cały, który niby fala różnobarwna, zalewał plac Zygmunta, ulicą św. Jańską, Krakowskie przedmieście, jakoteż innych

bocznych uliczkach, zaszumił, ruszył się — i posu-
nął przez Królewską na Marszałkowską. Za-
chwiały się i zaszleściły chorągwie w powie-
trzu, odkryły się głowy kilkudziesięciu tysięcy
ludu i zabrzmiała jednogłośnie pieśń:

Boże, w dobroci nigdy nie przebrany,
Żadnym językiem nie wypowiedziany...

Głosy odezwały się naprzód niewyraźnie,
cicho, jakby były tłumione przez szmer i wrzawę
poruszającego się tłumu, potem coraz silniejsze,
zgodniejsze, zlewały się w jeden akord, w jedną
prośbę, w jedną modlitwę, płynącą z kilkudzie-
sięciu tysięcy piersi..

Wszystko to dążyło na powitanie Kościuszki
na Mokotów.

Temu niezwyktemu orszakowi towarzyszyła
cisza słoneczna, wśród której bezustannie grały
echa dzwonów z echemi śpiewu zmieszane.

Tylko na zamku królewskim było cicho.

Stanisław August wiedział o tem, co zaszło,
wiedział o tem, że Kościuszkę już jest w War-
szawie. Od rana widział świąteczny nastrój
ludności, szykowanie się procesyj, korporacyj,
cechów — i uczył całą gorycz swego osamo-
tnienia...

Gdy całe to morze olbrzymiego tłumu za-
szumiło, poruszyło się i pociągnęło Krakowskiem
przedmieściem, król w oknie stanął i zamyślony
patrzył na tę odpływającą falę.

— Miłość narodu w inną popłynęła stronę...
— myślał, patrząc na tę siłę. poruszającą się przed jego oczyma — królem jestem bez narodu, bez wojska, a wkrótce może bez królestwa.

Bolało go to, że nikt się tu, w tym pałacu osamotnionym nie zjawił z żadną wieścią — złą, czy dobrą... Traktowano go, jak zero, jak niedołęgę, jak człowieka, któremu z łaski zostawiają pozory władzy — niech go łudzą, niech się niemi bawi.

— Sam jestem winien. . — wyszeptał.

Dźwięk tego wyrazu „winien“, zastanowił go.

— Czyż winien jestem istotnie? — myślał. — Czy kiedykolwiek chciałem źle zrobić? Czy dusza moja nie rwała się ciągle do najlepszych pragnień, do najszczytniejszych myśli? Czyż nie kochałem szczerze i głęboko swego narodu i ojczyzny?

Zatrzymał się na chwilę, oknem zamglonem patrząc przed siebie i nie widząc.

— A jednak... — z ust mu się wyrwało.

Nagle przed oczyma jego stanęła postać kobiety — młodej, pięknej, uśmiechniętej do niego. Na głowie koronę miała, a płaszcz grono-stajowy, purpurą pokryty, zwieszał się jej z ramion alabastrowych na ziemię... Berłem, oprawnym w rubiny, brylanty, topazy, skinęła ku niemu, jakby umyślnie chciała tysiącem różno-

barwnych promieni olśnić go... Uśmiechnęła się skinawszy, jak na powitanie.

Stanisław August drgnął nagle, zimny dreszcz go przebiegł od stóp do głowy. Ruch ręką zrobił, jakby chciał kogoś odepchnąć.

— Ty... ty .. — przez zęby syczał — zmoro mego życia, mego narodu, mojej Ojczyzny... ty — widmo przeszłości naszej! Tyś mnie pchnęła do hańby, a naród mój w obrózę chcesz zakuć... Tyś wiedziała, że m jestem miękki i bezsilny — więc mię wybrałaś za narzędzie do zbrodni swoich...

Widmo przesunęło mu się przed oczyma i znikło.

Stanisław August padł na fotel osłabiony, rozgorączkowany i twarz rękę zakrywszy, milczał, walkę tocząc z sumieniem.

Po długiej chwili westchnął wreszcie.

— Ukarasz mię Boże brakiem woli... — wyszeptał.

Tak siedział ostatni król polski samotny, gdy Warszawa szła cała na powitanie Kościuszki.

Naczelnik nie wiedział o przygotowaniach, podjętych przez ludność miasta zupełnie z własnego popędu. Spodziewał się tylko przybycia członków Rady Tymczasowej, z którą pragnął porozumieć się, co do dalszego działania.

Tylko co był powrócił z okopów, gdzie badał stanowisko Prusaków i Moskwy, i w skromnym

namiocie zasiadł z całym sztabem do narady, gdy na olbrzymią równinę Mokotowską wysypało się kilkadziesiąt tysięcy ludności.

Rozległy się głośnie wołania :

—, Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszko!

Echa rozgłośnie niosły te słowa ponad Mokotowem, ponad doliną Wiślną i do radości budziły całą okolicę.

Naczelnik wyszedł na spotkanie Warszawy piechotą. Nie wsiadał na koń, nie stroił się od parady, nie formował błyszczącego orszaku, ażeby zaimponować szaremu tłumowi świetnością i blaskiem. Nie potrzebował do ozdoby swojej świecidełek, bo świeciła nad nim myśl piękna, wiodła go gwiazda, jasna sama przez się — miłość ojczyzny i wyzwolenie jej z rąk ciemieżców. Ona mu dodawała blasku, uroku, ona ku niemu schylała serce ludzkie, otaczała go czcią powszechną, miłością i zaufaniem.

Gdy go ujrzano, wychodzącego z namiotu i idącego piechotą na spotkanie całego tłumu, powietrze ponownie zadrżało od okrzyków.

— Niech żyje Kościuszko! Niech żyje Ojczyzna!

Dreszczem radośnego zadowolenia uderzyło serce jego.

Okrzyki tymczasem nie ustawały ani na chwilę.

Wtem zaszeleściło powietrze — i jakby na znak dany wszystkie chorągwie i sztandary pochyliły się ku niemu... podniosły się — pochyliły się znowu..

Tak potrzykroć witała Warszawa swego Naczelnika, a powitania temu wtórowały nieskończone okrzyki: Niech żyje Kościuszko!

Najstarszy z mieszczan warszawskich niósł chleb i sól na srebrnej tacy. Szedł, w obu dłoniach tacę trzymając, bez czapki, a wiatr igrał z jego siwemi włosami i brodą. Schylił się przed Kościuszką do kolan i głosem drżącym ze wzruszenia rzekł:

— Naczelniku nasz... wielki i jedyny, jakiego naród polski wydał dotychczas.. Powołałeś pod broń wszystkich, ażeby w wolnej Ojczyźnie wszyscy mogli chleb spokojnie spożywać.. Przyjmij od nas ten pierwszy chleb, upieczony z polskiego żyta wolnemi rękoma.. Niech wszyscy spożywają go w spokoju i zgodzie..

Nie mógł dalej mówić. Głos mu drżał, miewał się i łzy poczęły spływać na długą siwą brodę. Schylił więc jeszcze głowę i chleb Kościuszcze podał.

Naczelnik wziął go własnemi rękoma.

— Dziękuję.. — rzekł wzruszonym głosem. — Oby nam nigdy nie brakło wolności i chleba..

Znowu wzduły się piersi i znowu pod niebo wyleciał okrzyk:

— Niech żyje Kościuszko! Niech żyje Naczelnik!

Naczelnik stał przed tym tłumem bez czapki. Nie miał już na sobie sukmany krakowskiej, jeno mundur z czerwonymi wyłogami, a trójkątny kapeluszek trzymał w lewej ręce ku ziemi schylony.

Teraz zbliżył się ku Kościuszcze prezydent Warszawy.

— Witaj nam — zaczął — długo oczekiwany przez całe miasto Naczelniku. Wejdz w te mury, które kilkanaście pokoleń królów wychowały, zhańbione przez Moskwę i przez własnych rodaków, weź nasze siły, nasze pieniądze, nasze skarby i użyj ich na obronę Ojczyzny od hańby i niewoli. Witaj nam, nadziejo nasza, wiaro nasza!

Krótkie te słowa do głębi poruszyły wszystkich obecnych, więc dokoła poczęto wołać z zapalem:

— Niech żyje wolność! Niech żyje niepodległość!

— Niech żyje Kościuszko!

Naczelnik, przywitawszy się z członkami Rady Tymczasowej, poszedł do środka tłumy, gdzie były w szeregach uszykowane cechy, korporacje, zarządy rozmaite. Idąc od jednej do drugiej grupy po kolei, przy każdej jakieś ży-

czliwe słowo powiedział, a tymczasem wciąż nieprzerwanie jak kanonada szły okrzyki:

— Niech żyje Naczelnik! Niech żyje wolność!

Chwilkę zatrzymał się przed cechem szewców. Na czele jego stał znany mu Kiliński.

Gdy się Naczelnik zbliżył do niego, majster zdjął z głowy czarną swoją rogatywkę i huknął z całej piersi:

— Niech żyje zbawca Ojczyzny!

Za nim kilka tysięcy szewców powtórzyło:

— Niech żyje! Niech żyje!

Naczelnik zbliżył się do majstra, rękę mu podał, uścisnął serdecznie i rzekł:

— Jak się masz, pułkowniku! Dziękuję ci za twoją odwagę i miłość ojczyzny, jakiej dowody złożyłeś. Mam nadzieję, że stojąc na czele pułku własnego imienia, będziesz mógł niejednokrotnie jeszcze ojczyźnie służyć

A do wtóru tym słowom zamiast harmat, grzmiały wołania:

— Niech żyje wolność! Niech żyje Ojczyzna!

Uczciwszy swego Naczelnika, cała Warszawa we wzorowym porządku wróciła do domów.

Kościuszko pozostał w obozie i odbył radę wojenną, a dopiero nad wieczorem do Warszawy w licznym orszaku i asystencji wyjechał. Chciał się osobiście widzieć z królem i przedłożyć mu

stan rzeczy, ażeby przynajmniej pozorom zadość uczynić. Znał on króla, wiedział, że jest człowiekiem dobrej chęci, miękkiego serca, ale bez woli, bierny, — pamiętał, że w pierwszej wojnie z Moskwą zawarł pokój w chwili, gdy jego oręż zwycięski gniółł wrogów, — postanowił więc dalej prowadzić wojnę bez króla, jak ją bez króla zaczął.

Przyjazd Naczelnika był zapowiedziany. Warszawa wiedziała o tem, świąteczny więc nastrój miasta nie ustawał ani na chwilę. Na Marszałkowskiej, Królewskiej, Krakowskiem Przedmieściu aż do placu Zygmunta i Zamku królewskiego, tłoczyły się tłumy ludu i powozów, stojących nieprzerwanym zda się szeregiem. Wszystko, co żyło — było w tej chwili na ulicy. Domy ozdobione były w chorągwie i barwy narodowe; balkony i okna przystrojone dywanami, przepelnione kwiatami, rojące się od różnobarwnych strojów pań.

Wszyscy oczekiwali ciekawie przybycia tego, który na cały naród rzucił blask swoich zwycięstw i chwały, który sam jeden potrafił rozbudzić dumę narodową i siłę.

Nie widać go jeszcze było, lecz po fali ludu, poruszającej się na wszystkich ulicach, domyślać się można było, że jedzie już... Z daleka dolatywały okrzyki:

— Niech żyje wolność! Niech żyje Ojczyzna!
Niech żyje Naczelnik!

Rozlegały się one coraz głośniejsze, coraz dalej, aż opierały się o Wisłę i zamek.

Orszak Naczelnika ukazał się wreszcie na Krakowskim Przedmieściu i wśród bezustannych okrzyków radości powoli postępował naprzód. Kościuszko jechał obok Mokronowskiego, od czasu do czasu rzucając generałowi jakieś słowo. Ze wszech stron uderzały o uszy jego wołania, nabrzmiałe szczerą, naiwną radością...

Naczelnik jechał zamyślony. On wiedział, że to początek walki tylko, że wróg był potężny i chciwy, że mu polską ziemię piędź po piędzi trzeba będzie z paszczęki wyrwać. Myśl o tem nasuwała mu smutek na czoło.

A tymczasem dokoła grzmiąły nieprzerwanie wołania i okrzyki ludu.

W tem tłumie zaszumił, rozchylił się i ukazała się nieskończona linja biała, ciągnąca się aż do bram zamku, — to były szeregi dziewcząt biało ubranych, które z koszykami kwiatów stały; gdy się tylko ku nim zbliżył Naczelnik, sypać mu poczęły pod nogi, a z piersi ich dziecięcych bezustannie brzmiały okrzyki:

— Sława ci! Sława! Sława! Sława...

Naczelnik jechał milczący, a słowo mu żadne nie mogło przecisnąć się przez usta ze wzruszenia. Podnosił tylko niekiedy schyloną

głową, uśmiechał się przymusowym uśmiechem i w tę lub ową stronę ręką na znak podziękowania skinął.

A w powietrzu rozlegało się wołanie: żyj Naczelniku! żyj wielki! — mieszając się z dziecięciami okrzykami: sława! sława! sława!

Deszcz kwiatów sypał się ze wszystkich stron: z powozów, z okien, z balkonów...

Mimowolnie rzucił spojrzenie na jeden z balkonów: była tam tylko matka i dwoje dzieci — dwie dziewczynki. Miały na rękę zawieszzone koszyki róż pełne, a matka podnosiła je do góry po kolei i stawiała na krzeselkach.

Dziewczynki rzucały róże, patrząc rozszerzonymi z ciekawości oczyma i pytając matki:

— Mamo, który to Kościuszko? który?

Matka nie odpowiadała na natrętne pytania dzieci — wzrok tylko miała utkwiony w spokojną postać wodza, jadącego w zamyśleniu, jakby te wszystkie tryumfy nie dla niego były.

Nagle spojrzenia ich spotkały się.

Koń niespokojnie poruszył się — uczył drgniecie ręki Naczelnika.

— To ona... ona... — myśl mu mignęła, jak błyskawica — Ludwinia... Kwiaty mi rzuca pod nogi... kwiaty... Po co mi te kwiaty? Już nie chcę innego szczęścia, tylko szczęścia Ojczyzny...

Gdy dawne wspomnienie wstrząsnęło jego duszą, dokoła odzywały się nieskończone wołania:

— Niech żyje wolność! Niech żyje Kościuszko!

Kościuszko poznał ją, zdjął kapelusz i głową skinął na znak podziękowania.

Ona dostrzegła to skinienie, a zamiast odpowiedzi brała po kolei dzieci na ręce, podnosiła je do góry...

— Który to matusiu? który?

— Ten, co jedzie na gniadym koniu z naszej strony... widzisz... wysunął się trochę naprzód... spojrzał ku nam... kapelusza uchylił...

— Matusiu, czegoż on taki smutny?

Matka nie odpowiedziała. I ona w tej chwili była smutną, bardzo smutną... W pamięci jej przesuwały się wspomnienia i obrazy dawne... dawne... gdy była jeszcze młodą dziewczynką... i ten ogród rodzicielski, gdzie poraz pierwszy poznała jego... Potem.. potem... powiedziała mu, że go kocha, że kochać będzie wiernie, że do końca życia stać będzie przy nim... A teraz? On dotrzymał słowa — idzie samotny...

Orszak mijął powoli balkon, a ona oparła głowę o barjerę, zakryła ją splecionymi rękoma i myślą w tych wspomnieniach utonąła, które jej tyle bólu sprawiały. Nic innego nie widziała i nie słyszała. Dzieci coś szczebiotały do niej,

pytały o coś, dokoła grzmiały okrzyki, wiwaty, wołania, wrzawa, głosy radośne ludu, ale do jej uszu dolatywał tylko jeden wyraz:

— Kościuszeko... Kościuszeko... Kościuszeko...

I gryzł jej oczy, palił jej sumienie...

Na balkonie zamku królewskiego, Stanisław August w otoczeniu dworu, szambelanów, paziów i całego bukietu strojnych pań, oczekiwał przybycia Naczelnika, który w tej chwili był królem, wodzem, żołnierzem, ministrem, rządem — wszystkim sam jeden. Nikt mu na to stanowisko nominacji nie udzielał — zdobył je wolą i energią, w których uosabiało się pragnienie całego narodu.

Stanisław August, przekonawszy się, że nikt ani na jego życie, ani na zdrowie nie dybie, że naród, zajęty nie królem, lecz walką z wrogiem, pozwala mu bezpiecznie używać przywilejów królewskich, uspokoił się i wrócił do dawnego swego pogodnego usposobienia. Orszak pań, otaczających go, zaostrzał jego dowcip i humor.

W tem szczęśliwym usposobieniu opuścił towarzystwo dam i poszedł na spotkanie i powitanie zwycięskiego Naczelnika.

Ledwie się ukazał Kościuszeko na sali w otoczeniu nielicznego swego orszaku, król przyszedł na powitanie go, nie jak król, lecz jak uprzejmy gospodarz. Szedł uśmiechnięty, wesóły, krokiem lekkim, zwinnym, młodzieńczym prawie.

— Witam cię, witam, jenerale... — rzekł rękę do niego wyciągając i w oczy mu patrzył, jakby tam pragnął wyczytać to, czego usłyszeć nie mógł.

Podawał po kolei rękę Mokronowskiemu, Zakrzewskiemu i innym członkom Rady Tymczasowej, zgromadzonym na sali.

Gdy się z wybitniejszymi ludźmi przywitał, pod ramię Kościuszkę ujął i do gabinetu swego poprowadził.

— Zabieram cię, jenerale, damom, spragnionym oglądać ciebie...

Kościuszko spokojnie głową skinął, na znak, że się woli królewskiej poddaje.

Przyprowadził go do gabinetu i na tym samym fotelu, na którym niedawno Igelström siedywał, posadził Naczelnika.

— Rozpoczęliśmy wojnę z Moskwą bardzo szczęśliwie, Najjaśniejszy Panie... — zaczął Kościuszko.

Król, ogolony gładziutko, upudrowany, wyświeżony, pachnący, spuścił oczy, przypatrywał się pięknym koronkom swoich mankietów i różowymi paluszkami bawił się niemi.

— Sublime, sublime... — szepnął, potem głowę podniósł i spojrzenie zatrzymał na twarzy Kościuszki.

— Ale, jenerale, czy to nie zawcześnie?

— Najjaśniejszy Panie! Musieliśmy próbo-
wać szczęścia w walce z wrogiem, póki jeszcze
mamy trochę żołnierzy i broni.. Później coraz
trudniejsza będzie walka...

— Tak... tak... bardzo pięknie... sublimie...
ale sama zwłoka mogłaby nam coś przynieść...

— Albo gorszą jeszcze sytuację wytworzyć...
— przerwał Kościuszko.

— O, nie, jenerale! Najjaśniejsza Impera-
torowa jest życzliwie dla nas usposobioną...

Uwaga ta głęboko zadrasnęła Naczelnika.

— Proszę Waszej Królewskiej Mości i ja-
bym w tę życzliwość wierzył, gdyby tylko Im-
peratorowa chciała wycofać wojska swoje z gra-
nie Rzptej, pozwoliła nam się rządzić według
naszej woli i nie krajała nam wspólnej ojezyny...

— Ślicznie... ślicznie... sublimie... — cedził
przez zęby król — nie nie mam przeciwko temu,
lecz nie trzeba w patryjotycznym zapale zamykać
oczu na nieszczęścia, które z tej wojny spłynąć
na kraj mogą: miljonowe kontrybucje, zniszcze-
nie ludności, zubożenie szlachty... Właśnie wzgląd
na to nakazywałby umiarkowany sposób postę-
powania — czyż nieprawda, Mości Panie Kościu-
szko? Co nam przyniosła ostatnia wojna z Mo-
skwą?

— Trudno, Najjaśniejszy Panie, ażeby naród
wyzuł się spokojnie z praw swoich, z samodziel-
ności, wolności i ziemi ojezstej.

Król niecierpliwie mu przerwał:

— Ależ nie, jenerale, nie! Ja Ojczyznę kocham, naród szanuję, wolność czczę, lecz jestem tego zdania, że z Moskwą tylko układać się można...

Kościuszko mimowolnie rękę na szabli oparł.

— Nigdy! Najjaśniejszy Panie, bić się tylko!

Król łagodnie mu rękę na kolanie położył.

— Poczekaj, jenerale — rzekł tonem perswazji. — Ważny stosunki dyplomatyczne chłodno... Gdybyśmy nawet zwyciężyli — co wygramy? Przemoc obca zawsze pretekst do nowej wojny znajdzie i nas bezsilnych pokona...

— Byliśmy silni, Najjaśniejszy Panie — wtrącił Kościuszko.

Król udał, że tej uwagi nie słyszy.

— Do czego to wszystko doprowadzi? Jaki koniec będzie? Tylko łaska Imperatorowej gwarantować nam może spokój, prawo, całość...

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Kościuszko — łaska i prawo nie idą razem; łaska dla zwyciężonych i słabych, prawo dla wolnych i silnych. Byliśmy wolnymi i silnymi bez łaski i pomocy carów i Imperatorów moskiewskich. Ich łaska jest zadatkem niewoli dla nas, od której bronić się musimy aż do śmierci!

— Sublime... sublime... — cedził przez usta król, — ale to nie wyklucza rozsądku... Czy to

rozsądnie rozpoczynać walkę z taką potęgą, jak Moskwa?

Król uspokojony zupełnie, nie nękany przez Igelströma, nie straszony widmem gilotyny, wrócił do swojej bierności i nie rad był, ażeby mu kto ten spokój zdobyty mać. Usiłował tedy Kościuszkę wprowadzić na drogę układów z Moskwą i Prusami. Gdyby miał władzę, byłby zawarł pokój, jak to uczynił w poprzedniej wojnie.

Kościuszko znał dobrze ten wahający się umysł króla, to zamiłowanie w spokoju sybaryty. Słowa Stanisława Augusta głęboko dotknęły go jednak.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł mu — jest wiele rzeczy wzniosłych, które ze zdrowym rozsądkiem mało mają wspólnego, nie mniej przeto są wielkie. Tam, Najjaśniejszy Panie, gdzie trzeba myśleć o przyszłości państwa i narodu, rozsądek bywa niekiedy zbrodnią. Mamy tego przykłady. W imię rozsądku nawoływali nas do Targowicy Branicy, Rzewuscy, Potoccy, namawiali nas do zgody z Moskwą — i drogośmy zapłacili za te rozsądne nawoływania...

Ubodły króla te słowa. Zapanował jednak nad sobą i rzekł spokojnie.

— Ależ ja jestem całą duszą z wami... całą duszą... król z narodem, naród z królem — to moja dewiza.

Ażeby zatrzeć przykre wrażenie tej rozmowy i bezpożytecznie nie przedłużać jej, Naczelnik zaprosił króla na przegląd wojska, który miał się odbyć nazajutrz przed południem na Saskim placu.

Kościuszek miał w tem swój cel.

Król bardzo był uradowany z zaprosin. Pochlebiały one jego dumie jego miłości własnej, wysuwały go znowu z tego cienia, w jakim go wypadki ukryły, na przód, na stanowisko wysokie przewodcy narodu. Miał sposobność błyszczenia znowu w świetnym orszaku szambelanów, paziów, pań.

Na przedce wzniesiono trybunę dla króla i jego dworu, z której można było bezpiecznie i spokojnie przypatrywać się całej paradzie.

Od rana zaroiły się znowu ulice starej Warszawy pieszym tłumem i tysiącem powozów, przystrojonych w zieleń i kwiaty. Wszyscy wyszli znowu na powitanie ukochanego Naczelnika, który przyniósł narodowi od dawna zapomniane—zwycięstwo i sławę.

Trybuny, ubrane kwiatami, roiły się różnobarwnymi strojami pań, wesołych, strojnych, pięknych, a pośród nich król jaśniał uśmiechnięty, roz pogodzony, jakby nigdy przez duszę jego nie przechodziły żadne burze, walki bólów, smutków i wątpliść.

Powietrze rozlegało się okrzykami:

— Niech żyje król! Niech żyje Kościuszko!
Niech żyje wolność!

Słuchając tych okrzyków, zdawało mu się, że jest w teatrze, że panuje szczęśliwie narodowi, wolnemu, niepodległemu, potężnemu, tylko raziły jego delikatny słuch, jak brzęk komara, ciągłe wołania:

— Niech żyje Kościuszko! Niech żyje Naczelnik!

Przed wzrokiem jego przesuwaly się szeregi wojska, w rozmaitych ewolucjach. Stanisław August zadowolony, rozanimowany dziękował ręką, kapeluszem, uśmiechem za tę przyjemność jakiej doznawał, dziękował żołnierzom, Kościuszcze, Mokronowskiemu, Zajaczkowi, którzy z całym orszakiem wodza skupili się przy królu.

Nagle ustały bębny, trąbki, komenda, — szeregi wyrównały się, stanęły jak wryte, a Naczelnik kazał wszystkim oficerów przywołać do koła przed trybunę króla.

Cisza nastąpiła. Z poważnej twarzy Kościuszki, jako też innych jenerałów, można było wnieść, że się coś niezwykłego dzieć będzie.

Wszystkie domy dokoła, wszystkie dachy przepełnione były ludźmi od krakowskiego przedmieścia, od Czystej, Wierzbowej, Królewskiej.

Kościuszko dał znak adjutantowi.

Zapanowała cisza natężonego oczekiwania. Wtem z okien, z dachów domów runęły frenetyczne okrzyki:

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszko! Niech żyje Kiliński!

Na środku placu ukazał się Kiliński w mundurze pułkownika i kroczył wprost do trybuny królewskiej, przed którą stał Kościuszko. Poznali go ludzie z góry i okrzykami witali.

Gdy stanął przed Naczelnikiem wyprostowany, w żołnierskiej postawie, kobiety kwiaty mu rzucać zaczęły.

Kościuszko w te słowa przemówił:

— Mości panie Kiliński! Zanim cię wolna Ojczyzna nagrodzi za te usługi, jakie jej oddałeś, słusznie ci się należy publiczne podziękowanie za twoją roztropność, męstwo i odwagę.

Tu się do oficerów zwrócił:

— Proszę Waszmość panów powitać nowego kolegę na polu usług, oddanych uciemiężonej przez wrogów Ojczyźnie!

Z placu i z dachów posypały się okrzyki.

— Niech żyje Kościuszko! Niech żyje Kiliński! Niech żyje Ojczyzna!

Naczelnik wyciągnął rękę do Kilińskiego i uściśnął ją mocno.

— Dziękuję ci, Mości panie Kiliński, za te usługi, jakie oddałeś Ojczyźnie...

Kiliński zdjął czapkę z głowy, podniósł ją wysoko do góry i krzyknął:

— Niech żyje Ojczyzna!

Kilkadziesiąt tysięcy piersi powtórzyło ten okrzyk.

Kiliński trzymał czapkę do góry, wstając: — Niech żyje Ojczyzna!

Jeszcze okrzyki nie ustały, gdy uwaga wszystkich zwróciła się w inną stronę.

Środkiem placu szły powolnym krokiem dwie postacie: stary żołnierz i młoda dziewczyna. Żołnierz prowadził dziewczynę ostrożnie i powoli, jak dziecko. Zawiesziste siwe wąsy spadały mu i srebrzyły się do słońca. Z pod wojskowego kasku widać było zamyślona, poważna, skupioną twarz starca, podtrzymującego pod ramię dziewczynę tak ostrożnie, jakby całą uwagę swoją skupiał na tym tylko przedmiocie. Miał na sobie mundur majora pułku Działyńskich.

Dziewczyną była Zosia.

Pokaleczona przez Moskali, leczyła się w domu. Jeszcze się z ran, zadanych jej bagnietami, nie wyleczyła, gdy Naczelnik kazał się jej stawić przed sobą.

Przyszła przy pomocy ojca.

Król przyglądał się ciekawie młodej i ładnej dziewczynie, wspartej na ramieniu ojca i wprost do trybuny dążącej. Panie przyłożyły lornetki do oczu...

Zosia zbliżyła się do Naczelnika, zmięszana, strwożona, nieświadoma tego, po co Naczelnik kazał jej stawić się przed sobą. Pod wpływem

tysiąca spojrzeń, skierowanych ku niej, bladła i czelnie ją naprzemian. Spotkała się wreszcie ze spojrzeniem Naczelnika i nie wiedziała, co robić, jak go pozdrowić.

Tak stała naprzeciwko króla i Kościuszki, czując na sobie ciężar spojrzeń obcych.

Naczelnik skinął. Cały sztab i oficerowie zacisnęli koło.

— Mości panowie! — odezwał się Kościuszko drżącym nieco głosem — wy, co za ojczyzną krew swą przelewacie, wiecie, co to jest męstwo szlachetne. Męską duszą nie tylko mężczyzna Pan Bóg obdarza. Kobieta, którą widzicie przed sobą, znacie. Dała ona niepospolite dowody odwagi dla sprawy publicznej, ważąc nieraz życie własne. Ona ułatwiła nam porozumienie się z Warszawą, ona wiadomość o bitwie Racławickiej przyniosła pierwsza, ona ułatwiła zdobycie pałacu Igelströma...

Tu się zatrzymał chwilę.

— Takie męstwo zasługuje na nagrodę...

Podniósł rękę do munduru i odpiął order Cyncynnata.

— Innej w tej chwili dać Waćpannie nie mogę... weź ten order, który na polu bitwy zdobyłem — i noś go dla sławy własnej i narodu.

Powiedziawszy to, począł order przypinać do klapy od zarzutki Zosi.

Zakończeniu temu towarzyszyły frenetyczne okrzyki.

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszko!

Zosia tak była wzruszoną przemówieniem Naczelnika, że zeszywniała cała — straciła ruch, mowę, nerwy skostniały.

Gdy order był już przypięty, szepnęła tylko:

— Naczelniku...

Potem, uchwyciwszy rękę jego, całować począła.

Scena ta wzruszyła obecnych do głębi. Panie, wszystkie kwiaty, wszystkie bukiety, jakie miały, rzucać zaczęły pod nogi Zosi.

Naczelnik, chcąc przerwać tę bardzo wzruszającą scenę, zwrócił się do adjutanta i głosem donośnym rzekł:

— Zadowolenie, wyrażone tu przezemnie, przeczytać przed szeregami wojska w rozkazie dziennym.

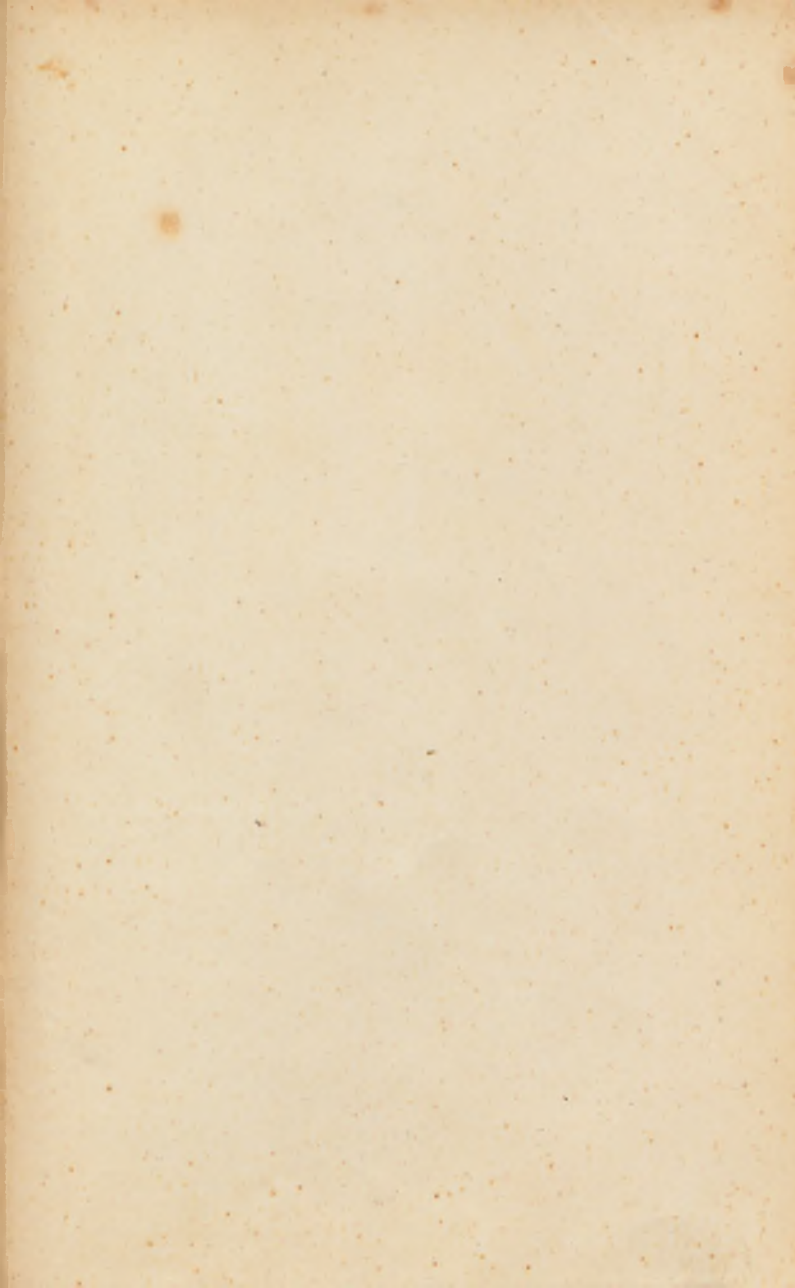
D. 28. Grudnia 1893 r.

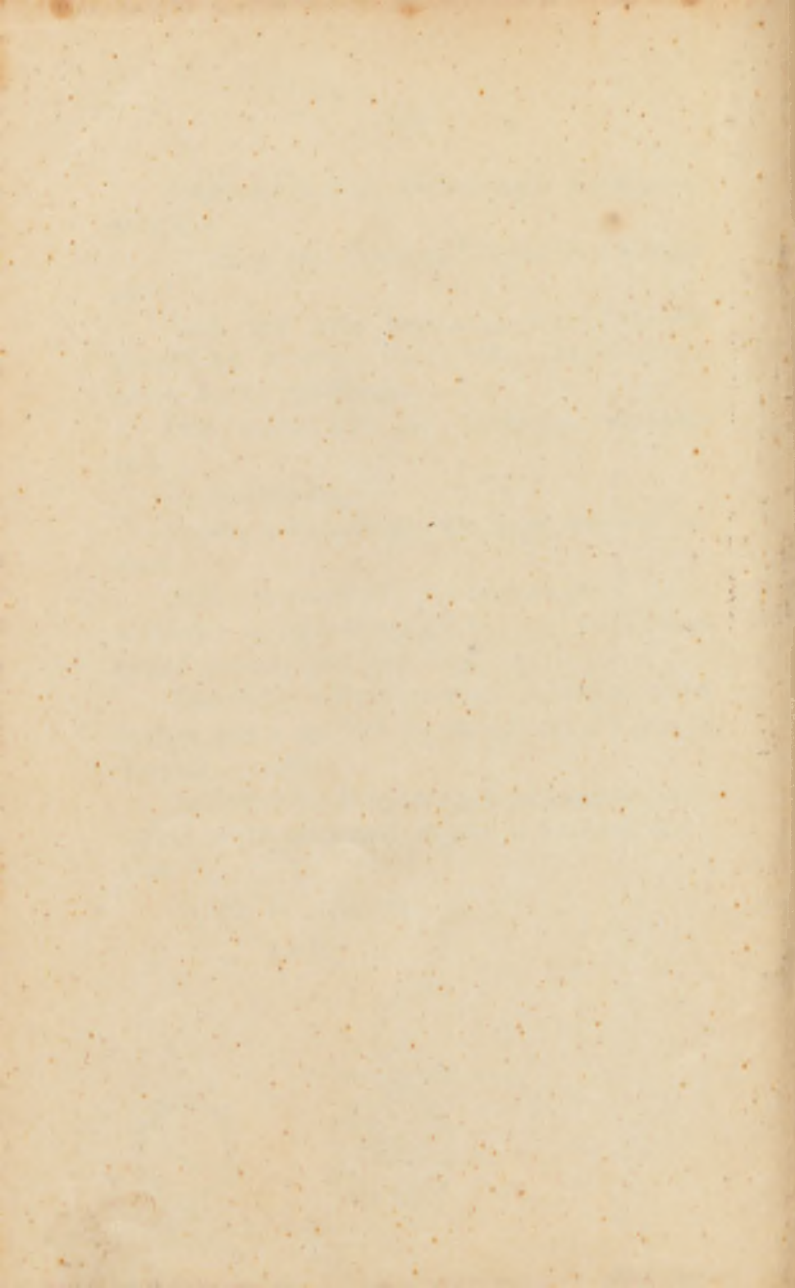
Lwów.

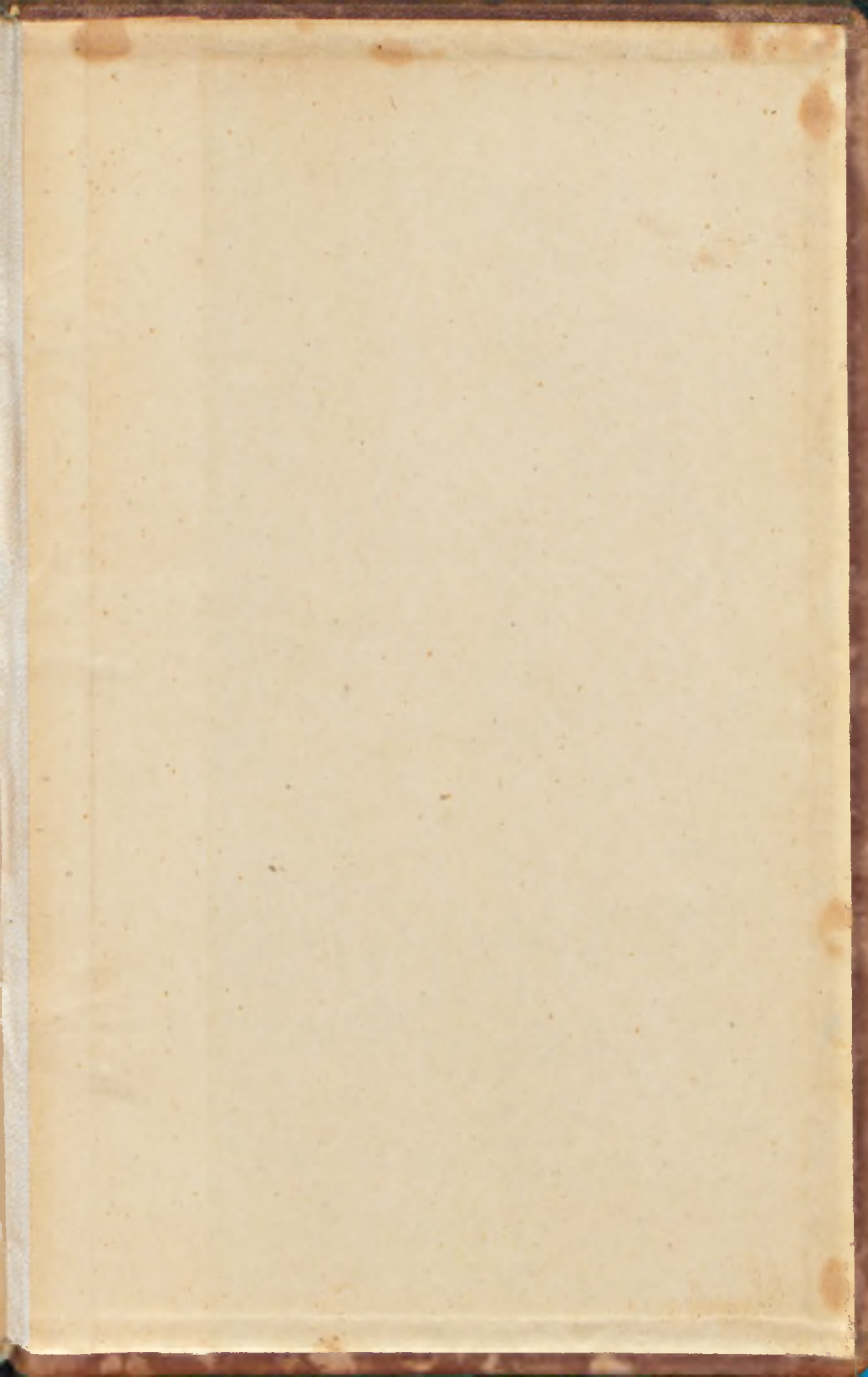


nr. 729









I.477

"V"

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Politechniki Warszawskiej

ND.0729



400000000150935